



De. II 1.

NAD GŁĘBIAMI.

V.

Rzucił się na ślepo do gorączkowej pracy. Piekły go myśli, wspomnienia i zagadnienia. Chciał trudami i wyczerpaniem za-
bić w sobie ten zgiełk, który nie cichł ani na chwilę w jego du-
szy. Nie miał siły ani opanować go, ani dozorować. Umysł,
który żył długo tylko wewnętrzną vegetacją i zadawał sobie
fantastycznym rozmyślaniami i fantastycznym kształtowaniem no-
wych form życia nieokreślonych i nieuchwytnych — przechodził
teraz gwałtowne wstrząśnienia. Uświadomienie położyło na ca-
łej dotychczasowej pracy jego wyobraźni i wrażliwości bolesny
napis „nicość“ i nawoływało krzykiem zdrowych płuc do czynu.
A czyn zjawiał się, jako możliwość w tysiącnych postaciach
i przemianach, szarpał mu serce i wolę, aby za chwilę odpaść na
bok, jako błady, poroniony pomysł.

— Czem być, aby działanie zewnętrzne miało w sobie treść
i drgnienia tłukącego się w duszy ideału? — pytał sam siebie,
kiedy nagle w biały dzień lub ciemną noc nachodziło go zadu-
manie.

Wypadało mu wtenczas z ręki pióro, jeśli pisał, książka, je-
śli czytał, stawał nad brzegiem Wisły, jeśli szukał wytchnienia
za miastem.

Myślą przelatował wszelkie gotowe formy działalności, jakie
mu życie dawało, i w żadnej nie mógł siebie ujrzeć. Zapalał się
na moment, na dzień jeden, na tydzień do pewnego zajęcia, do
pewnej społecznej pracy, ale zniechęcenie napadało go równie
szybko i równie nielitościwie.

Miał za sobą studia lekarskie. Gdyby zdał ostatnie egzamina, miałby już gotowe przed sobą pole działalności.

— Praca w szpitalach — rozważał — chore dzieci, chore kobiety, chorzy mężczyźni, nędza fizyczna, jęki męczących się w agonii, rozpoznawanie śmierci i życia, sekcye otrutych, zamordowanych, topielców, zobojętnienie na ból, na wstyd, na kres... to nie dla mnie, nie dla mnie! to wstrętne! to objawia się w formach strasznych, zeszpeconych, to ohydne przeciwieństwo piękna... to krzyk i ciągły protest na gwałt natury... dlatego porzuciłem studia...

— Mam majątek ziemski — myślał dalej — sam będę rządcą. Wyjadę na rok, na dwa, na studia rolnicze. Wrócę i wezmę się do pracy. Ale jaki w tem cel bezpośredni, najbardziej istotny? jaki? wydobyć z ziemi jak największy zysk? Zmusić rolę, aby wydawała jaknajwięcej owoców? Im więcej ich będzie, tem będę bogatszy, a może i drudzy przezemnie — zatem praca od świtu do nocy nad czem? nad tem, co mi jest obojętnem, co mię zupełnie nie wzrusza, czego nigdy nie ukocham całą potęgą uczucia!

— A więc chodzi o to, co ukocham, za czem będę tęsknił mimo trudów, mimo cierpień, mimo znużenia...

— Gdzie droga? — powtarzał zrozpaczony miliony razy.

— Każde zajęcie, jakie znam w społecznem życiu, to forma zewnętrzna, ale gdzie treść wewnętrzna? czem ma być człowiek, który nietylko ma być urzędnikiem, kupcem, agronomen, fabrykantem, komiwojażerem, architekta, dziennikarzem, sędzią, profesorem, żołnierzem policyjnym, woźnicą, stróżem? czem?

Szukał odpowiedzi, żadna jednak nie wydawała mu się dostatecznie dobrą, każda rozplywała się w karykaturalnych kształtach, rozważona z innego punktu patrzenia czy etycznego, czy praktycznego, artystycznego, partyjnego, narodowego lub filozoficznego.

Umęczony tą bezowocną pracą myśli, która go wyczerpywała zupełnie, począł unikać samotności. Skorzystał z pierwszej sposobności, jaką mu wypadek nastręczył i kupił dziennik, od wydawcy, zniechęconego stratą prenumeratorów. Obojętną było mu rzeczą, czy znajdzie w tem zajęciu zadowolenie, wiedział to jedno, że zajmował placówkę społeczną, na której skupiło się tysiące interesów różnorodnych i że praca wydawnicza pochłonie mu wszystkie czas i energię. Tego pragnął.

Odtąd dzień każdy upływał mu na znużającej, wyczerpującej robocie. Sam był pierwszy przy biurku i ostatni je opuszczał. Interesował się każdą sprawą ważną i drobiazgową. Nic nie

uchodziło jego uwagi. Nie chciał służyć interesom, lecz prawdzie. Z dziennika swojego chciał stworzyć organ krytyczny, który nie lękał się nikogo, lecz gotów był zawsze najbardziej cierpką prawdę powiedzieć tym, przy których wczoraj zdawał się stać najbliżej.

Nie żałował pieniędzy. Wydatki były mu najzupełniej obojętne. Przy stolikach redakcyjnych zgromadził ludzi zdolnych i młodych, w których szukał talentu pisarskiego i obywatelskiej prawości.

Pierwsze tygodnie upłynęły mu wśród mrówczej pracy. Milczeniem zhywano artykuły, w których poddawał zasadniczej krytyce sprawy gminne i kwestye ekonomiczne kraju. Milczeniem odpowiadano na artykuły programowe. Postanowiono za wszelką cenę trzymać publiczność w nieświadomości, że dokonała się reforma zasadnicza w dzienniku, który już upadał na anemię myśli i przedsiębiorczości.

Lecz kiedy to wszystko nie pomagało, kiedy popyt na odmłodzony przez Augusta dziennik zaczął wzrastać, poczęły padać pierwsze strzały z innych pism. Początkowo były to wzmianki lekceważące o „pewnem brukowym piśmie,“ o „wiatrakach, które miały piasek,“ lecz wkrótce walka rozpoczęła się na całej linii.

Postanowiono pismo zabić i odrzeć ze wszelkiego uroku. Realne zarzuty stawiane instytucjom publicznym nazywały się „kaczkami wyssanemi z palca,“ dotknięci dygnitarze grozili procesami, lub je wytaczali, odwlekając w nieskończoność terminy sądowe, krytyczną tendencję pisma wyśmiewano, jako donkiszoteryę nagiej duszy, która w atakowaniu wszystkich widzi swą wyższość i dojrzałość polityczną. Rzucono fałsz, że dziennik stoi na żołdzie zagranicznych rządów, aby zohydzać w opinii świata polskość.

Nie poprzestano na tem, poczęto szarpać osobę samego wydawcy. Puszczano tajemnicze niedomówienia, półsłówka pełne jadu i złośliwości, które, nie wskazując bezpośrednio Augusta, odnosiły się do niego. Zaczęto grzebać w jego życiu prywatnem. Wytknięto mu niedokończone studia lekarskie, jako brak przygotowania do życia publicznego — nie zapomniano również o jego bądź co bądź romantycznej znajomości z Kamą w Blankenbergu. Kuto na ten temat skandal, który począł intrygować całe miasto.

Początkowo August czytał wycieczki przeciw swej osobie na cały głos wszystkim członkom redakcyi, z żartobliwym uśmiechem. Rzadko kiedy odpowiadał w dzienniku. Najczęściej poprzestawał na pogardliwym milezeniu.

Lecz kiedy w pewnem, humorystycznym piśmie znalazł erotyk pod tytułem: „Gust i Kama w Blankenbergu“ — szarpał nim gniew do głębi duszy.

— Za co to wszystko? — pytał sam siebie. Dlaczego obrzucają błotem to, co było pięknem w mojem życiu?

— Podli! podli! — krzyczał i zaciskał pięści.

Ta sama usłużna ręka wysłała egzemplarze „Hecy“ do Warszawy. Donosili mu o tem znajomi.

— Co Kama o tem pomyśli? a Sobica? — powtarzał.

Postanowił dotrzeć do źródła tej łajdaki, zakulisowej roboty. Udał się wprost do redaktora „Hecy.“ Postawił kwestyę na ostrzu miecza. Pojedynek, albo zaniechanie napaści. Redaktor tłómaczył się, że wszystko stało się bez jego wiedzy, lecz że da mu pełne wytłómaczenie w ciągu następnej doby.

Przez tę noc, która go oddzielała od rozmowy, przeżył całe morze męki. Chwilami pytał się, czy niepopenił jakiej zbrodni. Burzyły się w nim piekielne instynkty, które w nienawiści i pogardzie topiły wszystko, co go otaczało. Zwierzę-człowiek poczynał pokazywać zęby. W wyobraźni doprowadzał całe to zajście do rozmiarów kataklizmu, który musi spaść na głowy jego przeciwników i jego własną. Przestał się dziwić, że ludzie tracą miarę sprawiedliwości, bo sam wydawał wyroki, które kończyły się krwią i żelazem.

A kiedy równowaga etyczna brała górę i gorycz zalewała mu serce... był zły na siebie, że dał się wytrącić z równowagi głupstwem i nieczemnością ludzką.

— Mam walkę, której pragnąłem. Poznają życie ze strony jasnej i ciemnej. Tego przecież pragnąłem. Lepsze te zmory istotne, które mnie dręczą, niż ta niepewność myśli, to szukanie drogi, bo to mogłoby mnie doprowadzić do domu obłąkanych.

Ale równocześnie zaciskał zęby na wspomnienie, że obcy ludzie wywlekają pamięć o Kamie, o której chciał zupełnie zapomnieć.

Na drugi dzień zjawił się w jego gabinecie mecenas Sowa, jeden z najwybitniejszych obrońców i człowiek, który cieszył się mirem powszechnym i o którym mówiono, że jest prawy.

— Czem mogę służyć panu mecenasowi? — odezwał się August, uściskawszy jego dłoń — cieszę się, że mogę powitać tak miłego gościa na naszych śmieciach.

— Dawno już wybierałem się odwiedzić pana — odparł przybyły — ale brak czasu, kłopoty, wyjazdy ciągle na prowincyę tłómaczą mnie po części.

— Więc to tu — dodał, rozglądając się po gabinecie — pańska gazeta stroi się w piórka zapału i zaopatruje na drogę w ziarnka gorczyczne.

— A tak — rzekł z uśmiechem August — wkrótce nawet wyrobię sobie patent na sposób rozdmuchiwania nienawiści wśród bliźnich...

— O, to redaktor umie — zauważył mecenas Sowak, wycierając starannie cwikier.

August spojrział bystro na mówiącego i dostrzegł w kątach jego ust lekki, ironiczny uśmiech.

— Tak kochany redaktorze — rzekł przybyły — weszliśmy przypadkiem na temat sporny. Przyszedłem do pana z upoważnienia redaktora „Hecy.“

August zeszytniał. Wydawało mu się to dziwną rzeczą, że mecenas Sowak, wybitny obywatel, występuje w tak drażliwej sprawie.

— Choć może tak będzie lepiej — pomyślał.

— Widzę, że pan jest zdziwiony — powiedział obrońca, pięknym gestem zakładając cwikier na nos i poprawiając się na fotelu — winienem powiedzieć, że sprawy redaktora „Hecy“ zastępuję już od lat kilku, od czasu, kiedy jeszcze... wszystko w tem piśmie było ubrane w koronki i przyzwoite spódniczki...

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Trochę chłopczyzna zapomniała się w ostatnich czasach — ciągnął dalej tonem subtelnym, wdzięcznymi ruchami głowy podkreślając słowa ważniejsze — ale to ze zbytku krwi gorącej. Sam kochany redaktor wie, mówiąc między nami, jak to bywa z kobietkami.

Zniżył głos.

— Im człowiek bardziej rozochoci się do ich wdzięków, tem chciałyby ujrzeć więcej uroczych stron ciała...

Uściskał mu rękę pieścizotliwie, przymykając oczy przyjaźnie.

— Nie bronię go — zaczął znowu po chwili — daję tylko tłumaczenie psychologiczne zjawiska.

— Zatem panie mecenasie — rzekł chłodno August — jak przedstawia się moja sprawa? Czy redaktor „Hecy“ zgadza się na moje żądania, czy nie?

Obrońca milczał przez chwilę, a potem z wyszukaną grzecznością rzekł:

— Niewinny... to go usprawiedliwia...

Cisza zapanowała przez chwilę. August chciał wstać wzburzony, ale zrozumiał, że nieogłędność może go zgubić. Silniej

tylko ścisnął głową poręcz fotelu, na którym siedział, nie odpowiadając ani słowa.

— Ów wierszyk — mówił dalej mecenas — podsunęto mu, nie wskazując osoby, do której treść się odnosiła. Skąd więc mógł wiedzieć, że we wspomnieniach pańskich może żyć piękna sylwetka jakiejś Kamy?

August przyznał mu w duszy słuszość.

— Lecz zamiast go tłumaczyć — mówił dalej obrońca — wolę kochanemu redaktorowi uprzytomnić to, że ta napaść ostatnia była jedną z całego szeregu innych, bardziej dotkliwych i bardziej zjadliwych, z jakimi spotykałem się w pismach. Ów wierszyk iukryminowany jest małym oczkiem w łańcuchu napaści bezczelnych na osobę redaktora. Zdawałoby się, że jedna i ta sama ręka inscenizuje te kalumnie. Skąd to pochodzi?

— Skąd to pochodzi? — wykrzyknął mimowoli August — ja sam pytam się o to.

— To rzecz jasna — mówił z uśmiechem obrońca, bawiąc się złotym łańcuszkiem zegarka — to jeden ze symptomatów bardzo pospolitych... to zwykła homofobia. Panu się szczęści. Pierwszy powód do zawiści i gniewu. Pan jest niezależny, bogaty, powód drugi. Pan prowadzi przedsiębiorstwo, które rozwija się świetnie, ale kosztem cudzych kieszeni i niepokojem wielu wybitnych jednostek...

Utopił w redaktorze oczy zagadkowe, przeszywające na wylot.

August otworzył szeroko oczy. Nie rozumiał słów Sowaka.

— Co mecenas chce przez to powiedzieć? — zapytał, nie ukrywając swego zdziwienia.

— To — rzekł dobitnie zapytany — że dziennik pański jest świetnym interesem, a jest świetnym dlatego, że pan trafił na złotą żyłę. Kochany redaktorze... krytyka zawsze była i będzie lustrem magicznym, które ściąga ciekawość postronnych... a jeśli ta krytyka jest zręcznym piórem pisana i w sam czas podana, efekt musi być tembardziej niezawodny. Pański dziennik daje codzien cięte artykuły, nie liczy się z żadnymi względami, tchórzliwych zachwycą śmiałością, pesymistom daje karm krytyczną, niewiniątkom otwiera oczy... jest, jednym słowem, lustrem magicznym... cudowna żyła... redaktor wszystkim goli brody, wąsy, nawet półgłowy, czy chce czy nie chce... to piekielnie świetna intuicja, w jaki sposób zdobywa się prenumeratorów.

August skulił się na krześle. Na twarz wystąpiły mu silne rumieńce.

— Mecenas robi mnie kupcem — wyrzekł wreszcie i urwał. Na usta cisnęła mu się skarga piekąca, żal bezdenny, ale instynkt mówił mu, że w uszach Sowaka słowa jego będą brzmiały jak przykry dysonans.

— Kochany redaktorze — odezwał się mecenas, biorąc go za rękę — bądźmy między sobą szczerzy. Kto z nas nie jest kupcem? przecież to nawet zaszczyt! czy ja zarzucam panu, że interes prowadzi pan nielegalnie? czy jednak nie jest to zmysł kupiecki tak prowadzić pismo, jak pan to czyni?

August wstał zmieniony na twarzy. Czuł wypieki piekące mu skórę. Ktoś pierwszy raz w życiu deptał po nim, a on nie miał środków odwetu.

— Przecież jest różnica — zaczął mówić.

— Żadnej — przerwał mu obrońca, ubiegając jego myśli — absolutnie żadnej! nie mamy nawet o czem mówić. Przecież, drogi, kochany redaktorze, mnie pan nie odpowie tym pięknym frazesem: „Idę w bój za prawdę.“ Ja, który tyle przeżyłem w życiu swoim i tylu ludzi poznałem, miałem sposobność raz tylko poznać się z takim osobnikiem fanatycznym, ale... ów pan wołał tak, zgrawszy się w karty i straciwszy pięć klepek.

August chciał protestować.

— Pozwól kochany redaktorze. Jeszcze kilka słów, zaraz skończę. Nie chcę być źle rozumianym. Rzecz inna uczciwość, rzecz inna frazes: „Idę w bój za prawdę.“ Hasło to jest frazesem, jeśli pomyślane jest w oderwaniu od wymagań życia, jeśli nie liczy się z powołaniem, jeśli niema warunków zaaklimatyzowania się, jeśli jest surogatem czystej abstrakcyi. Czasy cudów minęły. Dziś można iść w bój za prawdę pod warunkiem, że pan dowiedzie swej prawdy przed trybunałem karnym, bo inaczej pan dostanie się do nieidealnej celi więziennej, że pan rachuje na zbyt, bo inaczej znaczenie prawdy zejdzie do zera, i nikt się z niem liczyć nie będzie, że panu ta prawda rentuje, bo inaczej nie będzie pan miał środków, aby inne prawdy wyrazić...

— Oto — rzekł, wstając powoli, z blaskiem pogromcy w oczach — naga istota rzeczy. Kto się z nią rozminie, kręci kark. Kochany redaktor dostosował się do istoty rzeczy i dlatego interesu i przytem „prawda“... idą...

Delikatnie położył mu rękę na ramieniu, uśmiechnął się.

August szukał słowa, w którem zamknąłby się protest jego duszy i krzyk gwałconego uczucia, lecz znalazł tylko jedno słowo blade, rozpaczliwie nikłe.

— Przypadkowy zbieg okoliczności — rzekł, unikając wzroku mecenasa. Bał się, że wybuchnie.

— Hahaha — zaśmiał się obrońca Sowak — niech i tak będzie.

— Przypadkowy zbieg okoliczności — powtórzył August, ale takim zimnym i bezwzględny tonem, z takim nieugiętym uporem i zaciekłością w głosie, że mecenas przestał żartować i nastroił się na ton poważny.

— Kochany redaktorze — odezwał się — przyjmij od swego przyjaciela jedną radę. Jeżeli kto chce waleczyć i zapewnić sobie możliwość tej walki, to nie walczy nigdy ze wszystkimi równocześnie. Szukaj przyjaciół choćby tymczasowych, ale ich szukaj. Bez nich, bez stronnictwa, na którym mógłbyś się oprzeć, będziesz wisiał w powietrzu... Będą cię wszyscy podejrzewali o najgorsze rzeczy... Idealne kryterium sprawiedliwości tu na ziemi nie da się stosować.

August chciał rzucić mu w oczy:

— Dlaczego?

Ale nie czuł się na siłach. Otwierała się przed jego oczami głęb potwornych, przerażająco jasnych pytań, przed którymi wolał się cofnąć. Nie odpowiedział nic, zwiesił głowę.

Obrońca stracił pewność siebie. August stał się dla niego zagadkowym. Nie lubił takich ludzi. Zakręcił się niespokojnie po pokoju, a wreszcie zapytał niedbale:

— Czy szanowny redaktor obstaje za otrzymaniem satysfakcji od mego klienta?

August nie odpowiedział. Spojrzał smutnie w oczy mówiącego.

— A zatem? — powtórzył Sowak pytanie ośchłym głosem.

— Nie.

Obrońca popatrzał badawczo na Augusta. W głębi duszy zdziwił się, potem przypisał to swej zręczności adwokackiej, uśmiechnął się więc pod wąsem.

— Dziękuję — odparł zadowolony i podał mu rękę na pożegnanie.

Zamknął drzwi za sobą z pewnym hałasem.

— Tylko nie zastanawiać się nad niczem — powtarzał bezustannie August, tam i napowrót krążąc po gabinecie — nad niczem, tylko nie zostać sam na sam, bo tu cienie za mną chodzą! opadną mnie i znowu zaczniesz się ta męka... potem apatya... potem jęk...

Zadzwoił na służącego.

— Czy panowie są jeszcze w redakcyi? — zapytał.

— Wszyscy wyszli.

— Dobrze. Podaj mi futro. Artykuł zanieś do drukarni.

Wypadł na ulicę. Owiało go mroźne, grudniowe powietrze. Szukał oczami tłumy, zgiełku. Pusty chodnik wydał mu się nieprzebytą przestrzenią.

— Prowadzę interes — mruknął — hahaha!

Za plecami poczuł cień, który mu obie ręce kładł na policzkach — na twarz buchnęły mu rumieńce.

— Za co to wszystko? — szepnął przez zęby.

Stał przez chwilę — zamknął oczy. W głowie poczęło mu wirować tysiąc myśli.

Żachnął się i wskoczył do tramwaju, który właśnie nadjechał. Teraz dopiero namyślał się, gdzie ma się udać.

— Do znajomych, albo na wystawę, albo do cukierni...

— Do kogoś, z kim mógłbym pomówić, jak ze starym przyjacięciem — ktoby miał miękka, wrażliwą duszę — ktoby nie pytał, a czuł...

Wpatrzył się przed siebie. We mgle błysnęły mu szyby dworu miętkowickiego, wyniosła weranda, skąd widok szeroki na rzekę i wzgórze... dojrzał sylwetkę Michasi... na drodze białym śniegiem okrytej Jasia, panią Natalię... szli naprzeciw niego, trzymając się za ręce.

Ciepłe uczucie ulgi i rozkoszy przeniknęło go całego.

— Tam odetchnę — szepnął do siebie.

Ojca zawiadomił, że jedzie do Michasi. Z drogi telegrafował do sekretarza redakcyi, aby go zastąpił, dopóki nie wróci. W kilka godzin później, wysiadłszy z pociągu, jechał już w saniach najętych do Miętkowic.

Noc była. Powietrze pachniało cudownym, mroźnym oddechem śniegów, które legły zaspami po obu stronach drogi. Białe prześcieradła usłały się po ogromnych pustkowiach i czołgały się potwornymi zsiniałemi łapami aż pod czarne mury lasów, które stały na wzgórzach niby zaklęte krainy sfinksów. Nad oceanem śniegów toczyło się po szafirowem, bezdennem sklepieniu srebrne lustro księżycy. Jakieś przepotężne, świetliste ukojenie szło od niego na zimowy krajobraz podkarpacki...

Sanki dzwoniły, a drżące kołatanie metalu biegło nieśmiało przed się, po świecącej od mrozu drodze.

August otulił się w futro i patrzył na wielką górę, która go oddzielała od Miętkowic. Góra odarta z lasów od podnóża do szczytu, stała, jak widmo skamieniałej, przeoblzrymiej mniszki, ubranej w biały nieskalanej czystości habit. Mniszka

przy blasku niebieskiej, księżycowej lampy mówiła pacierze w kaplicy...

Zamknął oczy.

— Co powiem Michasi?

Uśmiechnął się. Czuł jej ciepłe ręce, obejmujące go za szyję. W pocałunku zamknie wszystko: przebaczenie, powitanie i radość...

— Jedźmy! — zawołał na górala.

Chłop oglądnięty na niego, spojrzął z pod oka i mruknął:

— A dyć dzwoniły, jak na podniesienie...

Sanki sunęły po stromem zboczu, na dnie którego warczała góraska rzeka. Czarne, stalowe fale przelewały się po głazach, obrośniętych zmarzniętą pianą i gnały bez pamięci zadyszane w dal...

— Ryk życia — pomyślał August, lecz uśmiechnął się na wspomnienie, że daleko za sobą zostawił miasto, męczącą pracę i rozterki wewnętrzne.

— Czy nie lepiej, jak ta rzeka, gnać przed się, póki sił starczy, tam, gdzie nas pęd niesie? — pytał sam siebie — czy nie w tem tkwi zdrowie natury, że żyje dla siebie, o nic się nie troszcząc?

Niecierpliwie poruszył się na siedzeniu.

— Zawsze to samo... zawsze pytanie...

Gorejąca, zimna lampa nocy ukryła się za górą. Ogromna noc, biaława od śniegów, zagarnęła sanie, konie, woźnicę i Augusta pod swoją oponę. W dali, po bokach, błyszczały wysrebrzone, zbłękitniałe, nieruchome płaszczyzny pól i stała nad nimi półkula niebieska usiana centkami gwiazd drżących od mrozu. Chłód przejmujący buchnął na nich...

— Jedźmy! — rzekł mimowoli August.

Góral nie obejrzał się na jegomościa, któremu śpieszyło się do domu, tylko uderzył koniska lejcami po dymiących bokach i dalej drzemał.

Ale konie zwolniły biegu. Droga szła stromym wąwozem. Górą jaśniały ubielone śniegiem krawędzie i płynął blask księżycowy, jak rozpięta, przezroczysta, szafirowa szyba. Dołem mrok ich ogarnął. Ściany wysokie stały na straży, by cienie mogły się paść w wąwozie na poczerniałych żlebach i potarganych łatach śniegu.

— Z góry ujrzę dwór miękkowicki — pocieszał się August co chwila.

Nareszcie rozstąpiły się boki skaliste... nad saniami ustawił się księżyc, czepiając się gałęzi jodły — konie wjechały na kark a potem na czaszkę olbrzymiej góry, która świeciła od dołu białym habitem...

Augustowi zabłyszczały oczy. Stał, jak na samotnej, osiwiatlej wyspie, a dokoła na morzu blasków rysowały się archipelagi innych wysp, również błyskających białymi ciałami i również czerniejących zboczami lasów... a nad tą bezmierną ciszą wzgórz unosiła się wypukła bezdeń błękitnej nocy rozkochana w czarnej, świecącej kuli księżyca i w kryształowych, srebrnych gwiazdach...

Wchłaniał w siebie uroczyste, surowe piękno natury i goił niem spiekotę duszy...

— Jakżem mały — szeptał — i jak daleki od tej niezmaconej harmonii...

Sanie sunęły w dół z szybkością bezmyślną, co chwila zataczając łuki po wyslizganej tafli gościńca i uderzając o miękkie zaspę śnieżną. Konie, czując wieś, gnały, parskając na zawody.

— Dobrze będzie — mruknął góral, oglądając się na Augusta, ale ten ani słowa nie odrzekł, uśmiechnął się tylko na znak zgody.

— Ten ma twarde kościska — pomyślał chłop — albo gdzieś w łeb dostał — i począł ściągać rozbiegane konie.

Brzęk dzwонka hulał po dolinie coraz donośniej i śmieiej.

Zdaleka dojrzał werandę, lecz na niej nie było ani żywego ducha. Biały dwór miętkowicki świecił czerwonymi oknami wśród wachlarza drzew.

Sanki zajechały przed ganek.

Służący wyjrzał z przedpokoju.

— Kto tam? — spytał.

— Swój.

August zrzucił futro i wszedł bez pytania do pokoju bawialnego.

— Gustek — krzyknęła Michasia i zerwała się z krzesła wzruszona.

On nie nie mówił, tylko chwycił ją za ręce i całował palce, patrząc jej z pokorą w oczy. Potem uściskał pana Wincentego, małego Jasia i podał rękę pani Natalii.

— Skąd przyjeżdżasz?

— Wujcio! pójdziemy jutro na polowanie...

— Takie długie milczenie...

— Co wieczór czekaliśmy.

— Niedobry.

— Michale, wieczereź dla pana.

Blask lampy, ciepło pokoju, roziskrzona twarze pytających, przyjaźń, która płynęła z ich ruchów, uścisków, słów, tysiąc pytań i wykrzykników, które go opadły, podziały na niego jak prąd elektryczny.

— Uciekłem do was, jak zbieg z pola bitwy — rzekł rozradowany — i szczerze wam powiem, że to całkiem przyjemne uczucie. Zamiast słuchać świstu kul wpadam do Miętkowic i jestem w zupełnie innym świecie.

Otoczyli go kołem. Usiadł wśród nich. Różowa lampa rzucała im na twarze wesołe tony. Przez szyby okien bielila się srebrzysta, zimowa noc.

— Zjawił się, jak królewicz z bajki — pomyślała pani Natalia.

Michasi śmiały się oczy do Augusta. Nie dowierzała sobie jeszcze, czy to nie złuda.

— Na długo przyjechałeś? — zagadnął pan Wincenty — czy po ogień, czy na wywczas?

— Na tak długo, dopóki mnie nie wyrzucicie — odparł August. W Krakowie gotów byłem przysiąc, że świat cały, to jeden bełkot i odnęt. Tu, gotówem przysiąc, że świat jest cudowny. Odmłodziłem po drodze. Wasze śniegi, wasza rzeka i ten błękit nocy wyciągnął ze mnie wszystko to, co mi dolegało.

Mówił z entuzjazmem.

— Jestem widać synem ziemi czystej krwi — dodał z uśmiechem — i teraz wracam na jej łono, jak marnotrawny syn.

Pan Wincenty pociągnął węża.

— Podobają ci się nasze strony? To dobrze. Ja tam stękam w lecie nieraz, jak mi grad przetrzepie zboże, albo woda zabierze pokos, ale kiedy mię dyabli biorą już na dobre, a Michasi niema w pobliżu, jak podeprę sobie boków, jak stanę mocno tam, uważasz, pod Wysokiem i zawołam do biedy na głos: A chodźno do mnie, niechaj ci zbliska zajrzę w zęby — tak ona nogi za pas i w dół do rzeki, a mnie kamień z piersi bęc na ziemię i za nią w dyrdki... tuł, tuł, tuł — rym, buch do wody, zaś ja wracam do domu ze wściekłą fantazyą. To dobrze, że ci się podobają nasze strony.

August tarł ręce z radości:

— To, to, to... dajcie mi tylko kawał ziemi, serce podeprzyjcie kołkiem, aby się nie skurczyło, a tu stworzę asylum dla wszystkich, którym dusza obumiera.

— Ja wiem, co to jest — rzekł po chwili ze smutkiem — i dlatego byłaby to cudowna rzecz...

— Byłaby to cudowna rzecz — wykrzyknęła pani Natalia, patrząc z uwielbieniem na Augusta.

Po wieczerzy Michasia odprowadziła brata do jego pokoju. Szli oboje pod rękę, nie mówiąc do siebie, tylko dłonie trzymając w uścisku. We drzwiach August ucałował ją w czoło.

Michasia patrzyła mu w oczy bardzo wymownie.

— Chodź — rzekł do niej — pogwarzymy.

Poszła za nim cicho, jak kotka. Usiadła pod oknem, nic nie mówiąc. Czekwała, póki sam nie zacznie się wywnętrzać. Rozumiała, że brat dużo przeżył w ostatnich czasach, a wiele było dla niej zagadką.

On chodził po pokoju, nie ukrywając wcale swego zdenerwowania. Pierwszy serdeczny nastrój, który go owiał, minął. Fala zgryzoty wróciła i uderzyła w serce.

Stanął wreszcie przed nią.

— Wiem, że mi przebaczyłaś moją niewdzięczność — zaczął mówić — ale to nie zmienia postaci rzeczy. Kapitalnie lichy zachowałem się względem ciebie. Zdawało mi się wtenczas, że zdobywam się na heroizm, odtrącając wszystkich tych, którzy mi są przyjaźni. Miałem w sobie okrutne pożądanie umocnienia samego siebie wszelkim kosztem i zacząłem kosztem najłatwiejszym, jak dziś widzę, bo zerwaniem z tobą.

— Mój drogi — odezwała się — znam ciebie i wiem, że nie zrobiłeś tego z egoizmu.

— Ach, niechby było nawet z egoizmu — zawołał — byle z tego egoizmu wybuchła jakaś siła, coś, coby mię wzięło za włosy, coś, coby przemożnie targęło mną aż do zapamiętania. Chciałem tego, pragnąłem, próbowałem coś zacząć robić, ale już mnie siły opadają — to nie to! to nie to!

— Zniechęcili cię — wtrąciła — wszak tak?

— Nazwij to jak chcesz, kochana, ale ja już nie mogę dawać duszy tej robocie wydawniczej. Myślałem, że początki najgorsze, że przebrnę, że włożę się i tak pójdzie dalej, byle raz już skończyć z tem bezowocnem filozofowaniem, wszystko napróżno.

— Masz punkt zaczepienia dla siebie — mówiła spokojnie — a to dużo znaczy. Nie chcę przez to powiedzieć, że to twój ostateczny cel, ale dobry, jako próba, jako praca.

— Gdyby, gdyby — przerwał jej rozpalony — ja też nie rzucę dziennika, ani go nie sprzedam, tylko mówię, że zamiast przekonywać się do mojej pracy, nabieram do niej wstrętu. To, co myślałem, że będzie środkiem walki, staje się środkiem zysku... w oczach ogółu... mija się ze swoim bezpośredniem przeznacze-

niem, mija się z tem, co zdaje mi się, że kocham nieświadomie, a gorąco... przestaje być szczeblem do ideału — a staje się czemś potwornie odwrotnem...

— Znajdziesz takich, co cię rozumieją, oceniają... pójdą za tobą — przekładała mu.

Ale August uniósł się.

— Znajdę takich — zawołał szyderczo — hahaha! Właśnie od nich uciekłem do was, aby przyjść do siebie. O nie myśl, że jestem tak czułościowy, abym aż ideałów szukał w ludziach... ale przekonuję się, intuicyą to wyczuwam, że my ludzie, my społeczeństwo, stoimy jeszcze ogromnie nisko kulturalnie — wśród nas żyć mogą tylko malutkie, zaściankowe ideały — dla wielkich, wolnych niema jeszcze miejsca, niema piersi dość szerokich, więc te wielkie, wolne karłowacieją, rozbijają się o koło młyńskie codziennego życia, które miele mąkę... na strawę... Hahaha... znajdę ludzi, którzy oceniają! mnie, epigona tej strasznej, przeklętej warstwy ludzi, zapalających się do ogromnych rzeczy, ale niewiedzących, jak te ogromne rzeczy wyglądają! hahaha!

— Nie, moja droga — rzekł sucho — tak nie dojdę do niczego. W tej chwili jasno mi się przedstawia wszystko. Kiedy do was uciekałem, i wtenczas z Blankenbergu, i teraz z Krakowa, uciekałem, jak raniony zwierz, nie wiedziałem co z sobą począć — ludzie targali mnie, człowieka, rozumiesz, ludzie mnie, człowieka, a ja gdzie byłem? w obłokach?... zamiast być z nimi wykonywałem ewolucye karkołomne ponad chmurami, ewolucye, nie mające żadnej styczności z życiem realnem, z tem życiem, które mnie gryzło. W tem tkwiła wścicka pomyłka! w tem był cały błąd.

— Ale może w tem właśnie, że byłeś inny, byłeś wielki — szepnęła nieśmiało Michasia.

— Moja złota, skończyny już raz z owem przekonaniem, które utrzymało się w mojem najbliższem otoczeniu co do mnie. To właśnie, żeście we mnie dopatrywali się kandydata na wielkiego człowieka, było waszym egoizmem, bo dogadzało wam — błagam cię skończmy raz z tem. A może to jest mojem nieszczęściem? może właśnie dlatego nie mogę dostosować się do życia i zrywam się na dziwaczne wysiłki!.. hahaha!.. przecież tak dalej, a będę poprawnem wydaniem Don Kichota.

Michasia namyśliła się i smutnie rzekła:

— Kto z nas wie, w czem tkwi bohaterskość... może w najmniejszym z czynów, jakie dokonywać można codzienn...

— Mniejsza z tem, moje złote dziecko, co się mnie tyczy, jestem już na właściwej drodze.

Błysk ciemny zaświecił mu w oczach. Przeszedł niespokojnie tam i napowrót po pokoju.

— Zamiast rozlewać się, pocznę się kurczyć — rzekł szyderczym głosem — trzeba się skurczyć, aby wejść w istotę pokurczonych dusz... czyż my wszyscy, jak jesteśmy, nie jesteśmy menażeryą pokurczonych dusz...? hahaha...

Michasia podniosła się z miejsca. Zabolały ją słowa brata.

— I myślisz, że znajdziesz w tem szczęście? — zapytała go jasnym głosem.

August gorączkowym ruchem wzburzył włosy na głowie. Coś zapiekło go w piersiach.

— Dlaczego chcesz — wyrzucił przez zęby — abym ja był inny od was? Dlaczego ja mam gryźć kości kiedy wy wygodnie karmicie się mięsem? co ty za posłannictwo spełniasz na świecie, aby do mnie tak górnio mówić? co?

Zdumiona spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami. Fala jego słów uderzyła w nią z siłą żywiołową. Pierwszy raz ktoś tak do niej mówił i brutalnie targał jej spokojne serce.

A on rozwścieczony tą właśnie myślą, która go zreć poczęła, miotał dalej wyrzuty:

— Po matce dostałaś majątek, tak, co? byłaś więc niezależna, czy to było posłannictwo? Przyszedł pan, powiem brutalnie, pan samiec, do ciebie panny — do panny czekającej — i cóż się stało? — małżeństwo! znaleźliście uzupełnienie wzajemne natur, czy to posłannictwo? — macie syna — i co dalej? gdzie góry? gdzie wasze życie podobłoczne? czy to życie od wiosny do lata, od lata do jesieni i zimy? — hahaha — gdzie w tem posłannictwo? obywatelstwo? — kpię z tego — to używalność przywilejów życia, a nie tworzenie życia.

Michasia zbladła. W przerażająco wyrazistym rysunku ujrziała siebie. Zbladły jej usta i zadrżały. W oczach zawisły duże łzy.

— To nie z żalu — broniła się — tylko powiedziałeś mi taką bolesną prawdę... jaka ja muszę być śmieszna w twoich oczach...

— Ależ nie — mówił żywo August, biorąc ją za rękę — nie jesteś śmieszna, żyjesz, jak żyją ludzie... To właśnie jest może śmiesznością, jeżeli chce się mieć życie innym, jak być ma... Do kroćset dyabłów... w mózgu ludzkim tkwi nieuleczalna choroba, którą powinno się leczyć jak dżumę, a tą jest pożądanie nowości, pożądanie ciągłych przemian. Tę chorobę zabić, a nie byłoby wo-

jen religijnych, nie byłoby stosów, nie byłoby filozofów, nie byłoby waryatów!

— Mówię podle — dodał, łamiąc rozpaczliwie palce w stawach — ale mówię trzeźwo...

Michasia cicho płakała. W sercu jej obumierało tajone marzenie... gasła gwiazda nad głową brata.

August nachmurzył się i stanął w oknie.

— Powiedziałem — rzekł po chwili — więcej niż chciałem. Ale ty to rozumiesz. Nie mogę odpowiadać za siebie w takim fermentacyjnym okresie, jaki teraz przeżywam. Jedna myśl pociąga za sobą drugą, a ta niespodziewanie trzecią, całkiem odmienną. Mniejsza z tem. Doszedłem wreszcie dzięki temu do bardzo ciasnego pojęcia, ale jasnego... trwałego... trzeba być człowiekiem... Ojciec nasz dobrze powiada: trzeba być zdrowym człowiekiem. A ja dodam: pokurczonym człowiekiem, byle raz wiedzieć, na czym się stoi i czego się chce.

Zamyślił się.

*

*

*

Na drugi dzień śnieg sypał biały, jak puch, i niezmordowany. Z pod szarego baldachimu leciały płatki zmrożone, ścielące się jedną warstwą na drugiej. Jak przez gęste, bezbrzeżne sito padały białe narcyzy... i zamieniały wszystko w ogród śnieżny...

Zaprężono sanie. Do jednych siadła Michasia z mężem i Jasiem — do drugich August z panią Natalią.

— Jedźmy przez las — zawołał August.

Po morzu opadłych śniegowych kwiatów mknęły sanki lekkie. Niepokalana białość czepiała się kopyt końskich, uprząży, siadała na grzywach, na futrach i czapkach.

— Będziemy mieli cudną drogę — rzekła pani Natalia.

— Za godzinę — odparł August z uśmiechem — kiedy wrócimy z przejażdżki — zamiast nas, wysiądą z saní dwa sople lodu i dwie barwy.

— Jakie? — zapytała.

Zamiast odpowiedzię wskazał ręką na ocean bielący się dookoła, i ten deszcz śniegu, który zasypywał wszystko.

— Wtenczas nikt nie powie — rzekł — że wysiadła pani Natalia i August, ale wszyscy powiedzą, że wysiadły — bliźnięta...

Oboje zaśmieli się serdecznie.

August pomyślał w tej samej chwili, że Sobica i Kama jadą może tak samo sankami po Alejach Ujazdowskich albo na Bielany.

— A ja jadę z panią Natalią — rzekł głośno, aby odpędzić kolec, który wbijał się mu w serce.

Zaśmiał się szyderczo. Z niechęcią spojrzął na swoją towarzyszkę. Zasypana śniegiem patrzyła na niego przez woalkę niebieskimi oczami zmieszana, niepewna.

— Może zawadzam panu — zapytała cicho po chwili — pan potrzebuje spokoju, a moje towarzystwo niekoniecznie dobrane.

August żywo zaprzeczył.

— Dlaczego pan ze mną nie ma być szczerym — rzekła — ani mnie to obraża ani boli. Owszem będzie mnie to cieszyło, że pan może spokojnie myśleć.

— Na Boga, zostań pani — zawołał August i chwycił ją za rękę w chwili, kiedy chciała zatrzymać woźnicę.

W milczeniu jechali dalej.

August był ponury. Słowa pani Natalii uprzytomniły mu kontrast, jaki zachodził między nią a Kamą. W ustach poczuł smak piołunu.

— Pies dla niej był wart więcej odemnie — pomyślał z wściekłością.

— A teraz — przelatywały mu przez głowę pytania w miarę, jak sanki szybciej lub wolniej sunęły — a teraz co robi? co myśli o mnie? Precz z nią! Darowałem ją Sobicy. Hahaha — tak — darowałem mu ją, jak pudełko cukrów. Odstąpiłem mu prawo zjadania słodczy.

Sanki podskoczyły w górę. Uderzyły o duży kamień, który ukrył się pod śniegiem. August przechylił się mocno w bok i omal, że nie wypadł. Pani Natalia minowoli wydała okrzyk przerażenia i instynktownie chwyciła go za rękę.

Spojrzał jej w oczy wystraszone ze zdziwieniem. Podziękował jej skinieniem głowy.

— Ratowała pani sopel lodu — rzekł po chwili z gorzkim uśmiechem.

Pani Natalia nic nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy. Uśmiech błąkał się jej po ustach.

— Kobieta — błysk nagły przeleciał mu przez głowę.

— Kama jedzie z Sobicą sankami a ja z nią — powtarzał z uporem.

Szukał jej ramienia. Znalazł je. Oparł się delikatnie. Nie odsunęła się w bok. Dreszcz ciepła przeniknął go całego. Bał się spojrzeć jej w twarz, aby nie wyczytała w jego wzroku czegoś, czego mogłaby się przeleknąć.

Na zakręcie sanie potoczyły się po łuku ostrym. Siła odśrodkowa zesunęła nagle panią Natalię w stronę Augusta. Chwycił ją za rękę, lecz kiedy dalej mknęli nie wypuścił jej dłoni.

— Jaka zimna łapka — szepnął.

Nie odpowiedziała nic, ale ręki nie cofnęła.

— Pamięta pani — pytał cichym głosem — naszą rozmowę w lesie?

— Pamiętam — odpowiedziała — po tysiąc razy wyrzucałam sobie później, że byłam względem pana tak niesprawiedliwa.

— Dlaczego?

— Bo czyż moje życie mogę przeciwstawiać w czemkolwiek panu, który przeżywasz myślą może tysiąc razy większe nieszczęścia. Moje nieszczęścia minęły, jak złamane gałęzie przez wichry — zapominam o nich... A pańskie? te wyobraźnią wykołysane? te w duszy przeżywane?

— Jak ona to dziwnie dobrze powiedziała — pomyślał.

Zmrużył oczy. Śnieg padał mu na twarz chłodnemi płatkami, a on w dłoniach trzymał drobną rękę kobiecą, która z zaufaniem bez zastrzeżeń, dała mu się zatrzymać. Rozkosz posiadania czegoś, coby mu było oddanem ślepo, niewolniczo, bez oporu, bez szarpania nerwów, ogarnęła go całego. Uśmiechnął się mimowoli.

— Czy ona wie, że umyślnie zatrzymałem jej rękę — zapytywał sam siebie — i coby powiedziała?

Chciał jej to dać uczuć, ale przeląkł się, że ją spłoszy i że znowu rzeczywistość wciśnie się między ich ramiona, ich oczy i myśli.

Milczał. Zamknął oczy. Na ustach siadały mu zimne gwiazdki, które rozpuszczały się szybko i grzały mu wargi... Z pod kopyt końskich szedł stłumiony huk, uciekającej w tył drogi... Siedzieli obok siebie blisko, wchłaniając w piersi mroźne, przeczyste powietrze...

— Dobrze tak — rzekł po chwili.

Pani Natalia przechyliła lekko w tył głowę. Blask młodości budzącej się do życia ponownego, siadł na jej policzkach różowych, na ciemnych falach włosów, które wymykały się z pod kapelusza, na rozchyłonych wargach...

— O czem pan myśli? — zapytała.

— O tem — mówił stłumionym głosem — że w życiu ludzkiem najlepsze są chwile, które człowiek ukradnie złudzie i że najstraszniej jest, kiedy człowiek nie może tych chwil zatrzymać.

— Nie zapomniał jeszcze o niej — pomyślała pani Natalia.

— Z rozmów z Michasią dowiedziała się o Kamie i o zerwaniu Augusta z nią, resztę dosnuła sobie w duszy.

— Pan sam mówił — pocieszała go poważnie — że każdy może posiadać szczęście. Jeżeli nie jedno, to drugie... a wiara wiele może.

August silniej uściskał jej rękę. Pani Natalia nie cofnęła dłoni. On zaś czując ciepło jej palców, począł zmysłami ogarniać ją całą, patrząc zmróźnionymi oczami przed siebie.

— Jestem mężczyzną — mówił do siebie — mam prawo do życia pełnego. Ona także. Pod sopłą lodu jej młode ciało także drży. Dlaczego nie mam być tym, który złudną chwilę przemienia w rzeczywistość? przecież jej rękę trzymam mocno i ona to czuje...

Obrócił głowę, spojrzął jej w oczy blaskiem rozgrzanych źrenic. Wydała mu się piękną — wydała mu się przedewszystkiem kobietą, która jak bluszcz owija się dokoła jego ramion.

Pani Natalia nie zamknęła powiek. Patrzyła na niego z uśmiechem.

Widział jej usta rozchylone. Pociągały go siłą nieprzepartą.

— Przypięć się do tych warg — krew szeptała w nim głośno — i nic nie mówić, bo wszystko będzie zrozumiane.

Strach go zdjął na myśl o tem, co może nastąpić. Opanował się siłą woli — pochylił głowę, zbladł. Usta mu drżały.

Pani Natalia spostrzegła tę nagłą zmianę w Augustcie. Uświadomiła sobie fakt, że jej dłoń spoczywa zbyt długo w jego rękach.

— Czy i on taki, jak inni? — pytała się w duszy z przerażeniem.

Serce jej poczęło gwałtownie bić. Krew uderzyła jej do twarzy. Gdyby mogła, zapadłaby się cała pod ziemię. Chciała cofnąć rękę — lecz w ostatniej chwili, kiedy spostrzegła błądność Augusta, zrzekła się tego oporu. Siedziała odtąd z lękiem w sercu, skulona, bojąca się słów, które mogła usłyszeć.

Ale August milczał. W duszy przeżywał całe piekło wstrząśnięć i pożądań, na zewnątrz nie wypowiadał się ani jednym słowem. Tylko usta silnie zacisnął i dyszał.

— Dlaczego Natalia niema być dla mnie taką dobrą, jak Kama? — stawił sobie pytanie.

— Czy różnią się czemkolwiek?

- Czem?
- Inny ma odcień włosów? inną kibić? inne rysy twarzy?
- Hahaha.
- Obie kobiety, do obu pecha mię ta sama siła, u obu znajdę tę samą rozkosz.
- Kamę sprzedałem, po Natalię tylko rękę wyciągnąć! będzie moja...
- Nie oprze się...
- Etyka? hahaha...
- Przedewszystkiem trzeba być człowiekiem — trzeba żyć poprostu, jak natura... trzeba pić u źródeł czystych, prostych...
- Ulegam jej ponętom tak, jak uległem ponętom Kamy? czy jest jaka różnica między nimi? niema żadnej.
- A więc?

Pochylił się naprzód — odwrócił głowę ku niej, dłoń jej mocno ściskając.

Pani Natalia w tej samej chwili chciała wyrwać mu rękę. Oczy mgłą jej zasły. Nie przemówiła ani słowa, tylko usta jej rozchyliły się więcej, tylko krew bujniej napływała jej do warg.

Szkarłat jej ust palił oczy Augusta. W jej pociemniałych oczach dojrzał głębie, która mogła napoić jego pragnienie. Przypił się ustami do jej ust i nieodrywał ich długo. Burza krwi grała mu w mózgu, w piersiach, w całym ciele.

— Moja, moja, moja — jakiś głos krzyczał za niego w otchłaniach duszy.

A ona próbowała odepchnąć go, próbowała zacisnąć wargi — napróżno. Był brutalnie silny. Osłabła. Głowę przechyliła w tył parta jego płonącymi ustami i przytłoczyła ją do poduszki śniegu, który zasypał oparcie. Chciała krzyknąć, ale myśl, że woźnica usłyszy, zabiła w niej głos.

August pił z jej ust żar rozkoszy. Zwycięstwo odnosił straszne, bolesne. Upajał się niem do nieprzytomności. Ustami szukał jej zimnych policzków, czoła, przestraszonych oczu — pił śnieg wpleciony w jej włosy.

— Moja, moja, moja! — jakiś ryk dziki uieupamiętania darł mu się przez gardło.

Puścił ją. Spojrzał w jej przerażone, nieruchome źrenice rozgorzałymi oczami. Nic nie chciał mówić, bo nie miał co. Nie zrozumiałaby tego. Od niej wszystko teraz zależało.

— Dlaczego nie uderzy mnie teraz — pytał sam siebie — dlaczego nie rzuci mi w twarz słowa: zwierzę? dlaczego zębami nie poszarpie mi rąk, którymi trzymam jej dłoń zsiniałą?

— Dlaczego milczy?

— Zatem niech rzuci mi się na szyję, niech mi powie: twoja jestem...

— Milczy.

Jakaś nieogarniona litość nad marnością własnego postępowania poczęła mu rozpierać piersi — ktoś palcami ścisnął mu gardło i wołał do ucha: podły — podły...

Pani Natalia błada siedziała nieruchomo. Ręce ukryła w zarękawku. Z pod zsiniałych powiek nawet łzy nie chciały płynąć.

W Augustcie zadygotały wszystkie nerwy.

— Ani moja... ani mściwa... tylko bezbronna... a ja nędznik...

Sanie mknęły po puszystym dywanie śniegu lotem ptaka. Dłonie czarodziejów sypały z bezdennej mgławicy, wiszącej nad doliną, chmury iskrzących się, bielejących płatków. Pod obfitością lecących kwiatków, gwiazdek i kulek wszystko ginęło i upodobniało się do siebie... Ocean bieli przewalał swoje fale dokoła...

August siedział ponury, wściekły na siebie. Piersi rozszadzało mu dzikie pragnienie ucieczki i zakopanie się w tych zapachach śniegowych, które chciał gryść, aby zatopić żar bólu... Na śniegu zostawiłyby krew swoich ust i razem z nią życie...

Pani Natalia skulona patrzyła przed siebie zamglonemi oczami. Bolesny zawód jękiem grał jej w sercu.

— Taki, jak inni...

Chciało jej się płakać, jak dziecku.

Nie czuła zniewagi, nie miała nawet żalu do niego, tylko gorycz pchała jej się do ust, że August stał się w jej oczach lichym, pospolitym człowiekiem.

Sanie wpadły w aleję dworu mięckowickiego. Woźnica strzelał z bata aż płaty olbrzymiego śniegu oblatywały z gałęzi.

Oboje wysiedli, nie patrząc sobie w oczy. Pani Natalia poszła do swego pokoju.

August widział, jak z wielkim trudem panowała nad sobą. W myśli rzucał jej się do nóg wobec wszystkich — ale rzeczywistość wryła mu nogi w śnieg i biła w twarz mroźnym powietrzem.

— Pierwsza próba kurczenia się — rzekł do siebie szyderczo — nie dała mi nawet policzka... powiedziała mi swoim milczeniem: powieś się, albo palnij sobie w łeb...

Zamknął się w swoim pokoju. Na stole znalazł pocztę krakowską. Przejrzał machinalnie adresy. Uderzył go list ze stempłą warszawską.

— A to od kogo?

Rozerwał list i znalazł podpis ojca Kamy.

— A ten czego chce odemnie?

Przeczytał list z gorzkim uśmiechem. Pan Kolecki upominał go, aby raz zaprzestał uwłaczających wycieczek przeciw osobie Kamy. Augustowi nie pomogą wierszyki humorystyczne. On, jako ojciec, przekonany jest, że ręka Augusta tkwi w tem wszystkim. Cała sprawa poczyną nabierać kształtów skandalu. August myli się, jeżeli sądzi, że w ten sposób uzyska rękę Kamy. Tak nie postępują ludzie honorowi. On, jako ojciec, nie cofnie się przed niczem, aby ukrócić raz tę beczelną samowolę.

August rzucił list do pieca. Patrzył bezmyślnie, jak papier buchnął w jednej chwili stosem czerwonego ognia i zczerniał.

— Tyle pozostało po Kamie — rzekł do siebie.

Przeszedł kilka razy przez pokój, zbierając myśli. Nagle stanął uderzony myślą nową.

— Trzeba wszystkim zamknąć usta — powiedział głośno, jakby się bał, że nie dosłyszcy własnej myśli.

— Tak będzie najlepiej.

Zapukał do pokoju pani Natalii.

— Proszę — odezwał się jej głos.

Wszedł.

Cofnęła się zmieszana na twarzy. Strach latał jej po oczach. Postawiła lampę, która drżała jej w ręce.

— Pan tu? — zapytała.

— Tak.

— Po co?

August stanął przed nią pełen szacunku i pokory. Patrzył jej w oczy ogromnie serdecznie i ogromnie ciepło.

— Po co? — powtórzyła pytanie.

— Chcę pani postawić jedno pytanie. Pani odpowie mi tak lub nie. Ja wiem, że pani odpowie tak. Pani musi odpowiedzieć tak. Czy pani chce być moją żoną?

Głos mu zadrżał. Jakieś nieznanne uczucie rozpierало mu tętnice. Słyszał stukot krwi w sercu...

Pani Natalia zżółkła jak воск. Oczy zaszyły jej mgłą. Najpierw zdumienie, potem przestрах przeleciał jej po źrenicach.

— Dlaczego? — wyszeptowała.

August zląkł się jej pytania.

— Sądzi — pomyślał — że chcę naprawić w ten sposób swoje hajdactwo.

— Nie z rycerskości — rzekł głośno — czynię to, ale czynię to z rozumu. Nie chcę kłamać. Nie powiem, żem zakochany w pani, jak szaleniec. Ale wiem, że znajdę w pani dobrą towarzyszkę życia.

Spuścił głowę i dodał smutnym głosem:

— Może powinienem był to wcześniej powiedzieć, zanim... zdobyłem się... na wybryk... ale pani przebaczy...

— Powtarzam prośbę... czy pani chce zostać moją żoną? i o jedno jeszcze proszę... niech pani nie każe mi czekać na odpowiedź... niepewność każda zabija mnie, a zwłaszcza teraz byłaby dla mnie męką... czekam...

Pani Natalia podniosła wzrok. Spotkały się ich oczy przez moment jasne, rozbłyśnięte.

— Tak — odrzekła cicho.

Podąła mu rękę. Ucałował ją i wyszedł, nic więcej nie mówiąc.

Pani Natalia długo w noc płakała.

VI.

Salon państwa Koleckich był zawsze ozdobą Warszawy. Pamiętano czasy kiedy królowała nieszczęśliwa Relą. A kiedy ta usunęła się z oczu ludzkich — zajęła jej miejsce z większym jeszcze powodzeniem Kama. Tej nie zbywało ani na piękności, ani na przymiotach towarzyskich. Przewyższyła zaś siostrę fantastycznym rozmachem, który cechował jej słowa i postępowanie. Zwłaszcza zaś w ostatnich czasach podbijała wszystkich urokiem tajemniczości, który ciągnął się za nią od Blankenbergu.

Osoba Augusta stała się mityczną. Mało kto go znał w Warszawie. Tembardziej też wszystkie wieści nabierały dziwacznych kształtów i zwracać zaczęły powszechną uwagę na młodą pannę, która przeżyła niedawno romantyczny epizod w swoim życiu.

Niepospolity dowcip i próżniacza bajkomania, cechujące błyszczącą Warszawę, dodawały kolorów całej historii i znajdowały w niej temat do długich, zimowych rozmów...

Kama czuła instynktownie, że ten dramatyczny welon, w który ją ubierano, podnosił ją w oczach wielu. Jak początkowo pragnęła stłumić całą legendę o Augustcie w zarodku, tak później wiele czyniła, aby pobudzić ciekawość ludzką. Przypuszczała, i może słusznie, że historia jej znajomości z Augustem, mało komu znana w szczegółach, może rozrość się niezwykle, ale nic nie zaszkodzi jej sławie... chyba w oczach matek-purytanek.

Ale w oczach mężczyzn?

Milczenie Augusta kłuło ją niewypowiedzianie. Chwilami rozpacz ją ogarniała, że zginął jej z oczu i że nie może wydrzeć mu z serca tajemnicy, jakie żywi względem niej uczucie po nagłym zerwaniu.

— Powinien wrócić do mnie — mówiła nieraz na cały głos, kiedy kładła się na spoczynek lub wstawała rano.

— Żeby był zimny jak lód, rozgorzałby pod mojemu oczami.

— A potem precz na zawsze! Odrącałabym go tak, jak grudę śniegu z bucika. Nie on, ale ja zerwałabym z nim! niechby przeżywał to, co ja przeżywam...

— Wróć, wróć! — rzucała myśl w powietrze, kiedy nagle głowa jego zjawiała się jej we mgle przymkniętych oczu.

Ale echo odnosiło napowrót myśl do mózgu razem z pytaniem, w którym zwracano się do niej w salonie, albo z dźwiękami rozkołysanej muzyki, albo z gwarem i chaosem ulicznym.

Zaciskała usta... w oczach migotał jej blask mściwości.

— Kiedyś spotkamy się — szeptała — a wtenczas odpłacę ci za wszystko...

Szukała upojenia w błyskotliwym życiu salonów. Tam czuła się królową. Tam na daleki plan schodziły wszelkie męczące kontrasty i zagadnienia, tam w pustym śniechu, w dowcipnych pojedynkach słów i spojrzeń, w rozgrzanej atmosferze dostatków, która spoufalala się ze wszystkim, co mieniło się sztuką, natchnieniem, wzniosłością i ze wszystkim, co było pospolitą obmową, ubraną w koronki humoru i życzliwej jadowitości i co było czezym altruizmem i błaznowaniem na tematy poważne, wśród przepychu dywanów i mebli, szelestu sukien i czarnych plam fraków... czuła się najbardziej swobodną.

Wspomnienie o Auguście malało wtenczas w jej pamięci i stawało się tylko echem dalekiem, niemal obojętnem.

Była szczodłą — bardziej szczodłą niż kiedykolwiek przedtem. Żaden z mężczyzn nie był jej teraz obojętnym. Każdy przedstawiał dla niej wartość łupu... Czy młody chłopak, któremu kilka zręcznych sonetów wyrbiło imię i otwarło świeżo salony i który z berłem wymarzonem w duszy czuł się dziwnie opuszczonym na gładkiej tafli posadzek, czy wytarty lowelas, który ustami mówił: „pani A ma pożyczoną kolie“, oczami wołał „czczę cię“, a palcami dotykał się lubieżnie jej obnażonego ramienia, czy obywatel ziemski, któremu tuzin wsi dawał wstęp wszędzie i który przeglądał zebranie, jak łan kapusty, myśląc o tem, jaka główka najsmaczniejszą będzie, czy wreszcie znudzony technik, który uciekł od żony, bo zabijała go młodą miłością...

wszyscy byli dla niej dobrzy, bo zjadali ją oczami, bo mieli westchnienia lub gorące słowa.

Znajdowała w tem upojeniu. Czowała wyciągnięte do siebie ręce, płonące wargi — rozmarzone szept. Powódź kwiatów i uśmiechów, ciepło salonów, ciepło rąk i objęć tanecznych, światła lamp, kinkietów i żary spojrzeń wytwarzały ten haszysz, którym gasiła gorączkę. Musiało tego być wiele, bardzo wiele, aby zabijało myśl o Augustcie i osładzało cierpkość wspomnienia.

Wyrastała na lwicę salonową.

Był jeden tylko człowiek, przy którym traciła swobodę i śmiałość spojrzenia. Instykt mówił jej, że człowiek ten staje się jej cieniem męczącym, ale nie miała siły pozbyć się go otwarcie. W rzeczywistości miała nawet do niego pewną słabość.

Doktor Sobica był jedynym jej znajomym, który żył z Augustem, a nawet zwał się jego przyjacielem. Wprawdzie Sobica był małomówny, lecz czy mogła przewidywać, kiedy od niego usłyszy coś więcej?

Chwilami szarpał nią ból rozkoszy na myśl, że miłość ku niej może wcisnąć się między dwóch przyjaciół i zerwać między nimi wszelkie węzły.

Ale Sobica miał wielkie wady. Nie był w niczem podobnym do tego tłumu młodzieży, która wybornie harmonizowała lekkością towarzyską z jej upodobaniem. Doktor od ostatniej bytności w Krakowie stawał się coraz bardziej szorstki, a nawet brutalny względem niej. Nie dostrzegało tego otoczenie, bo unikał tłumnych zebrań, a nawet na ogół rzadko się z nią widywał — ale ilekroć razy był z nią sam na sam, dawał jej uczuć swoją przewagę moralną i fizyczną.

Domyślała się, że Sobica musiał dużo mówić o niej z Augustem, ale co mówił?

Chciała go ująć, ugłaskać. Ale Sobica nigdy nie przestawał być sobą.

— Otrzymałam list z Krakowa — skłamała raz, kiedy idąc w towarzystwie miss Terry, spotkała go na Nowym Świecie.

Doktor drgnął, ale po chwili uśmiechnął się obojętnie.

— Od kogo? — zapytał chłodno.

— Proszę zgadnąć — podsyciała rozmowę.

— Zgadywać nie lubię, to zajęcie dla dzieci, wolę wiedzieć.

— Nie, nie powiem. Nie panu z tego nie przyjdzie, choćby pan nawet wiedział! — westchnęła — dużo w tym liście melancholii, jeszcze więcej skargi na samotność... to pana nie będzie bawiło.

Sobica spojrział na nią swojemi szaremi oczami, które miały błysk zimnej stali.

— Po co było w takim razie mówić mi o liście?—rzekł szorstko.

Kama sponsowała cała. Spojrzała na miss Terry. Ale ta owineła wyżótkłą twarz w boa i była zła, że zwolnili kroku.

— Pan mówi do mnie — powiedziała po chwili z gniewem — jak do kogoś, co nawykł do bata.

Doktor uśmiechnął się ironicznie.

— Ja tak zawsze mówię — odparł — do panien, które mają bujną fantazję. Zresztą, po co to wszystko obwijać w bawełnę?— Pani przecież nie otrzymała żadnego listu od Augusta, prawda? pani chciała jedynie przekonać się, jakie to wrażenie wywoła na mnie — prawda?

Kamie łyzy stanęły w oczach ze złości. Nie odezwała się ani słowa do niego. Razem z miss Terry przyspieszała kroku.

Doktor Sobica nie zważając zupełnie na to, szedł obok niej dalej.

Kama pomyślała:

— Mam tyrana.

Ale zamiast oburzyć się, jeszcze bardziej uśmiechnęła się do siebie. Odwróciła głowę, aby Sobica nie dostrzegł tej zmiany u niej. Przyzwyczajona do tego, że wszyscy jej ulegali, znajdowała w tem nawet okrutną przyjemność, że obcy człowiek, jakim był Sobica, żył z nią wciąż na wojowniczej stopie i znęcał się nad nią.

Trzpiotowatość wzięła nad nią górę.

Przystanęła nagle przed wystawą najbliższego sklepu. Rozpędzona miss Terry uszła z dziesięć kroków, zanim zatrzymała się.

Sobica najspokojniej w świecie zbliżył się do Kamy i rzekł:

— Miss Terry zapóźno zahamowała swój wehikuł.

Kama spojrzała w stronę Angielki. Miss Terry wykrzywiła twarz nielitościwie, jakby miała fluksyę i czekała na nią zrozpaczona. Od zimna oczy wychodziły jej na wierzch.

Kama wybuchnęła śmiechem. Zapomniała o gniewie i swoim upokorzeniu i posłała Sobicy rozkoszne spojrzenie, a z drobnych jej purpurowych warg spadło słowo:

— Nicpoń.

— To się pani podoba?

— A tak — odparła z komiczną miną — podoba mi się każdy nicpoń. I cóż z tego?

— Z tego ta prawda wynika, że ktoś, kto nie chce, musi mnie cierpieć.

— A jeśli chce? — powiedziała, patrząc mu w oczy z wyzywającą kokieterią.

— W takim razie najlepiej byłoby, aby miss Terry jeszcze raz rozpędziła się i już całkiem nie zahamowała swego skrzypiącego wehikułu.

Kama zaśmiała się na cały głos i uderzyła doktora po rękę. Sobica nieznacznie pocałował miejsce zaczerwienione na dłoni i rzekł zniżonym głosem:

— Oddam z naddatkiem przy najbliższej sposobności.

Kama wydeła pogardliwie wargi, ale pomyślała równocześnie:

— Czy by śmiał? jak? kiedy?

Oczy jej zamigotały wewnętrznym ogniem uciechy. Sobica grał jej na nerwach brutalnie.

— Jak on mnie inaczej kocha, jak drudzy! — mówiła sama do siebie w najskrytszych tajnikach duszy.

Wszystko troje szli razem szybkim krokiem. Miss Terry pokazywała Sobicy poźółkłe zęby w uśmiechu, za to, że przyspieszył kroku. Zarzuciła boa dokoła szyi tak, że ukryła w niem uszy, jakby nie chciała słyszeć tego, o czem rozmawiają młodzi ze sobą.

— Miss Terry jest zgorzozona — szepnęła Kama do Sobicy z wesołym uśmiechem.

— Miss Terry sprzedała mi panią — odparł Sobica — za miskę soczewicy. Pójdę dwa razy szybciej, i założę się, że nakryje całkiem głowę, aby nie widzieć, co się stanie z nami.

— I cóż mogłoby się stać? — zapytała, topiąc w jego źrenicach powłóczyście, dyabelne spojrzenie.

— Wszystko co ja zechcę — powiedział świszczącym głosem. Oczy odwrócił w bok. Nie chciał nic więcej powiedzieć.

Kama sposepniała.

— Czy ten człowiek — pytała się w duszy — nigdy nie powie mi gorętszego słowa? Nigdy nie wykrztusi wyznania miłości?

— Muszę wiedzieć wszystko — wołał w niej głos nienasyconego pragnienia w głębinach duszy.

— A potem co? — szeptał strach w jej uchu.

— Pójdzie swoją drogą a ty swoją — odpowiadał głos rozsądku.

— Zatem dziś albo nigdy!

Sobica równocześnie myślał:

— Za miesiąc będę mianowany sekundaryuszem szpitala. — Zacznę praktykę w centrum. Nie będę wtenczas nędzarzem.

Kama zwolniła kroku umyślnie. Zbliżyła się do Sobicy tak, że jej ciepły oddech uderzał go w twarz.

— W sobotę będzie u nas bal — rzekła — doktor otrzyma zaproszenie. Czy doktor będzie?

— Wątpię—odparł—ale w oczach zatańczyła mu sala błyszcząca od świateł i postać Kamy o bujnych, obnażonych ramionach, w których topił oczy rój młodych ludzi.

Serce zaskowyczało w nim na myśl o tem i krzyczało:

— Będziesz! będziesz!

— Nigdy nie widzę doktora — mówiła Kama dziwnym głosem, w którym brzmiały tony namiętne — nawet wtenczas kiedy chciałabym go widzieć.

— Będzie dosyć takich, co polują na podobną chwilę—mówił Sobica szyderczo. W oczach świeciły mu ognie ponure.

— Czy to dobrze? — pytała, — pochylając ku niemu głowę. Melodya skargi dźwięczała w jej słowach.

— Ja nie wiem — rzekł chrapliwie — pani wie.

Jakieś nieznanne głosy krzyczały w nim i zaklinały go:

— Milcz! milcz! Nic nie mów!

Upór Sobicy podniecał Kamę. Rozpalone rumieńce wystąpiły jej na twarz. Serce biło w niej głośno.

— Niech będzie co chce, musi mówić — powtarzała w myśli, oszalała niezaspokojoną ciekawością.

— A jeśli serce czyje umęczone woła, że mu się krzywda dzieje, woła ratunku, woła wybaw mnie.... a słyszy tylko milczenie.... czy to dobrze?

Sobica stanął. Pierś szarpały mu sprzeczne porywy. Jęk bitego, katowanego uczucia, które rwało się do jej postaci, huczał w nim jak dzwon żelazny.

— Ręce wyciąga do ciebie — łkały w nim głosy — a ty ją odpychasz? bierz ją! twoja!

— Milcz! milcz! — przerażone myśli powtarzały.

— Czy to dobrze? — szepnęła Kama, zamykając oczy.

W tej chwili gotowa byłaby rzucić mu się na szyję, gdyby otwarł ramiona.

Sobica szedł obok niej zimny, ponury, tylko usta mu drżały chwilami.

— Pan nie odpowie?—rzekła wreszcie ze łzami w głosie... Zdawało jej się, że traci kogoś najdroższego na świecie.

Sobica chwycił ją za rękę.

— Pani chce wiedzieć — mówił świszczącym, nieubłaganym głosem — pani będzie wiedziała. Na to przyjść musi czas. Mój czas. Do widzenia... na balu.

Uklonił się jej i znikł w tłumie.

Kama wróciła do domu rozdrażniona. Czuła, że z Sobcią przegrywała stawkę po stawce. Każdy ryzykowny krok z jej strony zbliżał go do niej więcej, niż chciała.

Kiedy w myśli przebiegała ostatnią z nim rozmowę na ulicy, nie mogła wstrzymać się od płaczu. Widziała jasno, że nie ona, ale on wyszedł zwycięzcą.

Zdejmował ją lęk przed tym zagadkowym dla niej mężczyzną, który oczami mówił jej o tem, że szalał za nią,—a na ustach miał słowa ostre, jak lancety.

— Czego on właściwie chce odemnie?—stawiła sobie gorączkowe pytanie—czy się boi Augusta? czy mści się na mnie? za co?

— Czy nie chce rodzicom oświadczyć się o moją rękę?

Cała burza zastygała w niej na myśl o tem. Jakieś chłodne palce wnikały jej w piersi i wyrywały dygocące serce.

— A jeśli tak będzie? — szeptało w niej złe przecucie.

Wiedziała, że może odpowiedzieć:—nie—wiedziała, że rodzice z pewnością odpowiedzą „nie,“ lecz czy to wystarczy?

Nie znajdowała na to odpowiedzi. Przestraszona wyobraźnia pierzchała przed tem bezlitosnem pytaniem, jak ptak przed jastrzębiem. Obumarła cisza zaległa jej mózg. Życie zdawało się stać w niej na chwilę, jak zatrzymany zegar...

Odtąd niepokój dręczył ją dziwny, niewytłómaczony. Chciała ojcu powiedzieć o wszystkim, ale wydało jej się to śmieszną rzeczą.

Zresztą ojciec za bardzo brał sobie do serca wszystko to, co się jej tyczyło. Tak było ze złośliwym wierszem, pomieszczonym w „Hecy,“ której egzemplarz przysłano im z Krakowa.

Kama broniła wprawdzie Augusta, że nie byłby zdolny do czegoś podobnego, aby siebie i ją wyśmiewać publicznie, i że to zrobili jego nieprzyjaciele, ale pan Kolecki nie dał sobie tego wytłómaczyć.

W tajemnicy przed córką napisał też list do Augusta, sądząc, że w ten sposób przetnie całą intrygę.

Tem bardziej pragnął świetnym balem zadać kłam wszystkiemu.

Splendor domu, tłum sproszonych gości, przepych przyjęcia, miały być tym stalowym puklerzem, od którego powinny się odbić zaśnieżone grotty ludzkiej obmowy.

Zachowanie się Kamy w ostatnich czasach niepokoiło go silnie. Nie widział celu w tej gorączce towarzyskiej, która ją trawiła. Kiedyindziej byłby nawet z dumą patrzył na to, jak rój złotej młodzieży otaczał jego córkę i pochylał głowę przed nią, jak łan barwnych kwiatów.... może wsłuchiwałby się w muzykę śmiechu, który dolatywał od jej koła, jak w najpyszniejsze ustę-

py jakiej symfonii — ale od powrotu z Blankenbergu raziała go lekkomyślność córki.

— Wpłyn na Kamę — mówił w przeddzień balu do żony — aby zaczęła poważniej patrzeć na życie. My bale wydajemy nie tylko dlatego, aby się bawiła, ale przede wszystkim dla tego, aby to bawienie skończyło się małżeństwem.

Pani Kolecka podparła głowę i westchnęła.

— Pewnie że tak powinno być — rzekła — ale Kama śmieje się, kiedy jej to powiadam. Zaręcza mi, że ty wydajesz bal dla reklamy swego nazwiska, a nie dla niej.

— Moja droga — odparł rozniewany — to już twoja rzecz. Jesteś matką. Do ciebie należy wybić jej głupstwa z głowy. Każda panna starzeje się i ona także.

— O, o, daleko jej do tego — zaprotestowała pani Kolecka.

— A ja ci powiadam, że starzeje się. Ma już lat dwadzieścia trzy... Za rok wyjdzie zupełnie z kursu. Od lat pięciu bywa na balach, a ludzie zrobią z tego lat dwadzieścia.

— Jaką wychowałeś, taką masz — broniła się pani Marya — zrobiłeś z niej despotkę, która nam i sobie zatruwa życie.

Pan Kolecki rzucił akta na biórko i zamyslił się posepnie.

— Nie martw się Wojtusi — uspakajał go żona, widząc, że jest smutny — zrobię co będę mogła, wpłynę na nią... Kama ma poczciwe serce.

— Z nią trzeba ostrożnie — powiedział pan Kolecki melancholijnie — czy wiesz co się stało z Relą? wiesz?... trzeba z Kamą ostrożnie... niedobrane małżeństwo, to wcześniej czy później skandal albo męczarnia.

Pani Marya ucałowała męża w czoło i łzę mu otarła płynącą niespodziewanie z oczu.

— Straciliśmy Relę — szepnęła — to była twoja najukochańsza...

Pan Kolecki zerwał się z fotelu, złapany na gorącym uczynku tkliwości.

-- Mogłabyś raz przestać mówić o tej waryatce...

— Sam wspomniałeś jej imię.

— Bo mnie wolno — zaperzył się — bo ja wiem co mówię, bo chciałem ci dać przykład.

Pani Marya z rezygnacją patrzyła na męża.

— Tak Wojtusi — rzekła po chwili — masz słuszość. Z Kamą trzeba ostrożnie, ale koniecznie trzeba coś zrobić. Tu moja głowa nie wiele poradzi. Ty musisz się wziąć do niej. Masz argumenty, masz stanowczość w głosie, wreszcie krzykniesz na nią... ona ciebie usłucha.

Pan Kolecki zmarszczył brwi. Pamięć przyniosła mu z przeszłości obraz bolesny, jak za dręczenie kanarka chciał ukarać dwunastoletnią Kamę, i jak ona wtenczas skoczyła na okno i zagroziła mu, że się rzuci na ulicę, jeśli ojciec podniesie na nią rękę.

— Nikt jej nie zmusi do niczego — szepnęła — ani ja.

— Wiedziałam o tem — westchnęła pani Marya.

Ale na balu odgrywali rolę ludzi, na których niebo łaskawe i żadna chmurka nie zasłania słońca powodzenia.

Rozległe stosunki, wytworność przyjęć, olbrzymi majątek, gromadziły w salonach państwa Koleckich mnóstwo osób. Zwłaszcza młodzież o pięknych nazwiskach gęsto przeplatała towarzystwo.

Pani Kolecka miała talent rozgrzewania atmosfery salonowej. Łączyła zreźnie ze sobą osoby, które szybko znajdowały wspólnotę myśli i spoufalaly się ze sobą. Nie pozwalała nikomu ziewać z nudów. Dopóty krążyła w koło, dopóki osowiałego pana lub panią nie zajęła czemś, co ich silnie poczęło interesować.

To też w ramach olbrzymich sal, na błyszczących, jak tafle wody posadzkach, wśród makat, drogocennych luster i wytwornych obrazów, gwar rozmów kołysał się, jak wiosłem gnane fale, i odurzał każdego, kto tu pierwszy raz zawitał. Śmiechy, rozbawione twarze, czarujące spojrzenia, dowcipy błyskające co chwila niby ognie sztuczne, toasty, upajające tony muzyki, wir płasów tanecznych, młode ciała kobiet, wychylające się z kielichów sukien tkanych barwami kwiatów, białe gorse męzkich ubrań, surowym kontrastem podnoszące bogactwo kolorów—zlewały się w jedną, natężoną harmonię błyszczącego, pieniaącego się, jak szampan życia.

D-R T. KONCZYŃSKI.

Z życia ministra Lubeckiego.

VI.

Rząd i Klub.

W pierwszych dniach listopadowego powstania „Księżę Lubecki szczególniejszą obudzał drażliwość“ (u Czerwonych) „z powodu wielu postanowień przeciwnych konstytucyi, których się sam dopuszczał, albo które swoim podpisem zatwierdzał. Jednakże umiano cenić i z wdzięcznością wspominano, że podniósł skarb krajowy, że w Radzie Administracyjnej stawił czoło p. Nowosilcowowi, którego obecność na tej Radzie w charakterze komisarza cesarskiego sama przez się była złamaniem konstytucyi; że się samymże nakazom W. Księcia śmiał opierać. Teraz znowu ze wszystkich kolegów najdzielniej opierał się burzy. Przytomność umysłu i cierpliwość niewyczerpaną okazywał w odpowiedziach i przekonywaniu; brał na stronę jednego po drugim, najgorętszych z całej gromady; sam wywoływał z przeszłości najdrażliwsze kwestye; przyznawał otwarcie, że wielkie zaszyły błędy i nieregularności tak z jego, jak i Rządu strony; ale zarazem tłumaczył, uniewinnił intencye; przywodził wypadki, cyfry, rezultaty pewne, któremi podziw sprawiał; wreszcie, używając naprzemian otwartości, lub półwierceń, wymowy lub poufałości, ujmował jednych, drugim płatał szyki, biorąc ich z kolei do rozmowy.“

Takie żywe a wymowne świadectwo daje niespożytej energii Lubeckiego naoczny świadek, który był *magna pars* opisanych wydarzeń, całe dnie przepędzając w gmachu Bankowym a noc w Wierzbnie: sam Władysław Zamoyski; tak mówi w Pamiętni-

ku, który spisał w rok niespełna po tych chwilach, tak doniosłych w dziejach narodu, w listopadzie roku 1831.

Istotnie, przez pierwsze trzy dni powstania, od północy 29-go listopada, do powrotu delegacji rządowej z Wierzbna, ster Rządu znajdował się w ręku niezmordowanego Ministra. Inni członkowie czy to Rady, czy też później Wydziału wykonawczego, rozprawiali, stawiali wnioski, oponowali czasem i przysparzali tem pracy Lubeckiemu, musiał ich bowiem „brać na stronę i przekonywać;“ wszelkie jednak uchwały zapadały po myśli Lubeckiego, co najwięcej z jakimś odcieniem kompromisu, zwłaszcza wobec księcia Adama. Ale nawet i te ustępstwa, jeśli Lubecki uznał je za konieczne, przekształcały się w jego głowie na zawiązki nowych pomysłów, nowych środków do tego samego celu, od początku tego samego, który stał ciągle przed bystreimi oczyma Księcia, jak gwiazda świecąca sternikowi ponad wzburzonym morzem.

A przecież, gdyby nie on, gdyby nie Lubeckiego żelazna energia, gdyby nie jego zdumiewająca w tych trzech dniach czynność i pomysłowość: czy przetrwałoby powstanie nawet i przez te dwa, trzy dni, to powstanie, które on za największe poczytywał nieszczęście? Pytanie—bez odpowiedzi; pytanie jednak, które narzuca się samo przez się, z koniecznością nieubłaganą. I nie dziś tylko, z oddalenia trzech ćwierci wieku; narzucało się ono współczesnym, entuzyastom nawet i przeciwnikom listopadowego powstania. Tak myślał W. Ks. Konstanty i wypowiedział tę myśl ustami żony w gorzkich wyrzutach, z którymi Księżna Łowicka napadła na Lubeckiego. Ta sama myśl snuje się nieprzerwanie w opisie Barzykowskiego; on zaś, członek Rządu Narodowego w całym niemal ciągu powstania, nie swoją tylko myśl indywidualną wyraża, jest echem całego grona najwybitniejszych w powstaniu ludzi. „Powstanie“—mówi—„było prawie bez żadnej siły, wojska narodowe w obydwóch znajdowały się obozach... Warszawa jeszcze szczerze do powstania nie przystąpiła, młodzież tylko czynna uwijała się, a więc nic jeszcze pewnego, nic zdeklarowanego nie było. Z drugiej strony, W. Książę miał aż nadto siły, aby powstanie roztrącić, potrzebował tylko ku temu być namówionym, pełniętym, a w odwodzie miał całą potęgę Caratu gotową zawsze ku odwetowi i zemście. Wprawdzie okrzyk do broni rozległ się, walka była toczona, krew popłynęła, lecz w tych pierwszych chwilach kto wiedział, kto mógł odgadnąć, czy to był rozruch, tumult, bunt wojskowy, czy rzeczywiste powstanie?... Sam Lelewel, który we wszystko był wtajemniczony, któremu

związkowi ustanowienie władzy poruczyli, powiada: „„Twórcy nie wzięli żadnego środka do objaśnienia swoich myśli, Rząd więc musiał odgadywać rewolucję.““ My więcej powiemy, naszym przekonaniem jest, że sami związkowi, robiąc powstanie, nie mieli jasnego wyobrażenia, czego ostatecznie chcieć trzeba i gdzie się ostatecznie zatrzymać należy. Na traf i los wszystko było puszczone... Wśród takiego położenia, wśród tej zupełnej nieświadomości, dla czego i w jakim celu za broń ujęto i walkę rozpoczęto, zgromadziła się Rada, odnowiła swój skład, ujęła za ster nawy narodowej już burzą miotanej i do narodu przemówiła... Z odezwy Rządu było wprawdzie wielu niezadowolonych, ale gdy ujrzeli na niej podpisy Czartoryskiego, Niemcewicza i innych, wszyscy byli zaspokojeni, nawet uradowani, i dopiero wtenczas jakieś zaufanie zaczęło się ukazywać. Oni więc jedynie uratowali powstanie— to wszystko mówi Barzykowski. Raczej uratował powstanie ten, który ich do Rządu wprowadził: ksiązę Lubecki.

Gdyby nie to meżkie, to proste, zacne: *Trzeba być na swoim miejscu...* gdyby Lubecki do myszej dziury się schował, jak Sobolewski, jak Stanisław Grabowski, jak inni ministrowie—nie wiadomo, co by się było stało. Wiadomo tylko, co się stało przez „odnowienie“ Rządu z jego inicjatywy. Twórcy ruchu nie umieli, nie mogli wytworzyć Rządu, którego by słuchano. „Odnowiony“ zaś Rząd, choć w pierwszej chwili przemawiał w imieniu króla, osłonił rewolucję wbrew swym zamiarom, „uratował powstanie,“ jak mówi Barzykowski. Pod opiekuńczym skrzydłem Rządu rośło wbrew jego woli to wątle piskłę i nabierało siły, tyle siły, że stary ptak odmłodzony musiał, i znów wbrew własnej woli, przystosowywać się coraz bardziej do podzruczonego dziecięcia. Przez przezorność przestał zrazu przyznawać się otwarciem do króla, któremu posłuszeństwa nie wypowiadał, wierność pragnął utrzymać. Później zbaczał coraz bardziej z tej linii wśród dalszych metamorfoz, przed którymi nie mógł się już obronić, aż wreszcie ujrzał w swym składzie najzagorzalszych przywódców ruchu i jeden miał tylko środek—wyrzucić ich z swego łona: ostatnią metamorfozę w Rząd Tymczasowy, stający jawnie na czele rewolucyi.

Krótko przed tą ostatnią metamorfozą, Lubecki wręcz oświadczył Księżnej Łowickiej „że wstrzymać rewolucyi nikt już nie zdoła.“ Wówczas, wieczorem 2-go grudnia, było tak rzeczywiście. Czy jednak Ksiązę Minister, wracając z Wierzbna, zdawał sobie dokładnie sprawę, że ten stan rzeczy był głównie jego własnem dziełem? Jeśli tak, to teraz bardziej, niż kiedykolwiek głos sumienia kazał mu ręk nie opuszczać i *być na swoim miejscu...*

Tymczasem dalsze jego postępowanie — zdawałoby się — nie licuje z tą wymowną dewizą. Zdawałoby się, że stracił głowę. Najsprawiedliwszy, najprzychylniejszy Lubeckiemu autor z pośród świadków jego ówczesnego działania, tak się wyraża: „Śmiało z początku po drodze pełnej niebezpieczeństwa postępował, wiele zrobił, ale droga była mylna i nakoniec zawieść musiała; wśród trudności opadły mu ręce i w końcu wierność dla Cara przeniósł nad wierność ojczyzny i tak swoje polityczne życie na scenie polskiej zakończył.“

Z pozorów sądząc, nie łatwo nawet oprzeć się takiemu wrażeniu. „Wyczerpała się w żelaznym człowieku odporność nerwów, kochający ojciec rodziny wziął górę nad mężem stanu; ustępował lękliwie, w końcu skorzystał ze sposobności, żeby się wymknąć“ — tak myślał o Lubeckim niejednen z najprzychylniejszych. I to jednak, co dotychczas było wiadomem o jego postępowaniu po 3-im grudnia, mogło już sumiennego sędziego ostrzegać przed wydaniem stanowczego wyroku. „Zagadkowy, tajemniczy mąż, i nie można być dosyć baczny w ocenieniu jego postępowania“ — to słowa sumiennego Barzykowskiego w opisie wydarzeń 3-go grudnia. Zagadka pozostałaby na zawsze zagadką, gdyby zaginęły papiery Lubeckiego, do których od lat 74 nikt nie zaglądał. One w innym świetle rzecz przedstawiają. A nie są to pamiętniki, w których autorowie tak często zwierają się potomności z swych ukrytych myśli i najczystszych intencji, gdy już dawno przebyli przysłowiową ulicę, wybrukowaną najlepszemi chęciami. Nie; są to wszystkie papiery z grudnia 1830 i z następnych miesięcy, po największej części bruliony z licznemi kreśleniami i poprawkami, z tymi wymownymi śladami myśli, z wysiłkiem pracującej, z wernem odzwierciedleniem chwilowego nastroju i chwilowych nadziei. To dokumenta pierwszorzędne, ważne a nie dla potomności pisane, lecz do natychmiastowego w danej chwili użytku, *nie* dla przyszłego historyka. Przypadek je zachował, nieuporządkowane i od lat tyłu przez nikogo nietknięte; najbliższa nawet rodzina nic nie wiedziała o ich istnieniu. I nie dziw, bo Lubecki rozumiał doskonale po roku 1831, że niebezpieczną, wielką grę *przegrał* i ani nie mówił o niej, ani w jej pamiętkach się nie rozglądał.

*

*

*

Po powrocie z Wierzbna, od W. Ks. Konstantego, Deputacya nie mogła nawet złożyć Radzie porządnego raportu o niepomyślnym skutku misyi, po której przed kilku godzinami tyle się spodziewano. O ścianę bowiem od sali obrad Rządu czekała powrotu czterech delegatów—inna, *sui generis* deputacya: deputacya Klubu Patryotycznego; cały zaś plac Bankowy pełen był tłumów, które miały posłużyć do terroryzowania zgromadzonego w gmachu Bankowym Rządu. Członkowie Rady i Wydziału, wyczekujący od 8-ej godziny powrotu czterech delegatów z Wierzbna, nie wiedzieli co począć z zuchwałą deputacyą Klubu, żądającą wpuszczenia do sali obrad. Z czem jednak przybyła ta deputacya, wiedzieli mniej więcej z góry, ostrzeżeni zawczasu przez referendarza Grzymałę, który wprost z wieczornego posiedzenia Klubu przybył do Banku, wyprzedziwszy o chwilę 12 członków klubowej deputacyi. Jednomyślne było poczucie, że nie można wpuścić klubowców na posiedzenie Rządu. Wyprawiono do nich Kochanowskiego i Dembowskiego; daremnie próbowano pozbyć się niepożądanych gości, pod pozorem, że Rada nie zebrana w komplecie; klubowcy oświadczyli, że będą czekać, dopóki delegaci nie powrócą z Wierzbna. Byli nawet tak grzeczni, że i po ich powrocie czekali dalej na wpuszczenie do sali, póki Rząd nie wysłucha raportu delegatów.

Z roztargnieniem więc słuchano raportu, a sama już treść jego, przygnębiająca i niweczająca wszelkie wygórowane nadzieje, jakie pokładano w chybionej misyi do Konstantego, potęgowała straszliwą troskę decydującej chwili: co począć z klubowcami w sąsiedniej sali. Straszliwa troska — bez przesady straszliwa, w takiej chwili, gdy rozbiecie rokowań z W. Ks. Konstantym sprowadzało zupełną zmianę położenia, wymagało tem więcej zimnej krwi i rozwagi. Wszak Lubecki, wyjeżdżając do Wierzbna, wyrzekł owe pamiętne słowa, że rezultat rokowań z W. Księciem pokaże, czy będzie można nadal pozostać „w obrębie konstytucyi,” czy też „będzie konieczność wystąpienia z niego.“ Teraz właśnie przyszło o tem rozstrzygać, przyszło powziąć postanowienie decydujące może o przyszłości narodu — pod naciskiem klubowców i ulicy.

I teraz zatem, jak przed powrotem delegatów z Wierzbna, Rząd stał na stanowisku odpornem, stał na niem jednomyślnie i nikt głośno nie łamał jednomyślności, ani Lelewel nawet, prezes Klubu, ani Ostrowski, na którego Klub liczył. Gustaw Malachowski, jeden z czerwieńszych członków opozycyi sejmowej, najwymowniej, najenergiczniej sprzeciwiał się przyjęciu klubowej

deputacyi. Przemógł półśrodek: wyznaczono „deputacyę“ do rozmówienia się z klubowcami, pod przewodnictwem Kochanowskiego.

Oko w oko spotkały się ze sobą dwa pokolenia. Kasztelan Michał Kochanowski, nad grobem stojący starzec, połowę życia przeżył był jeszcze w niepodległej Polsce. Pierwszy rozbiór zastał go w szkole kadetów: chciał zabić, zarząbać Ponińskiego. W Sejmie Czteroletnim należał do najgorętszych a najpracowitszych zarazem posłów; był członkiem Rządu za Kościuszkowskiego powstania. I po trzecim rozbiórce rąk nie opuścił, krzątał się energicznie około zgromadzenia reprezentacyi narodowej w Medyolanie, pod osłoną Legionów; austriackiem więzieniem przypłacił te zabiegi. W roku 1806, on z kilku innymi rozbitkami Wielkiego Sejmu, witał Murata u rogatek Warszawy, wstępując na tę cierniową drogę, na której „między Jeną a Tylżą,“ za czasów Księstwa i w początkach Królestwa, niezmordowaną pracą i cierpliwem zaparciem siebie tyle zasług położył, jedno tylko zdobywając dla siebie: ciężko zapracowaną aureolę wielkiej cnoty obywatelskiej i czystego, jak kryształ patryotyzmu. Współ z księciem Adamem, z Bnińskim i Bielińskim, był w r. 1828 redaktorem wyroku i raportu Sądu Sejmowego. On, nie kto inny, był wczoraj rano gorącym orędownikiem przybrania posłów opozycyjnych do składu Rządu. Ale z Klubem dzielić się władzą, „Jakobinom“ oddać na pastwę losy ojczyzny—to było zbrodnią w oczach weterana, zaprzeczeniem całego zawodu publicznego, w którym tak wierne służył sprawie narodowej. Miał przed sobą dwunastu nieznanych ludzi, „niedowarzoną“ młodzież i kilku starszych za plecami aroganckiej młodzieży: co oni przeciwstawiali jego zasługom i doświadczeniu, jego miłości ojczyzny i jego kolegów w Rządzie? niektórzy, tylko niektórzy, tajne schadzki przed wybuchem powstania i szumne, podżegające oracye w salach reutowych, na posiedzeniach Klubu, wczoraj i dzisiaj, gdy takie retoryczne popisy dawały poklask, a na nic nie narażały. Stehórzyc przed nimi? Raczej zginać, jak sędziwy kasztelan zawsze był gotów oddać życie ojczyźnie. Klubowcy nie chcieli nawet mówić z *deputacyą* Rządu: „Nie masz nic ważniejszego nad poselstwo nasze“—krzyczeli, według słów Mochnackiego—„pomykając się coraz bardziej ku drzwiom sali rządowej, której Kochanowski bronił jak siwy Cherubin, postawiony u straży tego politycznego Edenu.“ Próżno starał się ten Cherubin zniewolić napastników, by „jednego, dwóch z pomiędzy siebie wybrali.“

— „My tu jesteśmy z polecenia ludu, który ten gmach otacza, i wszyscy wejdziemy!“

„Wtem roztwierają się drzwi“ — kończy Mochnacki opis tej sceny — „Władysław Ostrowski wchodzi i zaprasza deputacyę do przedłożenia Rządowi życzeń Klubu.“ Stary kasztelan nie miał sobie nic do wyrzucenia. Według Barzykowskiego, Ostrowski otworzył drzwi, gdy Kochanowski wołał: „Nie, nie wejdziecie! Nie, chyba po mnie, po mojem ciele.“ I dodaje historyk listopadowego powstania, tu również będąc echem księcia Adama: „Już walka prawie osobistą stawiała się, gwałt był dokonany, Rządowi nie przystało więc poświęcać jednego członka z grona swojego, trzeba było los dzielić; przyjęto więc determinacyę wpuszczenia.“

Gwałtem zatem, przemocą wtargnęli klubowcy do sali obrad Rządu, „w płaszczach i z bronią w ręku.“ Dwa pierwsze przemówienia, umiarkowane w tonie, pełne były jednak wyrzutów, że Rząd swoim postępowaniem gubi sprawę narodu a mężowie, poważani dla swej przeszłości, powagą swoich nazwisk osłaniają robotę Rządu przed „zgrozą publiczną.“ Po nich odezwał się Maurycy Mochnacki. Mówił namiętnie, z tą brutalną jasnością, która go cechowała, bez owych miękkih i ostrość wystąpienia łagodzących tonów, co mimowolnie się wkładały w poprzednie przemówienia, na widok tylu głów osiwiiałych na usługach ojczyzny i czią otoczonych powszechną. Oświadczył, że przemawia w imieniu ludu warszawskiego, stojącego za tymi, których Rząd teraz przed sobą widzi, a którzy rewolucyę zaczęli „i postanowili ją dalej rozwijać, postanowili nią kierować mimo oporu, jakiego w tej mierze doznają ze strony Rządu.“ Zakończył groźbą, że „lud stolicy, który ten gmach z orężem w ręku oblega, nie rozejdzie się, póki jego żądań w czasie jak najkrótszym, w czasie oznaczonym do skutku przywieść nie zechcecie; lud żąda...“ Tu wreszcie rozwinął papier i odczytał „instrukcyę“, którą sam zredagował na prędce na posiedzeniu Klubu, „wśród wrzawy nieustającej;“ instrukcyja ta, według własnych słów Mochnackiego, była w Klubie „zatwierdzona jednomyślnym okrzykiem przez ogół i podpisana w jego imieniu przez dwunastu posłanników, którym Klub ten ważny obowiązek poruczał.“

Rzekome „żądania ludu“, których nawet tłum zgromadzony przed Bankiem nie znał, ani znać nie mógł, ujęte były bezładnie w ośmiu punktach, z uwzględnieniem różnych dezyderatów, z którymi się odzywano na posiedzeniu Klubu, gdzie, jak mówi Mochnacki, „strach był wielki, więc wszystko z łatwością przechodziło.“ Żądania zasadnicze, natury politycznej, były dziełem samego Mochnackiego; on z temi żądaniami wystąpił, on najwierniej je też zredagował. Nie układać się z W. Ks. Konstantym, ale

wprost z Mikołajem; Chłopickiemu wydać rozkazy, by natychmiast uderzył na Konstantego, rozbroił albo w razie potrzeby zniszczył stojące przy nim wojska, jego samego zaś wziął w niewolę; w Cesarzewiczu mieć rękojnię, a negocyować z Petersburgiem.“ Taki w tej chwili był program zasadniczy młodocianego trybuna, z takiemi samemi „negocyacyami“ w perspektywie, jakie Lubecki miał też na celu, tylko z takim równocześnie aparatem rewolucyjnym, który z góry przesądzał o losie rokowań z Mikołajem, po rozbrojeniu albo „zniszczeniu“ wojsk, stojących pod Wierzbnem. Inne punkta dotyczyły się rozwinięcia powstania. Wojsko pod rozkazami Chłopickiego, było drobną częstką polskiego wojska; drugie tyle niemal stało wówczas jeszcze przy W. Księciu; cała armia, rozłożona po województwach, stanowiła wieczorem 2-go grudnia tę wielką niewiadomą, o której nikt nie wiedział, czy na tę czy na tamtą przechyli się stronę. Żądano zatem, by wódz naczelny, Chłopicki, zavezwał wszystkich dowódców do połączenia z powstaniem, pod groźbą ogłoszenia zdrajcami kraju, z pozostawieniem krótkiego czasu, np. trzech godzin do namysłu; żądano również, aby „obywatele z prowincyi otrzymali upoważnienie do urzędzenia powstania w kraju.“ Inne punkta miały na celu kilka doraźnych środków policyjnych, jak usunięcie dyrektora krajowej poczty, któremu nie ufano, jak wzięcie pod straż żon wojskowych i urzędników rosyjskich, aby nie mogły się porozumiewać z mężami. Najważniejsze, z ostrym politycznym przysmakiem, było w tej kategorii żądanie aresztu dla ministrów, członków tej samej Rady, której przedstawiono ten sam dezyderat: „aby ministrowie i zastępcy ministrów otrzymali obserwacyę straży narodowej aż do dalszego z nimi postąpienia.“ Ostatni wreszcie, ósmy punkt wymagał: „aby natychmiast przystąpiono do wykonania tych żądań, inaczej bowiem Rada Administracyjna *zniewolona* będzie przyjąć do swego grona kilku członków Klubu, których Klub sam wybierze.“

Istna farsa to była, tragiczna farsa, takie żądania stawiać Radzie Administracyjnej. „Precz z wami, my bierzem władzę“—tak należało mówić, chcąc spełnić postulaty, zawarte w ośmiu odczytanych punktach. Przyznać też trzeba, że za ten brak wszelkiej logiki i konsekwencyi nie spada odpowiedzialność na Mochnackiego. On był głową logiczną; on jeszcze na posiedzeniu Klubu zupełnie jasno postawił kwestyę: żądanie bezzwłocznego uderzenia na Wierzbno poprzedził dwoma wstępnemi żądaniami, które się w Klubie nie utrzymały: „1) aby się Rada Administracyjna Królestwa rozwiązała; 2) aby Rząd Tymczasowy był natychmiast

ustanowiony.“ Nie przeparał jednak tych postulatów, choć „strach był wielki, więc wszystko przechodziło.“ Zrezygnował więc z logiki i konsekwencji. Mniejsza o to; i tą drogą spodziewał się dopiąć celu. Ugnie się Rada, stchórzy, odda pod areszt. własnych swych członków, ministrów króla: to będzie niewolniczem narzędziem Klubu, mając już i tak w swoim składzie jego prezesa; na dziś i jutro, póki powstanie nie ogarnie kraju, imiona Czartoryskiego, Niemcewicza, Kochanowskiego, mogły przydać się Mochnackiemu. Jeśli zaś Rząd się oprze żądaniom Klubu — to zmiecie go przygotowany tumult uliczny, przywódcy Klubu wezmą władzę, a krew jednego lub drugiego ministra wzbudzi postrach i utrzyma ich panowanie nad tym „ludem,“ w którego imieniu przemawiali. Byle wziąć władzę: co z nią począć? to Mochnackiemu samemu nie było jeszcze jasne wieczorem 2-go grudnia...

Cisza zapanowała po odczytaniu tych „żądań ludu.“ Przerwał ją Czartoryski. Co mówił, wiemy z opowiadania Mochnackiego. „Ze zwykłą sobie uprzejmością oświadczył, że niektóre z tych punktów nie były do wykonania, a mianowicie przytrzymanie W. Ks. Konstantego, który na wszystko się zgadza, który obiecuje puścić wszystko w niepamięć, który teraz właśnie oświadczył, że żadnego kroku przeciw stolicy nie przedsięwzięnie, nie uwiadomiwszy jej o tem naprzód na 48 godzin, który zawarł konwencję z Rządem...“ Nie dał Czartoryskiemu dalej mówić Mochnacki. „To są żarty, Mości Książę—zawołał—„my nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków od W. Księcia, który jest jeńcem rewolucyi, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy Rząd nie gra komedyi, która się bardzo tragicznie zakończyć może albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników!“

„Te ostatnie słowa“—opowiada Mochnacki—„które wszystkich członków Rady Administracyjnej obruszyły i zatrwożyły do do najwyższego stopnia, obróciłem szczególnie do Lubeckiego, zachowującego ciągle milczenie. Chłopicki wyszedł z furią z sali i zatrzasnął drzwi za sobą. Gustaw Małachowski napisał zaraz w wyrazach najenergiczniejszych protestację przeciw zgwałceniu miejsca posiedzeń rządowych i podał się do dymisji. Za jego przykładem toż samo uczynił Radziwiłł. Wtedy Niemcewicz, rozdzierając suknię na piersiach swoich, zawołał: „„Ugodźcie w to serce, które zawsze biło dla ojczyzny; pomordujcie nas; wszak przyszlście tu z bronią; skoro enocie sumieniu i poczciwej nie ufacie siwiźnie.““ W końcu Władysław Ostrowski i książę Czartoryski oświadczyli, iż Rząd weźmie pod rozważę przelożenia Klubu. Deputacya odeszła.“

Tyle Mochnacki. W protokóle urzędowym zamieszczono trzy słowa: „Dyskusya ustna. Wychodzą.“

Rzeczywista dyskusya zaczęła się dopiero po odejściu klubowców i po przyjęciu jeszcze jednej deputacyi, o której to jedynie wiadomo z protokółu, że „w innym duchu przemawiała;“ była to „deputacya obywateli cyrkułu 1-go stołecznego miasta Warszawy.“ Dembowski zapamiętał, że deputacya ta wprost żądała, „ażeby prosić W. Księcia, by z wojskiem przybył do Warszawy dla utrzymania porządku.“

W dyskusyi nie było mowy o tem, czy zgodzić się lub nie zgodzić na żądania Klubu. Ustąpić, złożyć władzę, czy też pozostać na stanowisku? o to się toczyła dyskusya. Barzykowski słusznie powiada: „Od chwili, jak Rząd po najściu dokonaniem nie miał woli czy siły, aby Klub zamknąć, Mochnackiego do kozy wsadzić — odtąd Rząd przestał być Rżadem.“ To wszyscy dobrze czuli, a przecież o zamknięciu Klubu lub uwięzieniu zuchwałego trybuna nie było mowy. Było to równie niewykonalne jak przyjąć żądanie Klubu. Nie darmo Chłopicki trzasnął drzwiami i wyszedł z furją; wiedział, że nie ma siły do stłumienia, poskromienia anarchii; nie wiedział, czy jutro lub pojutrze tych sił przybędzie, pod czyją komendą stanie wojsko, któremu rozkazano ściągać do Warszawy: pod jego, Konstantego czy pod Klubu komendę? Wszakże, według słów Dembowskiego, nie dalej jak tego samego dnia w południe „przybył na sesyę pułkownik Skrzynecki i zapytał, czy Rząd działa w imieniu cesarza Mikołajaja, a otrzymawszy zapewnienie, że do tej chwili nikomu na myśl nie przyszło wypowiadać posłuszeństwo panującemu, doniósł, że *w takim razie* natychmiast udaje się do swego pułku, który stosownie do wypisu protokółu Rady do Warszawy miał przybyć.“ W ślad za Skrzyneckim jednak zjawił się w Radzie przybyły z Siedlec porucznik artyleryi Leon Rzewuski „z oświadczeniem, iż bateria w Siedlcach konsystująca do powstania przyłącza się.“ Taką to niewiadomą było jeszcze w tej chwili, jak się wojsko zachowa; uzasadniona była w każdym razie obawa, że jedni dowódcy tą pójdą drogą, drudzy przeciwną. Wielkie też wrażenie sprawił na Radzie powrót Chłopickiego na posiedzenie. Wracał z miasta i przynosił wiadomość, że właśnie generał Szembek z 1-ym pułkiem strzelców nadciągnął do Warszawy — do Warszawy, a nie do Wierzbna. Wkrótce sam Szembek zjawił się w Banku. Ale właśnie całe postępowanie generała Szembeka było jaskrawą, pouczającą ilustracyą ówczesnego położenia. Długo chwiał się; w rozterce obowiązków, równocześnie wzywany przez Rząd i przez Naczelnego Wo-

dza, poszedł ostatecznie za swymi podkomendnymi, którzy nie byliby go usłuchali, gdyby zakomenderował: „Do Wierzbna!”

Ustąpić czy też wytrwać? Za ustąpieniem, za rozwiązaniem Rady przemawiali Radziwiłł i Gustaw Małachowski; w teorii mieli słuszość. Rząd bowiem przestał być Rządem, gdy na brutalne najście klubowców nie mógł, istotnie nie mógł się zdobyć na co innego, jak tylko na miękką obietnicę rozważenia ich żądań. Lubecki stanowczo oparł się abdykacyi: „Nie słuchajmy ich, nie możemy słuchać, a słuchalibyśmy, gdybyśmy ustępując ulegali ich życzeniom, bo oni tego tylko żądają.“ Wtórował mu Kochanowski: „Nie chwila porzucać; *le moment du danger existe; restons!*“ Stary kasztelan upierał się przez to samo poczucie obowiązku, którem się powodował zarówno przed dwoma laty w Sądzie Sejmowym, jak przed godziną, gdy własną piersią bronił klubowcom wstępu do sali: im gorzej, im niebezpieczniej, tem pewniej trzeba wytrwać do końca na posterunku, nie oddawać go szaleńcom czy niegodziwcom. Czy Lubeckiemu już w tej chwili zamętu i prostracyi przyświecał jakiś wyraźny plan wybrnięcia z tego położenia bez wyjścia? czy tylko, jak Kochanowski, wzdrygał się rzucać władzy na bruk uliczny? Być może, że już tej nocy miał przed oczyma plan dalszego działania, plan jasno zarysowany, na którego spełnienie trzeba było choćby dwóch dni; byle zyskać ten czas, nie rzucając choćby tej wątej władzy na pastwę Klubu. Może ten plan już przed wyjazdem do Wierzbna rysował się w tym lotnym, elastycznym umyśle, gdy Lubecki powiedział: „Dotąd jesteśmy w obrębie konstytucyi; czekajmy, czy będzie konieczność wystąpienia z niego...”

Nie dość jednak wytrwać na posterunku. Pozostając na stanowisku, trzeba było powziąć decyzję, co począć z Klubem, tak, z Klubem, nie z jego żądaniami, które obiecano „rozważyć,” aby się pozbyć zuchwałych napastników — choćby na kilka godzin. Co do tych żądań, nie rozpoczynano nad nimi jakiegokolwiek dyskusyi. Nikt nie śmiał tego nawet zaproponować, nawet sam prezes Klubu; Lelewel na to się tylko zdobył, że powiedział, według słów protokołu: „Znam niektórych z tego klubu; wczoraj mieli 30, dziś 500.“ Śmielej już przemawiali za liczeniem się z siłą Klubu: jego mąż zaufania, Ostrowski, i Dembowski, czerwony kasztelan. I oni jednak nie żądali dyskusyi o ośmiu punktach klubowych „żądań;“ twierdzili tylko, że „trzeba coś powiedzieć, wyjaśnić rzecz, wystawić niepodobieństwo żądań.“ Jeden Fredro—istna igraszka losu—Fredro, osławiony kurator Uniwersytetu, który tak cynicznie drwił z godeł narodowych, pod wraże-

nieniem słów Mochnackiego, nie wstydził się powiedzieć: „Oni pierwsi rewolucję zrobili; ich zdania nie mogą być obojętne.“

„Coś powiedzieć...“ — dać Klubowi jakąś odpowiedź, jakąkolwiek, byle go na razie ugłaskać... Temu i Lubecki się nie sprzeciwiał, jeśli przez to da się zyskać na czasie; tymczasem się pokaże, po czyjej stronie staną wojska narodowe; staną po stronie Rządu, to rola Klubu będzie skończona. W tem położeniu, redakcyja odpowiedzi była dość obojętną; im więcej frazesów, byle nic nie mówiących, tem lepiej i dogodniej. Z dwóch projektów, Niemcewicza i Ostrowskiego, przyjęto drugi; tekst Niemcewicza był zapewne zanadto patetyczny, za silnie drgał w nim ton oburzenia. Ostrowskiego tekst także nieznan, jak brzmiał mniej więcej, można wnosić z treści jego przemówienia, którą Krysiński w następujących słowach zapisał w protokóle: „Klubu członki najlepsze mają chęci: odpowiedź do nich zacząć od pochwalania chęci, a potem wystawić szkodliwość proponowanych środków; że zaraz po nich przybyła deputacyja od miasta Warszawy, która w innym duchu mówiła.“ Po uchwaleniu „odpowiedzi“ w redakcyi Ostrowskiego, po krótkiej dyskusyi o „komitetach do formowania Straży bezpieczeństwa“—tak miała się nazywać gwardya narodowa—po przyjęciu gotowego projektu, który w tej mierze wypracował Dembowski: Rada skończyła posiedzenie o 3-iej w nocy (3-go grudnia).

Po takim dniu, po pięciu godzinach konferencyi z W. Ks. Konstantym, po wstrząśnieniach tego wieczora i nużącej nocnej dyskusyi, Lubecki korzystał z chwilowej ciszy i podyktował projekt raportu do Cesarza, już wówczas niezawodnie na to zdecydowany, że sam ten raport powiezie do Petersburga. Nie myślał jeszcze o jutrzejszem samobójstwie Rady Administracyjnej Królestwa. Przeciwnie, w nocy z 2-go na 3-ci grudnia był jak dawniej zdecydowany utrzymać u steru Rząd „działający w imieniu króla,“ uważając zarazem za rzecz tem konieczniejszą: jasno i z całą stanowczością przedstawić sytuację Mikołajowi i stanąć pomiędzy nim a narodem. Oto ostateczne konkluzye tego ciekawego raportu:

„Przyszłość Królestwa przedstawia nam się w trzech odmiennych postaciach:

1) Albo ruch rewolucyjny rozprzestrzeni się nie tylko w dawnych prowincjach polskich, ale i pośród ludów ościennych mocarstw, co by doprowadziło do zupełnego tryumfu nowych doktryn politycznych, i to, według okoliczności, w ostrzejszej czy też w łagodniejszej postaci.

2) Albo pożar ten zamknie się w granicach Królestwa: skoro zaś przewaga sił rosyjskich jest faktem tak pozytywnym, jak i moc polskiego patryotyzmu, który dziś zsolidaryzował się jak najściślej z wypadkami ostatnich dni, wyniknie stąd krwawa walka, walka eksterminacyjna, po której zwycięzca nic nie znajdzie w Królestwie prócz trupów i popiołów.

3) Trzecia możebność, to właśnie cel ostateczny wszelkich wysiłków Rady Administracyjnej i licznego zastępu najlepszych obywateli (*du Conseil et de la masse des meilleurs citoyens*) — to kompromis pomiędzy obydwoma równie zgubnymi ekstremami: ścisłe wykonywanie ustawy konstytucyjnej i jej ubezpieczenie wszelkimi niezbędnymi w tym celu rękojmiami. Oto łącznik niespożytej trwałości (*Voilà le lien indissoluble*), mogący jedynie Polakom zachować króla, którego znają dotąd tylko z zaerności charakteru, ze szlachetności postępowania i czystości dobrych intencji; oto fundament, na którym ten Monarcha może ugruntować swe panowanie we własnych poddanych, bo w ich sercach zespoli się na zawsze miłość ojczyzny z wdzięcznością względem dostojnego Monarchy, gdy on sam podniesie z gruzów obalony ołtarz swojego panowania.

Aby Rada Administracyjna mogła ten cel osiągnąć, potrzeba:

1) Oddać do dyspozycji Rady całą polską armię, dla wyposażenia jej w dostateczną siłę.

2) Wydać rozporządzenia, żeby wojska rosyjskie wyszły z granic Królestwa w terminie oznaczonym i w przyszłości nie mogły wkroczyć na terytorium Królestwa, chyba w razie wojny z nieprzyjacielem (*et ne puissent y entrer à l'avenir qu'au cas d'une guerre extérieure*).

3) Ustanowić sprężystą administrację we wszystkich gałęziach służby publicznej.

4) Rozwinąć i dopełnić niektóre artykuły ustawy konstytucyjnej i to beż żadnej zwłoki, o ile tak ważny przedmiot na to pozwoli.

5) Proklamować bezwarunkową i powszechną amnestyę.“

Takie żądania zredagował Lubecki przed świtem 3-go grudnia. W ciągu dnia drugi punkt, w pierwszej części przynajmniej, był zupełnie zbytecznym, bo W. Książę znajdował się już w pochodzie do Brześcia Litewskiego. Na tę decyzję wpłynęło przede wszystkim przybycie Szembeka do Warszawy oraz wiadomość, że inne także pułki do Warszawy ściągają, a nie do Wierzbna; gdy wojsko się przechyliło na stronę powstania, rola W. Księcia była skończona, chybaby poszedł za myślą Lubeckiego i sam na

czele wojska z powstaniem się połączył. Decyzję Konstantego przyspieszył jednak bezwątpienia dalszy bieg wypadków w Warszawie, rano 3-go grudnia. Sam Lubecki go ostrzegł, by uchodził bez zwłoki; co 2-go jeszcze grudnia wydawało mu się możliwym i zależnem jedynie od woli W. Księcia, to nazajutrz było już prostą niemożliwością.

VII.

Rozbicie Rady Administracyjnej.

Po kilkogodzinnej zaledwie ciszy, rano 3-go grudnia, znów było rojno i gwarno w gmachu Bankowym—zanadto rojno i gwarno, jak na miejsce posiedzeń Rządu, nawet w takim momencie. Około 10-ej przybył do Banku z Wierzbna Władysław Zamoyski. „Zastałem”— opowiada — „salę Rady opanowaną przez tłum ludzi, nie należących do Rządu. Książę Lubecki z księciem Adamem Czartoryskim wzięli mnie na stronę; opowiedzieli o niebezpieczeństwie, na jakie byli narażeni w nocy; wręczyli mi przepisany na czysto w tejże chwili list do W. Księcia, zawierający krótkie wyłuszczenie powodów, dla których niepodobna im było dalej prowadzić umowy wczoraj poczętej. Było to ostatnie słowo, jakie pod naciskiem wypadków napisać do niego mogli; było tam zarazem ostrzeżenie o niebezpieczeństwie grożącym mu ze strony ludności rozognionej, która się dłużej nie da powstrzymać, jeżeli on pozostanie w obrębie stolicy, albo zwlecze odprawienie części wojska polskiego przy nim będącej. Nie wahał się Rząd oświadczyć W. Księciu, że dla zabezpieczenia dni jego, pozostało mu tylko złożyć broń i zdać się na wspaniałomyślność narodu, albo uchodzić bez zwłoki. Wzburzenie panujące w sali i nagłość wypadków nie pozwoliły nawet zebrać Rady, żeby jej to pismo odczytać przed oddaniem mi; poprzestałem na otrzymaniu go z rąk księcia Adama, pełniącego obowiązki Prezesa, i księcia Lubeckiego, który był jakby duszą Rządu, bo za jego radą do tej pory, wszystkie niemal wzięte były postanowienia.“

W Wierzbnie dopiero, gdy W. Książę list otworzył i popatrzył, kto na nim podpisany: przekonał się Zamoyski, że na piśmie tak niesłychanie ważnem, nie było wcale podpisu. „Na honor się zakląłem”—powiada— „żem otrzymał list ten z rąk dwóch książąt i że jedynie pośpiech, z jakim mnie wyprawiali, mógł być przy-

czyną tego zapomnienia; zresztą, dodałem, to daje miarę zgiełku, panującego w mieście i w samymże pałacu rządowym. W. Książę przyjął to zapewnienie; tylko księżna Łowicka, zawsze obecna tym rozmowom, wymawiała mi surowo moje roztargnienie.“

Listu tego nie podpisano z umysłu. „Car wzięłby go za zbrodnię i Klub także poczytałby go za zbrodnię“ — tak podobno później tłumaczył Lubecki Zamoyskiemu brak podpisu na liście, wyznając, że i sam z rozmysłem nie położył swego podpisu i Czartoryskiego odwiódł od podpisania. Istotnie, nie o dokument tu chodziło, ale o skutek pisma, o to, by nie dopuścić do krwawego starcia, po którym „układy w Petersburgu“ stałyby się mrzonką nie do urzeczywistnienia. Zrazu żądał Lubecki od Zamoyskiego, żeby się ustnie wywiązał z tej ostatniej misji do Konstantego; gdy zaś „Zamoyski tak ważnego oświadczenia i polecenia nie chciał być prostem echem, ale zażądał, aby mu to na piśmie było danem, uczyniono zadość jego żądaniu...“ Tekst piśmienny dawał rękojmię, że tak doniosłe oświadczenie dostanie się bez żadnej niedokładności do wiadomości W. Księcia, a zarazem uchroni młodego adyutanta od zarzutu przesady. Brak podpisów był zatem tylko przezornością, w tej właśnie chwili aż nadto zrozumiałą; gdyby klubowcy przejęli pismo urzędowe tej treści, cel zamierzony byłby najzupełniej chybiony, nietylko zaś podpisani, ale i cała Rada byłaby wystawiona na największe niebezpieczeństwo.

Klub bowiem był wówczas górą. „Zebrawszy się od świtu“ — mówi Mochnacki — „jeszcze liczniej, jak w dniu poprzedzającym, już obradował, *szerzył postrach* i rządził stolicą, albowiem wszystkie władze przed nim drżały...“ Mochnacki nie przesadza; w tej chwili tak było rzeczywiście. Przywódcy Klubu, widząc słabość i miękkość Rządu, poczuli w sobie siłę po wczorajszym wieczornem najściu na gmach Bankowy. To samo zaś, co było istotnem źródłem słabości Rządu, wzmogło zarazem w Klubie poczucie siły. Co bowiem tę siłę dawało i stanowiło? — wojsko i tylko wojsko. Gdy zaś Klub zgromadził się o świcie, a więc chyba jeszcze przed ósmą 3-go grudnia, na posiedzenie przybył po raz pierwszy — tak, po raz pierwszy dopiero — prezes Klubu, Lelewel, dotychczas zajęty w Rządzie, a przybył w towarzystwie generała Szembeka. Na nic nie zdały się umiarkowane słowa uczonego Prezesa; siedząc lekliwie na dwóch stołkach, nie mógł sobie zdobyć posłuchu. Szembek wszystkich ciągnął ku sobie: pierwszy generał, co przybył do Warszawy, z powstaniem się połączył i pospieszył na zgromadzenie Klubu, fraternizować z „Jakobinami“, jak nazywano Klubowców w jego sferze, po wczorajszej „orgii jakobińskiej“

w sali rządowej; tak mówiono w tych samych kołach o wczorajszej napaści Klubu na gmach Bankowy.

Daleko było Szembekowi do wszelakiego „Jakobinizmu;“ dał tego później dowody, na stanowisku gubernatora miasta Warszawy. Zaczny człowiek i dobry Polak, żołnierz Napoleoński, młodzieńcem jeszcze dwudziestoletnim, w r. 1809, ozdobiony za męstwo krzyżem *virtuti militari*, na dowódcę nieszczególny materyał, jak to wykazał Grochów — nie odznaczał się ani głową, ani też mocą charakteru. Traf wysunął go naprzód w pierwszych dniach listopadowego powstania; ze wszystkich jenerałów stał najbliżej Warszawy, w Sochaczewie; jemu zatem najpierw przyszło się zdecydować, po czyjej stanąć stronie, jego zaś przykład wiele i u innych zaważył w kollizyi obowiązków. I on się wahał, bardzo nawet się wahał; rozterka honoru wojskowego, wierności zaprzysiężonej i uczuć patriotycznych nie od razu dała mu poznać drogę, na którą go powoływał obowiązek żołnierza i Polaka. Im więcej doznawał względów, i od obu Cesarzy i od W. Księcia — co rzadko się zdarzało — tem trudniej było mu powziąć ostateczną decyzję. Przeważało uczucie, w takt idące z głosem korpusu oficerskiego w pułku, którym dowodził, z patriotycznym nastrojem pułku. Raz spaliwszy za sobą mosty, spełniwszy akt niesubordynacyi wojskowej, tem znamienniejszy, że go dokonał w obliczu W. Księcia, do którego zбочzył po drodze, Szembek wziął rozpęd, który go w parę godzin po przybyciu do miasta — zaprowadził na zgromadzenie Klubu. Nie było w tem może nawet tyle nagannej gonitwy za łatwą do zdobycia popularnością, nie było tyle zdrożnej ambicyi w tym nierozważnym i lekkomyślnym kroku, ile raczej drażliwości sumienia u człowieka czystego charakteru a słabej głowy, któremu w takiej chwili ciężyła ustalona opinia ulubieńca Mikołaja i Konstantego. To właśnie była kłątwa takich stosunków jakie się zgubnie rozpanoszyły w Królestwie Kongresowem, to było właśnie dziełem Belwederu a zwłaszcza Nowosilcowa, że według słów Lubeckiego, „indywidua znane z podłości, z wyzysku, z nadużywania charakteru urzędowego, doznawały jawnej protekcyi, a ludzie nieposzlakowani i zacni wystawieni byli na ustawiczne prześladowanie i tysiączne szykany;“ to kłątwa, co w całej grozie ujawniła się w rewolucyjnym wybuchu, gdy ludzie „zacni, nieposzlakowani“ którzy zbiegiem okoliczności zażywali względów W. Księcia, zapędzali się dalej, niż tego wymagało uczucie i sumienie Polaka, pod nieprzewzyciężonym wpływem drażliwości, by ich nie poczytano za serwilistów, odplacających doznane fawory i odznaczenia. Tak Szembekowi także niedość

było, 3-go grudnia, że wbrew rozkazom W. Księcia usłuchał wezwania Chłopickiego i pułk swój do stolicy przyprowadził, a nie do Wierzbna; gdy się znalazł w Warszawie, zdeptał względy należne Chłopickiemu i Radzie, od której to wezwanie odebrał: poszedł na zgromadzenie Klubu i tam stał się przedmiotem frenetycznych owacyj.

Po przybyciu Szembeka, zebranie Klubu przeobraziło się od razu w wielki meeting ludowy, pod gofem niebem, na rozległym placu Krasińskich. Wóz drabiniasty na środku placu służył za rewolucyjną trybunę; z niego płynęły ogniste przemówienia. Obecność jenerała, który w jednym momencie stał się bożyszczem roznamiętnionych tłumów, potęgowała w przywódcach Klubu poczucie siły, większej nawet siły, niż ją posiadali istotnie, choć rzeczywiście przykład Szembeka był faktem wielkiej wagi, wzbudził bowiem otuchę, że i inni dowódcy pójdą za tym przykładem, a Klub wsparty na wojsku, „siejąc postrach“ dokoła, zapanuje dziś nad Warszawą, jutro nad krajem. Płomiennie mowy podżęgały podniecony tłum przeciw Rządowi, przeciw „kontrewolucyi“, która gubi ojczyznę. „Idźmy do Banku, idźmy wszyscy razem!“ odzywały się zewsząd namiętne głosy. Rzucono hasło: „Litwa!“ — rzucono je niestety, jakby na pohañbienie tego wzniesłego hasła, w związku z wezwaniem do wieszania niepopularnych ludzi: „Na nic się wszystko to nie zdało,“ — wrzeszczał Kuszel, typ rewolucyjnego klubowca, który się później splamił najmizerniejszem tchórzostwem — „na nic wszystko, jeżeli zaraz nie wpadniemy na Litwę, ale pierwej trzeba koniecznie powiesić prezesa Komisji województwa augustowskiego...“ — „Dobrze, dobrze! Idźmy na Litwę! Powiesić Prezesa!“ — krzyczano ze wszystkich stron. Ten lub ów młody trybun — niewiele takich było na szczęście — napojony lekturą o wielkiej rewolucyi, patrząc na te roznamiętnione tłumy, słuchając tych okrzyków, myślał z zadowoleniem: „To rozumiem, to rewolucya, prawdziwa rewolucya!“

Oto słowa najwybitniejszego z pośród owych młodych demagogów, jedyne, w którym był rzeczywiście materiał na rewolucyjnego trybuna w wielkim stylu: „W tej chwili bujających już namiętności popularnych i rozdąsania się publicznego na Radę Administracyjną, przybywa Władysław Ostrowski, zamiast odpowiedzi kategorycznej na wczorajsze przełożenie Klubu przynosząc wezwanie, którem Rada rządowa przybrała na swoich członków mnie, Ksawerego Bronikowskiego i majora Machnickiego. „Wzywam tych panów — oświadczył także z wozu drabiniastego Władysław Ostrowski — żeby się zaraz udali na miejsce posiedzeń

rządowych.“ „Byłto—pisze dalej Mochnacki—nowy wybieg kontrrewolucyi, nowa koncesya Lubeckiego. System tego ministra, który się gimnastycznie pasował z falą, zależał na sztucznem zobojętnianiu żywiołów rewolucyjnych, na stopniowej politycznej ich absorbcyi. Zrazu wspierał rząd zagrożony, na powadze Czartoryskiego, Paca, Niemcewicza. Gdy to nie uciszyło miasta, rozprzeszczenił swój zakres kontrrewolucyjny i wciągnął węń Władysława Ostrowskiego i Lelewela, jako głębiej już zanurzonych w ruchu. Gdy i to nie pomogło, postanowił nakoniec sięgnąć do gniazda poruszeń i wplątać Klub w swoje koło, ażeby, co tylko powstawało przeciw Radzie Administracyjnej, w niej grzęzło i z niej się nigdy wydobyć nie zdołało. Lecz co do tego ostatniego punktu, omylił się minister na zdaniu swoim: klubistom nie mógł dać rady...”

Tak osądził Mochnacki działanie Lubeckiego, wówczas i w parę lat jeszcze później, pisząc swą historję powstania, która sąd ten podała potomności i utrwaliła w każdym razie na długo. Czy sądził słusznie, mianowicie, jak sam powiada, „co do tego ostatniego punktu,” co do zaproszenia klubistów — na to niech dadzą odpowiedź fakty, dalszy przebieg wydarzeń 3-go grudnia i dni następnych.

Bądź co bądź, pojawienie się Ostrowskiego na wozie drabiniastym przerwało uroczy sen Mochnackiego, przerwało go brutalnie w najpiękniejszym momencie, gdy marzenie już zaczynało przybierać kształty rzeczywistości, gdy coraz głośniejszemu, zacieklej rozlegał się krzyk: „Do Banku“ — i „wieszanie“ już szczęśliwie wtargnęło na porządek dzienny klubowego meetingu. Wezwanie Ostrowskiego zlało strumieniem zimnej wody wybuchający wulkan; trudna rada, Rząd ugiął się przed „ludem;“ rzecznicy jego, po myśli wczorajszych mniemanych „żądań ludu,” musieli iść do Banku i zasiąść na posiedzeniu zniechęconej Rady, na którą chcieli prowadzić roznamiętione rzesze.

Cóż jednak sprowadziło Ostrowskiego na ten wóz drabiniasty, z zaproszeniem klubistów na posiedzenie Rządu, tego samego członka Wydziału Wykonawczego, który nad ranem jeszcze zredagował odpowiedź Rządu na wieczorne „żądania“ Klubu, odpowiedź pełną wprawdzie miękkich frazesów, ale stwierdzającą stanowczo niewykonalność klubowych postulatów i odporną, bądź co bądź, wobec tych postulatów postawę Rządu. Mochnacki, co do faktu samego, ma słuszność najzupełniejszą: Ostrowski był tylko wykonawcą uchwały, którą Rząd powziął *na wniosek Lubeckiego*. Chodziło o zyskanie kilku godzin drogiego czasu, o nic więcej.

Była to swoją drogą szczególniejsza uchwała, uchwała tak doniosła, po której żaden ślad nie pozostał w urzędowych protokółach Rady i Wydziału Wykonawczego. W szczególniejszych bo też ją powzięto warunkach, tuż przed przybyciem Zamoyskiego do Banku, czy też w ślad po jego odejściu i po wyprawieniu owego słynnego pisma do Konstantego. Tak czy inaczej, działo się to w sali „opanowanej — jak powiada Zamoyski — przez tłum ludzi nie należących do Rządu,“ wśród coraz groźniejszych wiadomości o przebiegu zgromadzenia na placu Krasińskich, pod naciskiem nadchodzących co chwila doniesień i ostrzeżeń, że tłum roznamiętniony wtargnie lada chwila do Banku z klubistami na czele. Odpowiedzi uchwalonej przed kilku godzinami według projektu Ostrowskiego nie posłano jeszcze do Klubu; czasu na to nie było. Na formalną reasumpcyę uchwały nie była pora, pośród takiego zgiełku i pod naciskiem takich okoliczności. Gdy więc Lubecki—sam Lubecki—zapropomował zawezwać klubistów na posiedzenie i przyjąć ich do składu Rady Administracyjnej, nikt zapewne nie opowiadał, a Władysław Ostrowski podjął się chętnie tak popularnego zadania. Taka uchwała zapadła prawdopodobnie — jak mogła zapadąć w tem położeniu; może Lubecki ściągnął kolegów do jakiego zaciszniejszego zakątka sali i tam im swój wniosek przedstawił; nie też dziwnego, że takiej uchwały nie wpisano do protokołu.

Po przybyciu reprezentantów Klubu zaczęło się oficjalne już posiedzenie Rady Administracyjnej; przedtem, gdy ich postanowiono wezwać na sesyę, była tylko narada, pogadanka, w obecności dwustu jakich niepowołanych do udziału w obradach świadków. Krysiński umaczał pióro i zaczął znówu, ile się dało, spisywać protokół posiedzenia, rozpoczynając go od pamiętnych wyrazów: „Dnia 3 grudnia. Wezwani do Rady pp. Mochnacki i Plichta zasiadają.“ Niewiadomo, z jakich powodów nie zapisał trzeciego reprezentanta Klubu, który, jak o tem sam świadczy, był na tej sesyi także obecny; może się spóźnił, przybył po Mochnackim i Plichte, gdy oficjalna sesya już się zaczęła. Był to sam wiceprezes Klubu, Ksawery Bronikowski. Czwarty z wezwanych, major Machnicki, nie pojawił się wcale. Stary żołnierz, oficer z czasów Księstwa Warszawskiego, jedna z ofiar prześladowania W. Księcia, od dawna wystąpił z wojska, czy też nawet nie wstąpił wcale do armii Królestwa Kongresowego. Popularny, z wszystkimi robotami spiskowemi w styczności, był przez twórców powstania upatrzony do objęcia komendy w chwili wybuchu. Nie uchylał się od tego zadania, gotów w każdej chwili złożyć dowództwo w godniejsze i bardziej wypróbowane ręce. Zrozumiał się

już jednak do organizatorów powstania, gdy go na samym wstępie spotkał zawód z ich strony i oddział kawaleryi, który w chwili wybuchu miał się zjawić przed mieszkaniem majora, nie stanął zgoła do jego dyspozycyi. Bywał wprawdzie na pierwszych zebraniach Klubu, bo go tam wiodła widocznie, starego patryotę, obawa „kontrewolucyi“ z góry, nieufność do Lubeckiego i innych rządowych figur. Ale po zgromadzeniu na placu Krasińskich miał dosyć tej roboty; chociaż wezwany do składu Rządu, uchylił się od wszystkiego i wyjechał z Warszawy.

Posiedzenie zaczęło się przykładowo od dyskusyi w sprawach administracyi rządowej, która w ubiegłych trzech dniach powstania rozprzegła się zupełnie. Biura rządowe stały pustką, urzędnicy bawili się polityką, w klubie lub na ulicy, do gwardyi się zaciągali, albo też wystraszeni siedzieli w domu. Pora więc była zająć się wprowadzeniem jakiegoś ładu w czynnościach magistratur rządowych. Wśród tej dyskusyi odezwał się Lubecki, zapowiadając swoje ustąpienie, z powodu braku zaufania u ludu. Było to już podobno skutkiem inwektyw, które Mochnecki w czasie dyskusyi brutalnie rzucił mu w oczy. On bowiem przecież nie po te przybył na sesyę, żeby spokojnie rozprawiać o szczegółach rządowej administracyi. Byłby nierównie wolał korzystać z „bujających już namiętności popularnych i rozdasania się publicznego na Radę Administracyjną,“ byłby wolał przybyć do Banku na czele roznamiętnionych tłumów i Rząd „rozpedzić a może wymordować“ — jak twierdzi wtajemniczony w jego zamiary Ksawery Bronikowski. Zmuszony zasiąść w gronie tych samych ludzi, którym ten los gotował, przybył tu w tym tylko celu, ażeby Rząd obalić, nie w ten, to w inny sposób. To własne jego słowa: „Uważając udział mój i Bronikowskiego we władzy rządowej za *chwilowy* tylko, żądany ze strony Klubu, jako środek rozwiązania Rady przy spodziewanej pomocy Lelewela i Władysława Ostrowskiego,... oświadczyłem natychmiast Lubeckiemu, że nie wejdem do Rządu, póki minister Skarbu z innymi ministrami Mikołaja w nim zasiada. Rada Administracyjna — powiedziałem to wobec wszystkich jej członków, *powiedziałem to pierwszy* — koniecznie rozwiązać się musi. Naród jest oburzony przeciw Księciu Ministrowi — mówiłem dalej — rewolucya własnego Rządu potrzebuje, w imieniu króla działać nie może.“

W tym sensie mówił niezawodnie Mochnecki, nie wypowiedział tylko tego wszystkiego naraz, w tem samem przemówieniu. Inwektywy na Lubeckiego, rzucone prawdopodobnie w dyskusyi o urzędnikach Komisji Skarbu, poprzedziły otwarte rzucenie rę-

kawicy Rządowi jako takiemu, Radzie Administracyjnej Królestwa, istotnie dotąd „działającej w imieniu króla,“ choć tego już od wczoraj nie akcentowano wyraźnie. Osobiste te inwektywy wywołały kilka z rządu przemówień, które protokół posiedzenia streszcza w następujących słowach, z nieuniknionymi w tak pospiesznych zapiskach niezgrabnościami stylu, zresztą dość jasno:

— Lubecki: Słyszałem, że nie mam ufności ludu, zwłaszcza, abym był w Radzie. Nie ma ministra Skarbu, któryby mógł nie być w Radzie, ale dodajcie mi pomocnika, potem uwolnijcie. (Innemi słowy: Nie upieram się przy władzy; wyznaczcie mi pomocnika i zarazem następcę, którego bym mógł wprowadzić w urzędowanie, a ja się usunę, gdy to tylko będzie możliwe).

— Czartoryski: Byłoby to klęską dla kraju.

— Niemcewicz: Szlachetne i obywatelskie serce Księcia, dobrze mi znane, jest mi rękojmią, że w trudnych tych czasach Książę nas nie opuścisz. Potwarze mogły Cię dotknąć, ale poczciwy człowiek gardzić nimi winien.

— Lubecki: Jeśli mam opinię za sobą, jest nagrodą; zła nie upokarza mnie.

Zapowiedź dymisji miała więc na razie ten sam skutek, co przedwczoraj, przed owem parlamentarnem jeszcze wtargnięciem opozycyjnych posłów do Rady Administracyjnej, przed pierwszym echem niechęci „ludu“ do niepopularnego ministra, jakie obilo się o ściany sali rządowej 1-go grudnia. Znowu najpopularniejsze osobistości, Niemcewicz i Czartoryski, oddały hołd zasłudze i enocie obywatelskiej zaatakowanego ministra. Jakże zaś akcenty odezwać się musiały w przemowie Niemcewicza, to dobitniej niż pospieszna i sucha zapiska protokołu, wyraża jego własny dziennik, w krótkim, lapidarnym ustępie o wybuchu powstania: „Wezwano mnie do tymczasowego Rządu; prace w dzień i w nocy, zgryzoty od zagorzałych klubów Jakobinów, zbytek były na wieki i troskami stargane siły moje; zachorowałem niebezpiecznie.“

Ten zgola niepożądany dla Mochnackiego skutek jego wystąpienia — dodał mu bodźca. Powracając do przerwanej dyskusji, przystąpił do odczytania swego własnego w rozbieranej materji projektu. Posłuchajmy znowu słów protokołu:

— Mochnacki czyta projekt co do nieoddalania się urzędników i zaczyna go od (wyrazów): *Rząd Tymczasowy...*

— Lubecki: Niema decyzji, aby był Rząd Tymczasowy.

— Mochnacki: Nie występujemy już na widok publiczny z Radą Administracyjną; nie ma ona ufności.

W tych kilku krótkich, suchych, a tem samem dosyć parlamentarnych słowach, streszcza urzędowy protokół ostatnie odezwanie się Mochneckiego na ostatniem też posiedzeniu Rady Administracyjnej konstytucyjnego Królestwa. Jakie jednak znowu akcenty zabrzmieć musiały w tem przemówieniu młodego demagoga, łatwo sobie wystawić, pamiętając, w jakim celu i z jakim postanowieniem Mochnecki przybył na posiedzenie Rady, jakim darem słowa był wyposażony z natury, jak wreszcie go podniecało zniecierpliwienie wskutek przemówień Czartoryskiego i Niemcewicza. Odzywał się w nim wreszcie w owej chwili Mochnecki do szpiku kości, odzywał się kandydat do władzy, mówił bowiem więcej do licznych zawsze, niepowołanych świadków rządowej sesyi, niż do tej władzy, w której gronie zasiadał, skazując ją na śmierć, co najmniej na śmierć moralną. „W sali posiedzeń—znów własne jego słowa — po wczorajszej orgii jakobińskiej (tak nazywano deputacyę Klubu) panował nieład, jak po sutym bankiecie, jak po nocnych saturnaliach. Jedno tchnienie ludu rozwiało tę starą władzę, dotąd tak sztucznie, tak dowcipnie utrzymywaną. Deputacye mnogie, coraz częstsze, od wszystkich oddziałów wojska, ze wszystkich punktów stolicy przychodziły za wczorajszym przykładem. Insurrekcyja w masie założyła swój główny biwak przed Bankiem, a swoją główną kwaterę w Banku, w pokojach Lubeckiego. Nie było już żadnego rządu.“ Ta atmosfera, idealna dla młodego trybuna atmosfera, działała na niego w sposób tak silnie podniecający, że później, gdy o tem spokojnie pisał w ciasnej izdebce paryskiej na emigracyi, jemu samemu wydało się to ostatnie przemówienie na posiedzeniu Rady zanadto ryzykownem. Znajduje jednak dla siebie słowa usprawiedliwienia. „Mówiłem, jak myślałem — powiada — zdawało mi się że widzę rzeczy jasno; biegłem nagle, *nadto nagle* i dlatego bez skutku, do władzy; te kroki i nowy moje podały mnie w nienawiść u osób bardzo znakomitych. Lecz milczano jeszcze, bo Klub był mocny, a ja w Klubie miałem przyjaciół. Lubecki i Mostowski podali się do dymisyi.“

Milczano zatem: ognistemu demagogowi nikt nie dał odpowiedzi. Obrady jednak przerwały się widocznie, a sam Mochnecki opuścił salę posiedzeń. Uważał, że dopiął celu: mową swoją obalił Rząd. Miał teraz coś ważniejszego do robienia po za murami Banku: przed Bankiem, na ulicach Warszawy wrzało coraz huczniej, coraz burzliwiej: wojsko polskie, które dotąd stało pod Wierzbnem, przy W. Księciu, maszerowało ulicami Warszawy, minęło już Krakowskie Przedmieście, skręciło w Senatorską i zdążyło do Banku...

Krysiński tymczasem zapisał na końcu protokołu ostatniej sesyi Rady, po ustępie o przemówieniu Mochnackiego, następujące słowa — słowa, nie zdania:

„Zamoyski — List W. Księcia, potem odezwa — Wchodzi Paweł Bielski z 4-go pułku ułanów — Powrót kancelaryi — Wchodzi wojsko — Książę Lubecki i Fredro proszą o wyłączenie ich.“

Z wyjątkiem niezrozumiałej wzmianki o Bielskim i powrocie kancelaryi — inne zapiski dają się łatwo odgadnąć i uzupełnić.

Zanim członkowie Rządu opamiętali się po ognistej, piorunującej przemowie Mochnackiego, zanim zdolali stwierdzić, czy Rząd jeszcze istnieje, czy też go niema, jak to proklamował młody demagog: do sali wpadł Zamoyski — już bez białej kitki na czaku, bez odznaki adyutanta W. Księcia. Wpadł z tym sławnym francuskim autografem, który udało mu się w ostatniej chwili, przed samem pożegnaniem, wymódz na W. Ks. Konstantym. Tekst tego pisma znany: W Książę, naczelny wódz z ramienia króla, pozwalał „aux troupes polonaises qui sont restées fidèles jusqu'au dernier moment auprès de moi, *de rejoindre les leurs*;“ zapowiadał swój odwrót za granice Królestwa z rosyjskiem wojskiem, a bezpieczeństwo tego odwrotu, pozostałych w Warszawie Rosyan i rosyjskiego mienia, publicznego i prywatnego, oddawał pod opiekę polskiego narodu.

In większe miał znaczenie ten nieoceniony dokument, tem bardziej stawało się to rzeczą i polityki i honoru narodowego: wyteżyć wszystkie siły, by ten apel do narodu — nie zawiódł. Wobec tego Rada Administracyjna uznała, że jeszcze nie przestała być Rządem, choćby tylko w tym celu, żeby spełnić ostatni obowiązek i ogłosić autograf W. Księcia. Wydrukowano go bezzwłocznie z krótką, lapidarną odezwą „do publiczności“ i rozlepiono na rogach ulic. W odezwie powiedziano: „...Wielki Książę, polegając na dobrej wierze Narodu Polskiego, iż w cofaniu się swoim żadnej od nas nie doświadczy przeszkody, oddaje nam sprawiedliwość. Do nas, do naszego honoru należy, dowieść iż W. Ks. Cesarzewicz nie omylił się w mniemaniu swoim. Wzywa Rząd wszystkich obywateli, aby oddalającemu się z wojskiem rosyjskiem W. Ks. Cesarzewiczowi wszelkie ułatwiali trudności.“

Był to ostatni czyn Rady Administracyjnej konstytucyjnego Królestwa. Nazajutrz jeszcze jedna odezwa Rady pojawiła się na ulicach Warszawy: oświadczenie, że Rada się rozwiązała; podziękowanie wojsku, Straży bezpieczeństwa, młodzieży akademickiej i władzom municypalnym, że ją wspierano wśród tak ciężkich okoliczności; wezwanie, żeby nie odmawiano pomocy i poparcia

Rządowi Tymczasowemu, w którego ręce Rada Administracyjna złożyła rządy.

Być albo nie być — wytrwać na posterunku wbrew Klubowi i stojącej za nim ulicy, czy też ustąpić i złożyć rządy, w czyjejkolwiek, byle nie Klubu, ręce? To była kwestya, najważniejsza dla Rządu kwestya, od wczorajszego wieczora. Jeszcze przed paru godzinami, przed godziną, gdy zaczynało się posiedzenie w obecności przyzwanych reprezentantów Klubu, jeszcze wówczas podobno zamierzano wytrwać na stanowisku. Po mowie Mochmackiego, po wiadomości o odwołaniu W. Księcia, wobec doniesień o zbliżaniu się połączonych wojsk polskich do placu Bankowego, Walenty Sobolewski, przewodniczący Rady z nominacji królewskiej, „oświadczył, iż niepodobieństwem jest dla niego dalej przy widocznej przewadze powstania utrzymać ster rządu przy Radzie Administracyjnej“ i „oddalił się“ z sali posiedzeń. I dotąd rzadko pojawiał się w gmachu Bankowym. Czartoryski zastępował go w przewodniczeniu obradom. Co innego jednak nieobecność prezesa, którego na podagrę—co innego, jeżeli usuwał się stanowczo od obowiązku, który od króla miał sobie powierzony. Oświadczenia Sobolewskiego nie zapisano wcale w protokóle urzędowym—przypadkiem w tym chaosie i zgiełku, czy też może z umysłu—Krysiński bowiem, czy kto inny, spodziewał się może jeszcze, że prezes się rozmyśli, cofnie postanowienie. Bądź co bądź, od tej chwili Rada Administracyjna przestała istnieć. Dalsze jej utrzymanie pod przewodnictwem Czartoryskiego nie miało żadnego celu, odejmując Rządowi wszelkie pozory legalności i „działania *w imieniu króla*,” bez żadnej kompensaty za cały ciężar wypróbowanej niepopularności. Jeśli kto nawet pragnął w tej jeszcze chwili utrzymać Radę na stanowisku: musiał uznać, że to było prostem niepodobieństwem po ustąpieniu Sobolewskiego.

Niepodobna było jednak, nie godziło się, choćby tę wątplą władzę, jaką Rada dzierżyła, najwyższą w kraju władzę, rzucić na bruk ulicy, przez klubowców roznamiętnionej, oddać na pastwę Mochmackiego i towarzyszy. Co więc począć? Gdy się nad tem zastanawiano, rozprawiając o konieczności ustanowienia Rządu Tymczasowego, odezwały się z bliska wesołe dźwięki muzyki wojskowej, a Krysiński zapisał w protokóle: „Wchodzi wojsko,” i zakończył protokół ostatniego posiedzenia Rady dopisując jeszcze 8 wyrazów: „Księżę Lubecki i Fredro proszą o wyłączenie ich:“ „wyłączenie“ — skąd? czy ze składu Rządu Tymczasowego, o którego ustanowieniu właśnie rozprawiano?

Nie była to, co prawda, chwila do rozpraw, do skupienia umysłu przed decyzją o tak ważnym przedmiocie, gdy czoło pułku konnych strzelców gwardyi dotarło wreszcie do placu Bankowego; na jego czele wjeżdżali obaj generałowie, którzy do końca dotrwali przy W. Księciu, Krasiński i Kurnatowski między Chłopickim i Szembekiem, chroniącymi obu kolegów swoją popularnością przed pogroźkami i obelgami ulicznych tłumów.

„Na placu Zamkowym—opowiada Sierawski, porucznik strzelców konnych gwardyi — niezliczona masa ludu ściśniętego; jedni witali nas przychylnymi okrzykami, drudzy kłatwą i złorzeczeniem, za tak późne połączenie się z rewolucją. Ciasno już było zupełnie na ulicy Senatorskiej, lud tłoczył się przy samych naszych koniach, potrząsał karabinami, wywijał pałaszami, padło kilka strażów, szczęściem nikogo nie raniły. Prowadzono nas, jakby niewolników. Uściski, pozdrowienia, znów groźby nieprzerwanie. Tłumy te szczególnie i dziwnie w swej masie wyglądały: zdawało się, że to nie jest ten poczciwy lud warszawski, o któryśmy się przed kilku dniami ocierali. Zasmolony, obrzękły w twarzach, niby radośnie i wesoło spoglądał, ale jakaś dzikość z oczu mu łyskała. Słży gdzieś i kobiety, z jakichś zaułków Starego Miasta i Mariensztadu wywleczone, namiętne, pięściami wygrażające—to znów od ust ręką nam pocałunki przesyłały. A nad tą masą głów, nakrytych Bóg wie jakimi czapkami, to znów kaszkietami wojska naszego i rosyjskiego, wznosił się jeden ciągły i nieprzerwany krzyk, prawie nieludzkich głosów. Nareszcie doszło czoło pułku do gmachu Bankowego: pułk się zatrzymał, bo mu drogę zagrodzono. I tu wspaniały, ale zarazem straszny przedstawił się widok tej masy ludu, który literalnie plac Bankowy zalewał... Burza żywiołów, morska nawałnica, nie przedstawia takiego obrazu... Falowały tłumy na wsze strony, groźba była na wszystkich czołach... Polacy złorzeczyli rycerstwu swebmu. Lud ten gniewny, rozłukany, siłę swą czujący, rozpychał się na wsze strony, sam się kaleczył, by dosięgnąć swej bezrozumnej zemsty... nie rozumiał się... wył i krzyczał, a cel miał jeden: krwią się napić. Pod takim to pręgierzem trzeba było stać nieruchomie... Bledli żołnierze z gniewu, niektórzy dobyli pałaszy i jeżeli nie rzucili się w swej rozpaczycy na ten lud bezrozumny i nie dopuścili się okropnej rzezi, zasługa w tem pozostaje przy nas oficerach, błagających nieprzerwanie rozjątrzonych o cierpliwość i umiarkowanie...”

Ten, kto to pisał, Napoleon Sierawski, nie był wcale stylistą; za młodu żołnierz, później gospodarz, na stare lata pisał bez za-

dnym literackich pretensyj pamiętnik o kampanii 1831 r. A przecież to bolesne wspomnienie 3-go grudnia wyrwało mu z pod pióra opis tak barwny, taką tętnący plastyką, takim życiem, jakiegoby się nie powstydział i wybitny stylista. Tak silnie drgała po wielu latach cała dusza sędziwego żołnierza na wspomnienie tej straszliwej godziny, która w innych zupełnie barwach jaśniała przed oczyma jednego z najznakomitszych autorów i stylistów owej epoki i naoczego tak samo świadka, więcej niż świadka, wybitnego tych scen aktora i reżysera. „Między Trzema krzyżami i połową Alejów — pisze Mochnacki — lud dopiął swego celu: odbił braci żołnierzy. Powitanie było serdeczne i rzewne. Stąd ciągnęła potem ta ogromna masa Nowym Światem na Krakowskie Przedmieście i rozdzieliła się na dwie wielkie części, bo ją ulice zmieścić razem nie mogły. Wszystko jednak płynęło do Banku. Żadne pióro nie zdoła opisać tego widoku. Mieszkańcy zgromadzeni na ulicach wołali nieustannie: „Niech żyje wojsko polskie!“ i t. d., i t. d.

Obaj pisali prawdę. Tylko Mochnacki, pisząc ten ustęp w lat parę na emigracji, przyknął oko na brzydką stronę tego podniosłego momentu, która tak głęboko wryła się w pamięć porucznika szasserów, na to, co było właśnie dziełem młodego demagoga, jego i jemu podobnych towarzyszy. Oni to swojemi płomiennymi mowami pod gołym niebem podniecili ten lud warszawski do takiego roznamiętnienia, że gdzieniegdzie wybuchały w nim żywiołowo dobre uczucia na widok narodowych sztandarów przy dźwiękach „Jeszcze Polska,“ gdzieniegdzie groźnie się odzywały straszne pomruki rozognionych, złych, najgorszych instynktów, żądnych krwi albo stryczka. Nie było nic łatwiejszego, jak skierować takie instynkta przeciw komendantowi gwardyi, który jechał właśnie na czele pułku szasserów; przeciw bohaterowi niegdyś z pod Wagram i Samosiery, co niedawno w Sądzie Sejmowym, on jeden ze wszystkich senatorów, uznał spiskowców winnymi zbrodni stanu. On czy kto inny, byle „zemsta ludu“ spłynęła krwią lub w stryczku zasmakowała, to zapach krwi i widowisko obwieszonych latarni zdołałby „szerzyć postrach“ w skuteczniejszy niż dotąd sposób, a młody trybun-terrorysta w swoje ręce chwyciłby władzę, tę władzę, do której „biegł tak nagle, nadto nagle,“ jak sam później przyznawał...

Uszedł śmierci generał Krasiński, ocalał dzięki własnej przytomności i opiece trzech towarzyszy broni. Przed samym Bankiem, Chłopicki i popularny od rana Szembek zasłonili go własnymi piersiami; stary zaś generał Sierawski, który z silnym oddzia-

tem piechoty strzegł gmachu Bankowego, wprowadził trzech kolegów do Banku, do dolnej sali, którą zatarasowano. Właśnie wpadł był do sal rządowych pułkownik Kicki — jeden z „czerwonych“ oficerów, który ważną odegrał rolę w sprowadzeniu Szembeka do Warszawy — wpadł przerażony, wołając o ratunek dla Krasińskiego. Popularny kasztelan, Dembowski, miał sobie powierzoną tę trudną misję. „Lecz nawet — opowiada Dembowski — nie zdołałem dostać się na plac, bo i na schodach i w przedsionku taki był tłok, iż niepodobieństwem było spełnić dane rozkazy. Krasińskiego zaraz przyprowadzono do sali posiedzeń Rządu. Jednocześnie ukazał się Kurnatowski; i temu również grożono, i tego usiłowano ściągnąć z konia. Broniło go dzielnie dwóch akademików i udało im się ocalić mu życie.“

STANISŁAW SMOLKA.

TRAGEDYA MYŚLICIELA

(Fryderyk Nietzsche i jego ideał humanitarny),

Weh! weh!
Du hast sie zerstört
Die schöne Welt;
Sie stürzt, sie zerfällt!
Ein Halbgott hat sie zerschlagen!...
Mächtiger
Der Erdensöhne,
Prächtiger
Baue sie wieder
In deinem Busen baue sie auf
Neuen Lebenslauf
Beginne
Mit hellem Sinne,
Und neue Lieder
Tönen darauf!

Goethe—Faust—Geisterchor.

I.

Przyznać trzeba, że nasza kultura nowoczesna nie odznacza się skromnością. Jakże się przechwala przez usta wielce wymownych swych rzeczników materyalnemi i duchowemi swemi zdobyczami! Jakże szczyci się swem bogactwem, swą potęgą, swą przewagą bezprzykładną w cywilizacyjnym świecie ludzkości!

Niestety, harmonię tych hymnów pochwalnych mącą nieraz głosy protestu, a najpotężniej odzywają się wtedy właśnie, gdy wysławiany rozwój kulturalny najwyższe zdaje się osiągać natężenie i tam gdzie najbujniej zdaje się zakwitać.

Za czasów starożytnego Rzymu, na drodze podążających na Kapitol tryumfatorów, stawiano żołnierzy, którzy, obsypując ich obelgami, mieli im przypominać zmienność szczęścia ludzkiego. I tryumfująca nasza kultura, wśród wznoszonych na cześć jej okrzyków pochwalnych, słyszy też dotkliwie obelgi, pochodzące nieraz od najdzielniejszych jej bojowników, niekiedy orężem geniuszu zbrojnych. Czy nieotrzymali oni wyższego posłannictwa, na mocy którego mają przypominać zbyt zaufanej w siebie tryumfatorce znikomość ziemskich jej zdobyczy?...

W wieku XVIII-ym najwspanialsze swe tryumfy święciła kultura nowoczesna we Francyi przedrewolucyjnej, święciła je pod hasłem oświaty racjonalistycznej, która na całą Europę rozlewała się z dzieł francuskich filozofów-reformatorów. Lecz oto jeden z tych „filozofów,“ J. J. Rousseau, jakąż obelgę rzucił w twarz szczytającej się nim tryumfatorce-kulturze! „Wszystko doskonałe jest, gdy wychodzi z rąk Stwórcy, wszystko ulega zwyrodnieniu w rękach człowieka!“ Pamiętne te słowa, stanowiące punkt wyjścia całej doktryny autora „Umowy społecznej,“ brzmią zaprzeczeniem wszelkich zdobyczy cywilizowanej ludzkości, wyrzeczonym w chwili, gdy ona w czynach naczelnej swej przedstawicielki, ówczesnej Francyi, zdawała się zbliżać do najwyższego swego ideału.

Tryumfatorka tylokrotna w pokoju i w wojnie, Francya, padła w końcu, zwyciężona przez ulegające jej nieraz Niemcy. Znanе jest powiedzenie, że nie tylko żołnierz, lecz i nauczyciel niemiecki zwyciężył Francuzów. Miało to być zwycięstwo gruntownej i zdrowej kultury niemieckiej nad powierzchowną, pustą i zwyrodniałą kulturą francuską.

Nasłuchaliśmy się od tego czasu przechwałek z ową niemiecką kulturą. Wszystko cokolwiek uczyniono dla podniesienia potęgi nowego cesarstwa niemieckiego, dla pomnożenia dobrobytu i przewagi panujących w nim żywiołów narodowych — wszystko to miało być dziełem kulturalnem. Do takich dzieł zaliczono i walkę przeciw kościołowi katolickiemu i gnębienie obcych „mniejwartościowych“ narodowości i wypieranie spokojnych mieszkańców kraju z odwiecznych ich siedzib i wszelkie wogóle środki, mające na widoku wyłączne popieranie narodowości i państwowości niemieckiej.

Wiemy, jak wątpliwa jest kulturalność podobnych środków, wiemy, że aż nadto często wkraczają one w dziedzinę barbarzyństwa;—wszelako każdy nieuprzedzony przyznać musi, że w wielu sferach i kierunkach współczesnego życia niemieckiego praca kul-

turalna z ogromnem nateżeniem się rozwija. Na początku ubiegłego wieku mówił Goethe: „My Niemcy jesteśmy z dnia wczorajszego. Od stulecia dzielnie glebę duchową uprawiany, ale dużo jeszcze upłynie czasu, zanim przestaniemy być barbarzyńcami.“ Od epoki Goethego Niemcy nie ustawali w pracy nad uprawą swej gleby cywilizacyjnej. Troszczyli się więcej wprawdzie o materyalne, aniżeli o duchowe jej płody; wszelako i te ostatnie nie zostały zaniedbane i pojawiły się w postaci szeroko rozpowszechnionej oświaty ludowej, w rozwoju wiedzy, filozofii i sztuki.

Czy wobec tych postępów wielki poeta mógłby dzisiaj jeszcze odnaleźć w swych współziomkach ślady barbarzyństwa?—Dla nas jest to niewątpliwe, dla nich wprost niedopuszczalne. Gdzież ma być dziś kultura, powiedzą oni, jeśli jej niema w Niemczech, w doskonałej ich organizacyi społecznej i politycznej, w bogactwie ich pracy umysłowej, w mnóstwie ich instytucyj cywilizacyjnych?...

Gdzież ma być dzisiaj kultura?... Nie łatwo zaiste odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli ogarniemy okiem cały obszar współczesnego bytu kulturalnego, to wszędzie, podobnie jak w Niemczech, obok licznych zdobyczy cywilizacyjnych, spotkamy tyle zdżiczenia moralnego, tyle duchowego kanibalizmu, iż śmiało o barbarzyństwie mówić możemy. Jak ongi we Francyi przedrewolucyjnej, obecnie w Niemczech pobismarkowskich widzimy najwydatniejszy typ ogólnoeuropejskiego rozwoju w zasadniczych dodatnich i ujemnych jego objawach: tam w wykwiutnym intelektualizmie i estetyzmie arystokratyczno-towarzyskim, okupionym przez straszliwą nędzę klas upośledzonych — tutaj w wytężonej do najwyższego stopnia pracy demokratyczno-społecznej, połączonej nieraz z zaturą najszlachetniejszych pierwiastków ducha ludzkiego. Nigdzie też pono rozwój kulturalny naszej doby nie doszedł do większego aniżeli w Niemczech samopoczucia swych zasług, nigdzie głośniejsz, bezwzględniejsz nie rozgłaszał ich na świat cały, z dumną postawą tryumfatora. Ale zaufany w siebie tryumfator nigdzie i nigdy nie usłyszał obelg dotkliwszych od tych, które z taką mocą ogromną rzucił mu prosto w twarz genialny myśliciel niemiecki, będący niewątpliwie jednym z owych, co powołani zostali do powiedzenia gorzkich prawd zbyt zaufanej w siebie i w swych zdobyczach kulturze nowoczesnej.

Drogo okupił Fryderyk Nietzsche to swoje powołanie, okupił je zupełną utratą wiary nietylko w obecny stan kultury, jak ją widział w życiu i rozwoju własnego społeczeństwa, lecz także w całą wielowiekową jej przeszłość, we wszystkie podstawowe jej czynniki społeczne, moralne i religijne.

„Biada! biada! zburzyłeś piękny świat, jak półbóg go zdruzgotaleś... Najpotężniejszy z synów ziemi, piękniejszym go odbuduj, we własnej duszy wznieś go na nowo.“

Czy zuchwały burzyciel świata ideałów kulturalnych słyszał wewnątrznie ten chór duchów wzywający Fausta Goethego do czynów i dążeń, samoistnie z odrębnego jego jestestwa mających wyniknąć?

To pewna, że był on najzupełniejszym w rzeczywistości życiowej wcieleniem tej idei ulubionego swego poety, idei samoistnego rozwoju, który na gruzach zburzonego przez zwątpienie i przeczenie porządku rzeczy miał wznieść cały świat nowy stosunków bytu z myśli oderwanej, z dążeń intelektualnych wysnuty. Faust—to poetycki prototyp ufających jedynie swej myśli, z niej czerpiących pobudki wszelkich swych dążeń intelektualistów-mózgowców naszej epoki; Fryderyk Nietzsche—to najzupełniejsza takiego typu realizacya, to człowiek, w którym umysł całą treść życia wewnętrznego pochłaniał, wszystkie uczucia i namiętności ogarniał, na cały świat zewnętrzny panowanie swe chciał rozpostrzeć, aż w tym nadmiernym swym rozroście doszedł do okropnego rozstroju i z całą pełnią swych blasków utonął na zawsze w mrokach obłądu.

Taka jest pełna grozy tragedia myśliciela, którą tu w kilku rysach ogólnych rozwinąć zamierzamy.

II.

Dziwną jest zaiste rzeczą, iż ów zuchwały rewolucjonista myślowy wzrastał i rozwijał się w atmosferze na wskroś przesiąkniętej żywiołami tradycyi—ów zaklęty wróg istniejących stosunków kulturalnych od dzieciństwa podlegał wszechstronnym ich wpływom i przez całe życie należał do warstwy społecznej, która z nich powstała, im wyłącznie byt swój zawdzięczała.

Wiadomo, że w Niemczech nowoczesnych taką warstwą jest intelektualny patrycyat mieszczański, a szczególnie złączone ściśle w jego obrębie klasy pastorów i uczonych. Owóż Nietzsche z urodzenia, wychowania i zawodu całkowicie do tej sfery należał, a w zasadniczych właściwościach swego charakteru i usposobienia nader typowym był jej przedstawicielem.

Pochodził z rodu pastorów i to tak w ojczystej, jak i w macierzystej linii, od kilku z rzędu pokoleń. Otrzymał wychowanie bardzo moralne i religijne, wykształcenie niezmiernie gruntowne,

przeprowadzone systematycznie, przeniknięte na wskrós pierwiastkami typowo niemieckiej, pedantycznej nieco uczoneści. Jedyna jego siostra i nieodłączna prawie towarzyszka nietylko dzieciństwa, lecz i znacznej części młodości, Elżbieta Förster-Nietzsche, dała nam wierny obraz życia rodzinnego, wśród którego wzrastał przyszły myśliciel-rewolucjonista oraz stosunków towarzyszących jego wychowaniu.¹⁾

Niewielkie o staroświeckim wyglądzie i staroświecko-prowincjonalnym trybie bytu miasto niemieckie — we wzorowym łaździe utrzymane życie rodzinne w domu zamożnej wdowy po zmarłym przedwcześnie pastarze; doskonale uregulowane stosunki towarzyskie w gronie przyjaciół i krewnych, typowych przedstawicieli wysoce kulturalnej inteligencji mieszczańskiej: — oto są warunki, wśród których rozwijał się młody Fryderyk. Dodajmy do tego wspomnienia dziecinne z wioski saskiej koło Lützen, gdzie upłynęły pierwsze lata jego życia w pasterskim domu ojca, następnie częste wycieczki do bliskich krewnych, również wiejskich pastorów, wreszcie pobyt w wyborowej, sławnej na całe Niemcy szkole w Schulpforta oraz w znamienitych uniwersytetach w Bon i w Lipsku — a będziemy mieli skończony w swej typowości mieszczańsko-niemiecki obraz życiowy, na którego tle rozwijają się ludzie co się zowie porządni, dzielni, pracowici, niezbyt skłonni do wzlotów ponad swą sferę, ale za to niezrównani w jej obrębie działacze zawodowi, wznoszący zbiorowymi siłami ów gmach kultury, którym tak bardzo szczycą się, o którym tyle razy powiadają Niemcy współcześni.

Nieomal ideał przyszły takiego działacza zarysowuje się w osobie młodego Nietzschego, jak go poznajemy z opowiadania siostry, stwierdzonego mnóstwem listów i dokumentów autentycznych. Widzimy w nim istny wzór pracowitego, moralnego, pod każdym względem przykładowego młodzieńca. Ani mowy nie ma o porywach „górnym i chmurnym“, o burzliwych niepokojach duszy młodzieńczej. Życie płynie równo i składnie w pracy systematycznej, w sposobieniu się na doskonałego zawodowca, w kształceniu niezwykle wszechstronnych uzdolnień filozoficznych, poetyckich, muzycznych. A jaka budująca moralność u tego młodego sensata! Oto szesnastoletni Fryderyk w liście do matki z zalem najgłębszym, nieomal z rozpaczą, donosi o straszliwym

¹⁾ W dwutomowym (niedokończonym dotąd) dziele, wydanym w 1895-97 u Naumana w Lipsku, p. t. „Das Leben Friedrich Nietzsche's.“

występku, którego się dopuścił, gdy na jakiejś wycieczce z kolegami pozwolił sobie przebrać miarę w napoju. Było to zdaje się jedyne wykroczenie tego wzorowego młodzieńca, który ani jednej chwili życia nie zmarnował i nigdy nie przestawał pracować nad wyrabianiem swego charakteru, nad kształceniem swego umysłu.

Chciecie poznać jego rozrywki? Pani Förster-Nietzsche bardzo charakterystyczne podaje nam w tym względzie wiadomości. Jako uczeń ostatnich klas gimnazjum, zakłada Fryderyk wraz z dwoma swymi kolegami literacko-artystyczne towarzystwo Germanię, które ma swoje statuty, ustawy, protokoły i odbywa systematyczne posiedzenia. Na tych trzech jego uczestnicy czytają swe rozprawy naukowe, studia literackie i poematy, wykonywują cudze lub własne utwory muzyczne, a w jak poważnym trzymane charakterze, w jak klasycznym stylu! Same fugi, sonaty, symfonie, oratoria. O muzyce lżejszej ani słyszeć nie chcą; chęć pustej zabawy, ani im w głowie nie postanie.

Czyż nie wzorowi młodzieńcy?—Jakaż pociechę mieć z nich będzie kiedyś ojczyzna niemiecka!

Pani Förster-Nietzsche podaje fotografię brata z tej epoki jego życia. Jakaż typowa twarz i postać idealnego młodzieńca niemieckiego, wzięta jakby z rysunku Kaulbacha do szylerowskiej „Pieśni o dzwonie.“ Czyż nie tak powinien wyglądać przyszły działacz i bojownik kultury niemieckiej?

Ale rzucińmy oto okiem na późniejsze portrety Fryderyka z dojrzałej, męskiej epoki. Pyszna twarz o potężnym, wysoko sklepiionem czole, bystrych oczach, gęstych, nawisłych brwiach, o sumiastym wąsie i kształtnym, nieco orlim nosie. Nie jest to wszakże twarz niemieckiego myśliciela, a tem mniej uczonego filologa-profesora, czem był naówczas Nietzsche. Jeśli chodzi o określenie w niej typu narodowego, każdy, choć trochę fizyognomista, od pierwszego rzutu oka powie: Najoczywistszy szlachcic polski w przepysznej i dziwnie pięknej typowości.

Ten szlachecko-polski wygląd Nietzschego łączy się z dość niepewną, nieco legendowo brzmiącą, wieścią o jego pochodzeniu polskiem, do której on sam przywiązywał wagę. Oto własne jego w tym względzie wyznanie, pochodzące z r. 1883 ¹⁾.

„Mówiono mi, że pochodzenie mej krwi i nazwiska wywodzi się ze szlachty polskiej, ze szlacheckiej rodziny Nieckich, która więcej, niż przed stu laty, prześladowana z powodu swego wyzna-

¹⁾ Das Leben Friedrich Nietzsches, tom 1, str. 10.

nia protestanckiego, musiała opuścić swą ojczyznę. Przyznać się muszę, że jeszcze jako mały chłopiec bardzo szczyliłem się tem mojem polskiem pochodzeniem. Krew niemiecką odziedziczyłem tylko po matce mej z rodziny Oehler i po matce inego ojca z rodziny Krause i zdaje mi się, że pomimo tej przymieszki w istotnym mym charakterze pozostałem Polakiem. Zwracano nieraz uwagę na wybitnie polski typ całej mej powierzchowności. Za granicą, w Szwajcaryi i we Włoszech, nieraz zwracano się do mnie jako do Polaka; w Sorencie, gdy tam całą jedną zimę spędzałem, zwano mnie stale il Polacco; a szczególnie podczas jednego pobytu letniego w Marienbadzie co chwila przypomniano mi moje pochodzenie polskie. Polacy nieraz przemawiali do mnie w swym języku, biorąc mię za kogoś ze swych znajomych, a jeden z nich, gdy się przed nim wszelkiej polskości wypierałem, smutnie na mnie popatrzył i rzekł: „znać jeszcze starą rasę, ale serce Bóg wie dokąd się zwróciło.“ Mały zeszyt mazurków, które jeszcze jako chłopiec ułożyłem, nosił napis: na pamiątkę przodków. Jakoż pamiętałem o nich zawsze w wielu moich wyobrażeniach, sądach i przesądach. Polacy wydawali mi się zawsze najdzielniejszym i najzdolniejszym z ludów słowiańskich, a Słowian wogóle poczytują za nierównie zdolniejszych od Niemców; sądzę nawet, że Niemcy tylko dzięki przymieszce krwi słowiańskiej weszli w poczet narodów wyżej uzdolnionych. Z przyjemnością myślałem o prawie szlachcica polskiego, który przez swoje proste veto mógł obalić postanowienie sejmu. Zdaje mi się, że Polak Kopernik najwspanialszy i najszlachetniejszy z tego prawa uczynił użytek wbrew mniemaniu i naocznemu świadectwu wszystkich innych ludzi. Niezawisłość polityczna dawnych Polaków, ich słabości i wybryki nawet, poczytywałem za objawy świadczące raczej na korzyść ich uzdolnienia, aniżeli przeciw niemu. Chopina za to szczególnie wielbiłem, że muzykę wyzwolił z pod wpływów niemieckich, z towarzyszącej im skłonności do tego co szpetne, ociążałe, małomieszczająco-nadęte: piękność i szlachetność ducha a osobliwie wykwinęta wesołość, swoboda i wspaniałość, obok południowego żaru i mocy uczucia, przed nim nigdy w muzyce tak pełnego nie znalazły wyrazu.“

Przytoczyłem ten dość długi ustęp zwierzeń Nietzschego nie tyle ze względu na kwestyę polskiego pochodzenia filozofa, ile z powodu przejawiającego się tu krańcowo zaprzecznego stanowiska w jego zapatrywaniach na uzdolnienia kulturalne Niemców. Co do owego rodowodu polskiego, jak wyżej zaznaczyłem, jest on bardzo wątpliwy, legendowy pono, niekoniecznie jednak

musi być uznany za zupełną niemożliwość. Jeśli jest to tylko legenda, to dziwne jest zaiste owo potwierdzenie, jakie ona znajduje w powierzchowności, a może i w charakterze filozofa. Kto wie, czy jakiś atawistyczny objaw polsko-szlacheckiego indywidualizmu, występujący na gruncie głębokomyślnej umysłowości germańskiej i niezmiernie wytężonej intelektualnej jej kultury, nie mógłby posłużyć do wyjaśnienia tego dziwotworu psychicznego, jaki nam się przedstawia w potężnym, ale paradoksalnym geniuszu autora „Zaratustry.“

Nie chodzi tu jednak o kwestyę rzekomej jego polskości. Istotną rzeczą jest tu ów jakiś rys egzotyczny, obcy duchowi niemieckiemu i niemieckiej kulturze, a widoczny tak na fizycznym, jak i na moralnym obliczu burzyciela uznanych powszechnie wartości duchowych. Idealny młodzieniec niemiecki zawiódł nadzieje, jakie mógł wzbudzać i wzbudzał zapewne w swoich współrodakach i stał się nie jednym z filarów wiedzy i kultury ojczystej, lecz, o zgrozo, zawiętym wrogiem tej i tamtej, a pośrednio i całej nowożytnej cywilizacji europejskiej, o ile ta znajdowała w nich typowe swe odbicie, a jak sądzą zacietrzewieni patryoci niemieccy, całkowite nieomal swe streszczenie. Zmiana w rysach twarzy i w postaci dawnego ucznia przesławnej szkoły szulpfoeskiej była oznaką niezmiernie doniosłych zmian i przewrotów w całej jego istocie duchowej, w najgłębszych jego przekonaniach, uczuciach i ideach.

Wszelako w życiu zewnętrznym młodego myśliciela nie się nie zmieniło: rozwijało się ono w tym samym kierunku, jaki od lat młodzieńczych został mu nadany. Wzorowy uczeń filologii klasycznej, stał się w bardzo prędkim czasie znamienitym jej mistrzem, wzbudzającym w świecie uczonym powszechnie uznanie dla swej wiedzy rozległej i olbrzymich zdolności. Dzięki temu już w 24 roku życia mianowany został profesorem uniwersytetu bazylejskiego; wykłady jego ogromne miały powodzenie, a uczonofilologiczne jego dzieła zaliczone zostały do klejnotów nauki niemieckiej. Był istnym wzorem niemieckiego profesora, podobnie jak przed tem był wzorem pilnego ucznia niemieckiego. Zresztą zewnętrzny tryb jego życia tak spokojny był, jednostajny, próżny zdarzeń! Równowaga jego maćona była tylko przez ciężkie choroby i cierpienia, wynikające z nadmiernych wysiłków umysłowych, a znoszone z heroiczną mocą i rezygnacją. Historia jego, to historia prac i myśli uczonego badacza; jego dźwignią jedyną olbrzymie zadanie ideowe, podjęte z niestęchanem wytężeniem sił fizycznych i umysłowych. Żadna namiętność, żadne uczucie sil-

niejsze ani na chwilę nie owładnęły duszą tego potężnego pracownika wiedzy i myśli. Kobieta, ta przyrodzona mąciicielka najtęższych nawet dusz męskich, w życiu Nietzschego żadnej zgoła nieodgrywała roli. „Żywiół wieczno-kobięcy“ (das Ewig-Weibliche, jak się wyraża Goethe) objawił mu się tylko w dobroczynnem działaniu uczuć macierzystych i siostrzanych, które w ciągu całego życia stale mu towarzyszyły.

Cóż znaczył jednak spokój zewnętrznych warunków bytu, cóż znaczyła wewnętrzna równowaga duszy, niezmaconej nigdy burzą uczuć osobistych i namiętności zmysłowych—skoro pod wysoko sklepioną czaszką tego typowego mózgowca-intelektualisty taki okropny niepokój myśli wciąż panował, takie straszliwe i groźne wrzały burze ideowe! Nie był on kontemplacyjnym myślicielem, unoszonym na skrzydłach idei w krainę nadzmysłowości, ani tem mniej jedną z owych uczonych maszyn ludzkich, pracujących w licznych fabrykach umysłowości i wiedzy współczesnej. — Była to potężna, do najwyższego stopnia samodzielna indywidualność psychiczna, która całą moc swego życia wewnętrznego, swych uczuć, namiętności i porywów w sferze myśli oderwanej, w niezmiernie wyteżonej pracy umysłowej rozwinąć tylko mogła. Punktem wyjścia tej pracy była dziwnie bystra, bezwzględna, druzgocząca krytyka istniejących stosunków kulturalnych, kresem jej—zupełne zaprzeczenie samej kultury, wszelkich najgłębszych, najistotniejszych jej podstaw. Dalszą konsekwencją tego rozwoju stanowiła dążność do jakiegoś pozytywnego ideału życiowego, wysnutego z najczystszej abstrakcyi, a ożywionego olbrzymią siłą pragnień namiętnych, które nadawały mu złudne pozory możliwej, a nawet koniecznej rzeczywistości, mającej się spełnić gdzieś, kiedyś w odległym przestworzu czasów przyszłych.

III.

Wielce charakterystyczne dla rozwoju Fryderyka Nietzschego jest przejście od pierwotnej jego pracy uczono-filologicznej do późniejszych dążeń filozoficznych, które w swem usiłowaniu stawiania nowych norm, nowych wartości życiowych, zrywały stopniowo z wszelką metodą naukową, z wszelką wogóle naukowością i przybrały kierunek, poczytywany przez samego filozofa za objaw wyższej, nieznaney dotąd wiedzy życia, a będącej w istocie rzeczy nie czem innym, tylko pewnego rodzaju tworzeniem poetykiem, z motywów ideowych wysnutem.

Nietzsche-filolog stał silnie na gruncie nauki zawodowej, starannie unikał wszelkiego dyletantyzmu, jak od zarazy odżegnywał się od powierzchownego wszystkowiedztwa; — Nietzsche-filozof nie chciał być wcale uczonym zawodowcem, przybierał ton mędrca, który nie w dowodach racjonalnych, lecz w intuicji natchnienia czerpie uzasadnienie swej wiedzy. Na granicy pomiędzy tymi dwoma kierunkami jego działalności pisarskiej stoi pierwsze znakomite i rozgłośne jego dzieło „O narodzinach tragedji greckiej z ducha muzyki.“ Ze względu na swój przedmiot, jest to praca filologa, ze względu na sposób ujęcia przedmiotu, dzieło filozofa, a ze względu na żywą i barwną swą formę—utwór ukrytego w filozofującym filologu poety.

Nie chodzi tu oczywiście o czysto naukową stronę dzieła. Zaznaczę tylko, że ongi bardzo gwałtownie potępiane przez zawodową krytykę—obecnie wobec nowszych badań na polu filologii greckiej w nierównie korzystniejszem przedstawia się świetle i świadczy o genialnej intuicji autora w odczuciu i rozpoznaniu pewnych, nieznanych dotąd stron życia starohelleńskiego. Dla nas ważny tu jest wszakże nie tyle naukowy przedmiot dzieła, ile przenikający je nastrój podmiotowy autora, jego dążności duchowe, które tutaj biorą swój początek.

W „Próbie samokrytyki,“ poprzedzającej jedno z późniejszych wydań rozprawy o narodzinach tragedji, zaznacza Nietzsche dający się w niej słyszeć „obcy głos wyznawcy jakiegoś nieznanego boga.“ Jest to „bóg,“ któremu późniejszy wieszcz-mędrzec Zaratustra przez całe życie w dziełach swych wznosił świątynie. Wywodzi on swój ród od greckiego Dionizosa, odbiera hołd żywiołowych instynktów i popędów natury ludzkiej, a jest nie czem innem, jak ubóstwionem człowieczeństwem w całej pełni ziemskiego, materialnego jego bytu. Nietzsche mylił się, gdy to swoje bożyszcze uważał za nieznanne ludziom współczesnym. Znają je aż nadto dobrze, co prawda w postaci bardzo odmiennej od tej, w jakiej je przedstawia odkrywca *dyonizejskiego* pierwiastku życia.

Czem jest wedle niego ten pierwiastek? — Jest człowieczeństwem, które w pełni żywiołowych swych objawów przelewa się po za obręb indywidualnego bytu, a zatem i po za wszelkie granice rzeczywistych jego warunków, jego form obyczajowych i kulturalnych. Zewnętrzny wyraz takiego społeczeństwa widział Nietzsche w starogreckim kulcie Dionizosa, oraz w powstałej z niego tragedji, a głównym czynnikiem tego wyrazu miała być muzyka, jako mowa nie odrębnych stanów duszy jednostkowej, lecz zbiorowego nastroju duszy powszechnej, wszechludzkiej, w której

ujawnia się metafizyczna zasada bytu: w myśl schopenhauerowskiej filozofii pojęta woła do życia. Upředmiotowieniem się ma być powstająca z chórów dyonizowskich wizja tragiczna, która przedstawia upadek jednostek w najwyższym natężeniu swej mocy wewnętrznej, pochłoniętych przez grę wiekuistych sił życiowych. Taka tragedia, samorodnie z twórczości ludowej, z religijnej pieśni ludu wykwitająca, świadczy o najwyższym spotęgowaniu żywiołowego, po za brzegi indywidualizmu przelewającego się człowieczeństwa. W podobnym stanie znajdowało się ono w Grecji za czasów Eschylosa i Sofoklesa i na gruncie jego życiowym mogła powstać bezpośrednio z uszlachetnionych przez piękno czyli przez apoloński pierwiastek życia, instynktów i żywiołowych popędów natury ludzkiej kultura tragiczna, zwana tak przez Nietzschego w odróżnieniu od kultury racjonalistycznej, będącej dziełem rozumu, opanowującego i tłumiącego samorodną żywiołowość człowieczeństwa.

Przemienne lub wyłączne panowanie tej kultury racjonalistycznej było w oczach filozofa objawem upadku, powstrzymaniem rozwoju swobodnego przyrodzonych sił naszego jestestwa, zdolnych wznieść się na takie wyżyny, których rozum i myśl świadoma nigdy nie osiągną. To o władnięcie żywiołowości przez racjonalizm miało się już rozpocząć w Grecji za czasów Sokratesa, a za dni naszych stało się powszechne i ujawniło się w rozwoju całej kultury współczesnej. Ale czyż rozkwitająca w dobie obecnej tak wspaniale muzyka, ta przyrodzona mowa dyonizowskiej żywiołowości, nie zdaje się zwiastować nowego zwrotu w rozwoju wszechludzkim, ponownego rozkwitu tragedii i kultury tragicznej, tego najwspanialszego objawu czystego, samorodnego człowieczeństwa?

Takim pełnem nadziei pytaniem kończy się dzieło Nietzschego, zawierające pierwszy zarys jego ideału humanitarnego. Jak wyżej zaznaczono, zgadza się on z ideałem kultury nowoczesnej w ubóstwieniu człowieczeństwa, pojętego w czysto-ziemskim, materialnym zakresie, jako cel ostateczny rozwoju życiowego, jako najwyższa jego potęga, niezawisła od wszelkich mocy nadprzyrodzonych. Będąc wszakże jednym z rzeczników ducha czasu w materialistycznym sposobie pojmowania istotnych zadań życiowych, jak bardzo oddala się nasz filozof od głównych jego prądów przez właściwy sobie sposób stawiania i rozwiązywania tych zadań, przez bezwzględność i nieustraszoną w dochodzeniu do najkrańcowszych, najbardziej wybujałych, często zgoła paradoksalnych ich wyników!

Wielka, osławiona w swem zuchwalstwie, śmiałość jego w tym względzie, w jakienż przeciwieństwie stawia go do różnych prądów ideowych naszej epoki! Zaznacza się ono dobitnie w szeregu prac, noszących ogólną nazwę: „Rozważania nie na czasie“ (Unzeitgemässe Betrachtungen). Sama już ta nazwa uwydatnia arcy nieprzyjazne względem ducha czasu stanowisko młodego myśliciela. Jakoż w całej literaturze nowożytnej niełatwo się spotkać z bezwzględniejszem tegoż ducha i jego przejawów kulturalnych zaprzeczeniem. Nietzsche występuje tu, jako namiętny oskarżyciel obecnej naszej kultury i całymi garściami rzuca jej w twarz okrutne obelgi, trafiające w najślabsze jej strony, druzgoczące z ogromną siłą najbardziej czone jej bożyszczą. Dziwna rzecz, ten rzecznik krańcowej myśli wolnej, zwraca się na razie nie przeciw zwalczanym przez nią dawnym ideałom i tradycjom, lecz przeciw pewnym współczesnym jej prądom, w których widzi objawy największego obniżenia i znikczemnienia dążeń ludzkich.

Przedewszystkiem uderza z szaloną werwą polemiczną na jednego z najgłośniejszych i najbardziej wpływowych przedstawicieli wolnomyślicielstwa danej epoki (około roku 1870), Dawida Straussa. Słynny ten autor antychrześcijańskiego „Życia Jezusa,“ niepoprzestając na podjętem w tem dziele usiłowaniu, mającem na celu poderwanie historycznych podstaw chrześcijaństwa, pod koniec swego żywota wystąpił z książką, w której, w imieniu ogółu wolnomyślnych ludzi współczesnych, wyrzeka się wiary we wszelką religię objawioną, stawiając na jej miejscu wiarę w naukę i w postęp kultury ludzkiej. Strauss występuje tu, jako rzecznik optymistycznego liberalizmu mieszczańskiego, który kulturę nowożytną z jej dobrobytem materyalnym i zdobyczami umysłowemi poczytuje za jedyną drogę wiodącą do najwyższych celów ludzkości.

Nasz filozof „Nie na czasie“ potężną maczugą swej krytyki rozbija w puch to piękne marzenie. „Wy macie nam przewodniczyć w pochodzie do owych wysokich celów wszechludzkich, mówi on do Straussa i jeszcze podobnych wyznawców „nowej wiary“ kulturalnej. Ależ wy się nawet z miejsca nie ruszacie. Udajecie tylko pochód ku wyżynom, a w istocie rzeczy drepacie na nizinach najpospolitszej codzienności. Celem waszym wygodne na nich legowisko i żerowisko obfite, ideałem waszym spokojny dobrobyt filisterski i filisterskie w nim używanie.“

Filister kulturalny — *Bildungsphilister* — oto epitet, którym Nietzsche wybornie scharakteryzował cały zastęp owych rzeko-

mych bojowników. Oznacza on ciasną pospoliczość dążeń, przeniesioną z mieszczańskich poziomów na wyżyny cywilizacyjne. Są ludzie (dobrze ktoś powiedział), co ze sobą noszą swój widnokrąg: jakkolwiek wysoko wstąpią, zawsze mają przed oczami ten sam ciasny zakres widzenia. Taki to typ na szczytach kultury współczesnej dojrzał Nietzsche w wyznaniach autora „Starej i nowej wiary.“ Być może, iż rzeczywisty Dawid Strauss nie był tak doskonale typowym, jak nam się przedstawia w pierwszym „Rozważaniu nie na czasie.“ Ale czyż nam wiele zależy na posiadaniu wiernego portretu literackiego tej nikszej już obecnie w od-dali czasu jednodniowej wielkości? — Czyż nie ważniejsze jest trafne pochwycenie w jej obliczu duchowem kilku znamienych rysów epoki i dziś tak powszechnych w otaczającym nas świecie społecznym? — I tutaj występuje dobitnie zaznaczona już powyżej zdolność twórcza Nietzsche'go, która, pomimo i może wbrew jego woli, występowała stale w jego dążeniach i pracach filozoficznych. Wskutek tego dają nam one nie abstrakcyjne, ściśle naukowe odbicia duchowych prądów epoki, lecz raczej poetyckie ich obrazy, ukazane w świetle podmiotowych usposobień i nastrojów myśliciela-artysty.

Rzecz o „Dawidzie Straussie wyznawcy i pisarzu“¹⁾ to więcej satyra, aniżeli rozprawa naukowo-krytyczna. Wzdłuż całej jej osnowy dźwięczy ton osobistego uczucia autora, dźwięczy szyderstwem, gniewem, oburzeniem, czasem przemawia w odcieniach subtelnej ironii, czasem w namiętnych wybuchach, a zawsze uderza szczerością i siłą w wypowiedzeniu odrazy do płaskiej pospoliczości filisterstwa kulturalnego, które w śmiesznej swej zarozumiałości poczytuje się za szczyt nowożytnego rozwoju, gdy tymczasem jest tak wyraźnem obniżeniem jego dążeń, tak smutnem świadectwem jego zwyrodnienia czy zloczenia czasowego. Satyryczny ów ton rozprawy byłby zupełnie niewłaściwy, gdyby się stosował do poszczególnej osobistości; ale właśnie w tem rzecz, że autor ma na widoku nie tyle osobistość literacką, którą krytykuje, ile charakterystyczny typ życiowy, który w niej dostrzega i uwydatnia, typ w danej epoce nader powszechny, a co gorsza stanowiący nie jakiś dawny przeżytek, lecz właśnie nowe zjawisko społeczne, mające przyszłość przed sobą, a za sobą liczny bardzo ogół ludzi współczesnych, może ogół współczesnej ludzkości europejskiej. Owóż właśnie przypuszczalne jej poniżenie w po-

¹⁾ David Strauss der Bekenner und der Schriftsteller.

dobnym typie, możliwe sfilistrzenie jej w czasie obecnym lub przysłym, pobudziło głównie satyryczną werwę myśliciela „Nie na czasie,” który, wbrew zasadniczym filisterskim dążeniom swej epoki, poprzednio już postawił tak zupełnie im przeciwny ideał humanitarny, a następnie wyżej jeszcze miał go wynieść, jako ideał nadczołowieczeństwa, będący wprost zaprzeczeniem całej współczesnej ludzkości i nieskończenie ponad jej poziomy wzniesiony.

Satyryczną dążnością przeniknięta jest również druga rozprawa „Nie na czasie,” której temat naukowy odtworzony został z nieporównanym artyzmem słowa. Rozwija w niej autor pogląd na historję ze względu na pożytek i szkodę jej dla życia¹⁾. Już samo to sformułowanie tematu stawia Nietzsche'go w przeciwieństwie do ogółu, a przynajmniej do ogromnej większości przedstawicieli nauki współczesnej, biorących ją w jej znaczeniu oderwanem, niezależnie od warunków danej rzeczywistości życiowej.

Z całą siłą przekonania powstaje Nietzsche przeciw takiemu jej pojmowaniu w zakresie wiedzy historycznej, której charakterem coraz bardziej naukowym tak szczył się badacze współcześni. „Nie na czasie jest i ta moja praca, mówi w przedmowie, ponieważ coś, czem szczególnie chełpi się nasza epoka, mianowicie historyczną jej kulturę, przedstawiam tu, jako ujemną jej stronę, ponieważ przekonany jestem, że chorujemy obecnie na prawdziwą gorączkę historyczną i co najmniej, istnienie tej choroby stwierdzić w sobie winniśmy.“

Oczywistą jest wszakże rzeczą, że historia nie została tu potępiona bezwzględnie — chodzi tylko o sposób jej pojmowania, o jej stosunek do życia, o ujawniający się w tym stosunku nadmiar jej za dni naszych. Rozróżnia autor trojaką historję: monumentalną, antykwarską i krytyczną. Pierwsza utrwała pamięć wielkich czynów i wielkich ludzi przeszłości; druga jest zachowawczynią wspomnień jej i tradycji; trzecia jest sądem surowym o ujemnych lub przeżytych jej objawach. Każdy z tych rodzajów historycznych przynosi swe pożytki lub szkody, o ile jest lub nie jest podporządkowany istotnym potrzebom życiowym. Historia monumentalna, jako zbiornik wielkich przykładów i wzorów, pobudzać może energię wyższych dążeń, ale jak często staje się ich zaporą, gdy zniewieściali potomkowie umieją tylko podziwiać dzielnych przodków, a niezdolni są w ich ślady wstępować, gdy dawna czezona powszechnie wielkość przeciwstawiana jest upor-

¹⁾ Vom Nutzen und Nachtheil der Historie für das Leben.

czywie wszelkiej nowo-powstającej wielkości, jako niemającej wobec niej prawa do bytu! Historia antykwarska, budząc cześć dla pamiątek starodawnych, staje się łącznikiem pomiędzy przeszłością i terażniejszością; wieleż razy wszakże wyradza się w bezmyślny kult wszelkiego rodzaju starzyzny, która martwą masą niwy życia zalega i ruch swobodny na nich tamuje. Wreszcie historia krytyczna, rozjaśniając swem światłem przeszłość, jakże często działa rozkładowo na terażniejszość, na różne najcenniejsze nieraz jej zasoby po przeszłości odziedziczone!

Zachodzi tu pytanie: jak przedstawiają się rozmaite owe dodatnie i ujemne oddziaływania historii w czasach obecnych? Stosunek jej do życia, mówi Nietzsche, uległ za dni naszych szczególnemu zamąceniu, które spowodowane zostało głównie przez dążność do nadania wiedzy dziejów charakteru ściśle naukowego. Jako nauka samoistna, sama w sobie cel swój mająca, nietroszczy się ona wcale o potrzeby życia. Narzuca się mu pod różnemi postaciami, zalewa je ze wszystkich stron, a pod falami napływających w niej z rozlicznych sfer czasu i przestrzeni obcych żywiołów, giną w zarodku płody rodzimej, swojskiej gleby.

Ależ korzyści olbrzymie, jakie nam przynosi nowożytna wiedza historyczna: obiektywny jej sąd o zjawiskach życia, prawda, sprawiedliwość, tolerancya w ich ocenie!... Nietzsche poddaje rozbirowi krytycznemu wszystkie te jej zdobycze i wykazuje ogromną ilość tkwiącej w nich ułudy. W tej jego krytyce dużo znaleźć można uprzedzeń, dużo zapędów, wpadających w paradoksalność, ale i prawdy nie mało w niej się zawiera. Zresztą nie o przedmiotową prawdę wiedzy nam tu chodzi, lecz o podmiotową prawdę nastroju indywidualnego. I tutaj mamy nietyle krytykę, ile satyrę, w której charakterystycznie przebija właściwe autorowi odczucie ideału humanitarnego w jego przeciwieństwie do otaczającej rzeczywistości życiowej.

„Szczycicie się tem, że dziś nauka nad życiem poczyną panować. Być może, iż z czasem zostanie ono przez nią zupełnie opanowane; ale zaiste pozostające pod takim panowaniem życie mniej jest życiem i mniej życia na przyszłość poręcza, aniżeli ongi, gdy instynkty i wynikające z nich potężne złudzenia nad nim panowały. Ale też epoka nasza nie ma na widoku wytwarzania dojrzałych i harmonijnych osobistości — jej celem możliwie największa ilość użytecznej, zbiorowej pracy. Ludzie mają być przystosowani do tego jej celu, a im prędzej to się stanie, tem lepiej: trzeba ich zapędzić do pracy w fabryce powszechnej użyteczności zanim dojrzeją; wogóle nie powinni wcale dojrzewać, bo

to zbytek, przez który rynek pracy znaczną ilość sił traci. Niektóre ptaki oślepiane bywają, aby tem piękniej śpiewały. Nie sądzę, aby ludzie współcześni piękniej śpiewali od swych praodców, ale to wiem, że system oślepienia jaknajwcześniejszego nieraz bywa do nich stosowany; a środkiem po temu światło wiedzy zbyt jaskrawe, zbyt nagłe, zbyt zmienne.“

Jak widzimy, w słowach powyższych powstaje Nietzsche przeciw nadmiarowi nie tylko samej nauki historyi, lecz wogóle wszelkiej naukowości, powodującej wygórowany rozwój oderwanej od życia, bezosobistej inteligencji, z ujmą nieświadomych sił i usposobień naszego jestestwa, które w żywiołowym swem działaniu naszą odrębną osobistość stanowią. Siły te oznacza nasz autor nazwą instynktu, ale rozumie przez nie—nie niższe, zmysłowe popędy natury ludzkiej, lecz pewne jej samorodne, żywiołowo objawiające się skłonności i uzdolnienia, mogące owszem wznieść się do najwyższych szczytów rozwoju. A jak wzniosły cel stawiał mu przyszły rzecznik „nadcześniaka,“ dowodem żywy jego protest przeciw tak powszechnemu za dni naszych ubóstwianiu faktów dokonanych, wynikającemu wedle niego z historycznego poglądu na życie.

„Fakt, mówi, jest waszym bożyszczem, ale fakt po wszystkie czasy raczej do złotego cielca, aniżeli do bóstwa był podobny... Człowiek przez to tylko wznosi się w enocie i w doskonałości, że powstaje przeciw ślepej potędze faktu, przeciw despotyzmowi rzeczywistości, że płynie przeciw falom historycznym.“

„Wielcy ludzie, którzy najbardziej upamiętnili się w dziejach, działali zawsze niehistorycznie, przez bezwiedny zapęd czynu, nie przez poczerpniętą z historii świadomość jego pobudek i celów.“ Nietzsche potępia historję naukową dlatego głównie, że zaszczenia ona ludziom wiarę w jakieś zewnętrzne prawa rozwoju, która tłumi w nich z wewnętrznego ich jestestwa samorzutnie, instynktownie wynikającą energję rozwojową; podnosi natomiast historję, która, nietroszcząc się o „prawa dziejowe,“ wysławia i upamiętnia tych właśnie, co przeciw owym prawom walczyli, t. j. przeciw potędze rzeczywistości, co nie wiele dbali o to „co jest“ a dążyli do tego „co być powinno.“ Z tegoż powodu podnosi znaczenie mytów, tych heroiczych marzeń ludzkości, z których tak złośliwie budzi ją świętokradzka dłoń krytyki historycznej, „roziewając przez to ów pełen czci nastrój złudzenia, w którym wszystko, co żyć chce, jedynie żyć może; albowiem jedynie ocieniony złudzeniem miłości człowiek tworzyć jest zdolny.“

W tym poglądzie na znaczenie mytów dawnych Nietzsche spotyka się z Mickiewiczem. Odyniec w swych „Listach z podróży“ opowiada, jak poeta nasz pod wrażeniem wspomnień dziejowych, otaczających go w murach Rzymu, oburzał się na Niebura za to, że swoją krytyką historyczną niweczył starorzymskie podania. Zresztą i w „Wykładach literatury słowiańskiej“ niejedno podobne zapatrywanie znaleźćby można. Jakżeż odbijają od nich zwrócone do „młodych bojowników postępu“ słowa Asnyka, poety epoki pozytywizmu:

Choć otrząśnięcie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Ludziom niezbraknie niebiańskich zachwyków,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Czyż nie godne jest uwagi to spotkanie się wielkiego poety romantycznego z „filozofem“ modernistycznym po przez rozdzielający ich okres pozytywnych dążeń? Czyż nie jest ono jednym z wielu dowodów przewyciężenia tych dążeń przez najnowsze prądy duchowe?

Z drugiej strony jak charakterystycznie zarysowuje się tu indywidualność naszego filozofa, jako wroga krytycznej wiedzy nowożytnej i lubownika „kwiecica barwnych mytów.“ Poetą myśli jest on, poeta, który z myśli oderwanej wysnuwał swój ideał humanitarny, a ożywić go pragnął krwią serdeczną własnych uczuć i pragnień. Ale czyż pragnienia owe zwrócone ku temu, co bezpośrednio, instynktowne, żywiołowe w naturze ludzkiej, niepozostawały w rażącym przeciwieństwie z istotnym charakterem tego typowego intelektualisty, który przez całe życie oddychał abstrakcją i przeniknięty był do najwyższego stopnia samowiedną, nieinstynktywną kulturą umysłową?

Przeciwieństwo to stanowiło istotnie znamieny rys dążeń Nietzschego, rys wysoce tragiczny, który w pełnem swem rozwinięciu da nam poznać jedną z najbardziej wstrząsających tragedij ideowych, jakie kiedykolwiek rozegrały się pod czaszką myśliciela.

IV.

Nie było może na świecie człowieka, któryby mniej aniżeli Nietzsche użył życia, a więcej je miłował, miłował nie instynktem samozachowawczym, ani żądzą używania zmysłowego lub szczęścia osobistego, lecz pragnieniem doskonałej pełni sił życiowych, w najwyższem ich natężeniu, w najbujniejszym rozwoju.

Jakże surowy, jak próżny wszelkiego używania wiódł żywot ten potężny pracownik-myśliciel z taką namiętnością zatapiający się w najgłębsze tajniki bytu, ten tragiczny męczennik, który w okropnych cierpieniach fizycznych tak dotkliwie odczuł grozę istnienia. A jednak nie zwątpił o niem nigdy. Wśród najsroźszych cierpień umysł jego snuł bez przerwy niemal wątek idei, które w swem logicznem rozwinięciu, w swem niezmiernem, wielogłosowem bogactwie stanowiły niby jedną wielką symfonię myślową, osnutą na zasadniczym temacie hymnu, głoszącego chwałę życia w jego rozlewnej wśród bezmiarów potędze. Różne w tej symfonii brzmiały tony, różne harmonie i rozdźwięki, ale wśród wszelkich jej powikłań, temat główny zawsze mniej lub więcej wyraźnie dawał się słyszeć.

Po raz pierwszy odezwał się on w młodzieńczej pracy Nietzschego o narodzinach tragedji greckiej, o żywiołowej potędze ujawniającego się w niej dyonizejskiego pierwiastku życia. Jakimż rozdźwiękiem z odgłosami tej przeddziejowej wiosny człowieczeństwa brzmiały tony współczesnego jego bytu w pierwszych dwóch: „Rozważaniach nie na czasie.“ Jeden ton, to płaskość „filistrów kulturalnych“, tak przemożnych liczbą swą i wpływem w otaczającym świecie społecznym, drugi—to bezduszna, a czasami i bezmyślna zgoła naukowość historyczna, martwymi szczątkami przeszłości przywalająca zielone niwy życia. Ale czyż poza podobnymi objawami nie ma w bycie współczesnym czynników, w którychby szczerze ludzkie życie uderzało tętnem? Młody myśliciel „Nie na czasie“ zdawał się o tem wątpić. Im bardziej rozglądał się po ludziach i stosunkach współczesnych, im głębiej rozważał zagadnienia ich bytu, tem mniej dostrzegał w nich prawdziwego człowieczeństwa, zdolnego wybujać pełnią swych sił żywiołowych. Nie znaleźć go w masach, ani w poszczególnych warstwach czy sferach społecznych; znajduje się ono chyba w wyjątkowych, genialnych jednostkach ludzkich.

Za takie jednostki poczytywał Nietzsche w tej epoce swego życia Schopenhauera i Wagnera, którym poświęcił dwa ostatnie swoje „Rozważania nie na czasie.“ W pierwszym z nich, w rozprawie p. t. „Schopenhauer, jako wychowawca“ (Schopenhauer als Erzieher), słynny mistrz pesymizmu nowożytnego, utożsamiony został z ideałem myśliciela, który nie tylko potęgą swego umysłu, lecz także całą pełnią swej czysto ludzkiej indywidualności, wznosi się na szczyt człowieczeństwa współczesnego i pociąga ku niemu wszystkich ludzi, którzy w wyższych swych ponad powszednie poziomy dążeniach, za mistrza i przewodnika go uznają. Ten

wzniosły ideał człowieka-myśliciela przeciwstawia Nietzsche z właściwą sobie jaskrawą bezwzględnością urzędowym przedstawicielom myśli ludzkiej, jakich spotykamy na realnych poziomach życia w postaci zawodowych filozofów, zacierzewionych szperaczów lub uczonych pedantów. Ci, to okazy myślącego człowieczeństwa w jego ułankowości i bezdusznem zmechanizowaniu; tamten jest najzupełniejszym wykwitem jego żywej siły duchowej, jest celem i kresem, do którego cały jego rozwój zmierza.

Gorliwy życia miłośnik w jego pełni doskonałej ideał człowieczeństwa uznaje, a typowy intelektualista, myślą, idea, wyłącznie prawie żyjący, w intelektualizmie do najwyższego stopnia wytężonym widzi główny czynnik tego wzniesienia się natury ludzkiej na szczyty rozwoju życiowego. Z połączenia tych dwóch postulatów Nietzschego wynika dziwna na pozór u tego wielkiego pracownika myśli nienawiść do wiedzy oderwanej i do wiernych jej sług: uczonych zawodowych. Nietylko w rozprawie o Schopenhauerze, ale i we wszystkich prawie swych pismach zdobywa się Nietzsche na najdosadniejsze wyrazy wstrętu, na najwspanialsze wybuchy gniewu, gdy mówi o urzędowych „kapłanach nauki.“ „Bezmyślność stała jest ich cechą, praca ich jest typem najdoskonalszym bezpłodnej działalności, pilność ich ma w sobie coś z bezniernej głupoty siły ciężenia, pracowite ich poszukiwania nie prawdy a szukania samego szukają.“

Oto na chybił trafił chywycone niektóre z olbrzymiej liczby podobnych sądów Nietzschego o sławetnem bractwie uczonych.— Te bezwzględne potępienia rzucane na klasę ludzi, do której przez zawód swój należał, stąd pochodziły, że sam pełen życia w każdym poruszeniu swych myśli, w każdym rzucie swych najgórniejszych idej, nie znajdował go wcale prawie w bezdusznej pracy umysłowej współczesnych zawodowców wiedzy. Wogóle nie uznawał on wiedzy samej w sobie, niesłużącej istotnym potrzebom życia, unoszonej w strefach czystej abstrakcyi, lub zamkniętej w ciasnych kręgach specjalności zawodowych; przeciwstawiał jej mądrość, jako wykwit całej pełni duchowego życia człowieka.

„Wiedza, mówił, w takim jest stosunku do mądrości, jak cnota do świętości: zimna jest, oschła, niezna co to miłość, co głębsze pragnienia i tęsknoty. Jest ona o tyle sama sobie pożyteczna, o ile szkodliwa jest tym, co ją uprawiają, gdy na nich charakter swój przenosi, a przez to człowieczeństwo ich do skostnienia doprowadza. Dopóki przez kulturę rozumiany jest głównie postęp wiedzy, dopóty z bezlitością oschłością przechodzić ona będzie obok największych nawet cierpień ludzkich, ponieważ wiedza widzi

i uznaje li tylko problematy poznania; cierpienie po za obrębem jej świata się znajduje, jako coś niewłaściwego, niezrozumiałego, a zatem, co najwyżej, jako nowy problemat badań.“¹⁾

Nie jako służebnika lub „kapłana“ wiedzy, lecz jako mędrca prawdziwego wysławia Nietzsche Schopenhauera. W jego filozofii widzi pełen soków odżywczych owoc żywej, twórczej myśli, wykwitającej z pełni życia duchowego genialnej indywidualności ludzkiej. W tym charakterze jej zawiera się wychowawcza jej siła. W swojej filozofii dał nam Schopenhauer nie system swych idej, lecz siebie samego, jako wzór myślowy społeczeństwa, w pełnem jego uświadomieniu wewnętrznem. To uświadomienie ma być najwyższym celem życia ludzkiego i życia całej przyrody. Twory jej bezwiednie i bezwolnie powstają i giną, unoszone szalonym wirem nieustannego stawania się. Dopiero w człowieku dochodzi ona do samopoznania się w swym bycie istotnym, ale w człowieku, stojącym u szczytu prawdziwie ludzkiego rozwoju. Takim jest człowiek-myśliciel, który potęgą umysłu wznosi się ponad ułudę wiekuistego stawania się, człowiek-twórca, który ją opanowuje w dziele sztuki, uwieczniającym istotę bytu i człowiek-święty, który przewycięża ułudę a stwierdza istotę bytu w swej najwyższej doskonałości duchowej.

Oto są trzy szczyty człowieczeństwa, ku którym cała ludzkość, a w niej przyroda cała, dąży w nieustannym swym rozwoju. Aby je osiągnąć, trzeba mieć siłę geniuszu lub siłę świętości. Ta i tamta dane są niewielu wybranym. Czemże jest względem nich ogół zwykłych, pospolitych ludzi? Jaki zachodzi stosunek pomiędzy tymi szczytami a nizinami ludzkości? Nietzsche odpowiada: Niziny ludzkie po to istnieją, aby na nich szczyty wznosiły się ku wyżynom nadludzkim. Na tych wyżynach „ziemia traci swoją ciężkość; zdarzenia i potęgi ziemskie stają się sennem marzeniem. Wszystko dokoła promienieje, jakby glorią letniego zachodu. Patrzącemu zda się, że w blaskach jej widzi tylko grę obłoków, pozostałych po rozwianym śnie ziemskim. Z czasem i one się rozwiewają; wtedy dopiero nowy dzień zaświta.“²⁾

Tak sobie wyobrażał Nietzsche naówczas kres rozwoju wszechludzkiego i widział w nim początek czegoś „niewysłowionego“, czego marnem tylko odbiciem są wszelkie nasze tu na ziemi dążenia. Jakże dalekim był wtedy od późniejszych dróg swej myśli,

¹⁾ „Schopenhauer als Erzieher.“ Tom I „Dziel“, str. 453.

²⁾ „Dziela“ tom I, 432.

które doprowadziły go do ubóstwienia w „nadczołowieku“ ziemskiego naszego bytu i ziemskiej natury. A jednak niebyło tu zasadniczego przeciwieństwa: — była tylko odległość niezmiernie ostatecznych konsekwencyj, do jakich fatalizmem swej idei wiedziony doszedł w końcu nieustraszony myśliciel. Idea ta zarysowuje się już wyraźnie w rozprawie o Schopenhauerze, w uznaniu podobnych mu geniuszów myśli, serca lub czynu za cel istotny wszechludzkiego tu na ziemi bytu i rozwoju. Zadanie tego rozwoju nie polega na istnieniu jaknajwiększej liczby pośrednich jednostek, ani na jaknajwiększym ich dobrobycie, lecz na powstaniu typów, będących kresem rodzaju ludzkiego i przejściem do wyższego rodzaju.

Myśl ta w postaci, jaką jej tu Nietzsche nadaje, znajduje liczne analogie w przekonaniach najgenialniejszych umysłów naszej epoki. Ten kult ludzi wyższych, to uznanie w nich celu i kresu całej kultury ludzkiej, jest uznaniem istoty człowieczeństwa w żywym człowieku, nie w oderwanych systemach, nie w bezdusznych instytucjach, nie w martwych formułach, które za dni naszych coraz bardziej zdają się pochłaniać całą siłę żywą naszego rozwoju kulturalnego. Nie dziw, że wielbiciel tej siły, miłośnik życia, tak gwałtownie powstawał przeciw obecnej do zmechanizowania go dążności i wysławiał pełnię jego samorodnych objawów w genialnych jednostkach ludzkich. Podobnie Mickiewicz nie od wielkich instytucyj, lecz od wielkich ludzi oczekiwał odrodzenia współczesnej naszej kultury i w nich widział cel naszego rozwoju. „Cóż to jest, pyta, człowiek wielki i czem jest wielki? Oto tem, że każdy z nas małych postrzega cząstkę siebie w jego wielkości.“¹⁾

Mickiewicz, unoszony porywem swych pragnień przedwcześnie czy mylnie ujrzał takiego człowieka-odrodziciela w „mistrzu“ Towiańskim — Nietzsche w danej epoce przypisywał tę wzniosłą rolę „wychowawcy“ Schopenhauerowi. Jakże bardzo mylił się w tym względzie! Jakże niepodobny jest nakreślony przezeń ideał człowieka-myśliciela do swego realnego pierwowzoru! Sam on to później jasno ujrzał i przyznał otwarcie. A skąd wynikał jego błąd? Jeśli nie wyłącznie, to głównie pono z pewnego zasadniczego przekonania, które poprzednio w rozprawie o narodzeniu tragedyi kazało mu uznać świat za fenomen dający się tylko estetycznie usprawiedliwić, a później wyraziło się w takim zdaniu

¹⁾ Rzecz o literat. słowiań. Lekeya 32, r. 1843.

Zaratustry: „Mówicie, że gust nie może być przedmiotem sporu? Ależ życie całe nie czem innym jest, jak sporem o gust.“¹⁾

Owoż pisma Schopenhauera ze względu na swą formę były istnym fenomenem estetycznym w filozofii niemieckiej — a system jego, cokolwiek o nim skądinąd można powiedzieć, w swej budowie i charakterze ogólnym był niewątpliwie arcydziełem dobrego i wysokiego gustu. Nie dziw, że największy filozof wśród artystów, tak chętnie dał się porwać największemu artyście wśród filozofów. Zobaczymy następnie, jak doniosłe posiadała znaczenie w dalszym rozwoju Nietzschego ta przemagająca w nim dążność artystyczna.

V.

Schopenhauera, jako ideał człowieka-myśliciela, odtworzył sobie Nietzsche tylko z jego filozofii, w epoce bowiem, w której się z nią zapoznał, twórca jej zakończył już życie; — Ryszarda Wagnera, w którym widział ideał człowieka-artysty, poznał nie tylko w jego sztuce, lecz i w życiu realnem, w bardzo ścisłym stosunku przyjacielskim. Przedstawiony mu w r. 1868 w Lipsku podczas chwilowego tam pobytu mistrza, zbliżył się z nim następnie w Szwajcaryi, gdy będąc profesorem w Bazylei, często go odwiedzał w jego ówczesnej kilkuletniej siedzibie w Tribschen, pod Lucerną. Związał się wtedy jak najserdeczniejszy pomiędzy nimi stosunek, utwierdzony przez długie, poufne rozmowy, przez szczere w nich zwierzenia mistrza, wskutek których młody jego przyjaciel stał się też jego wielbicielem gorącym i przejął się wszystkimi jego pragnieniami artystycznymi, zwróconymi ku odrodzeniu sztuki w „dramacie przyszłości.“ Skoro te pragnienia zdawały się zbliżać do realizacyi w założonym r. 1872 teatrze bayreuckim, Nietzsche z najwyższym entuzjazmem całą siłą swego talentu i swej energii jął je popierać i współdziałać w wielkiej sprawie bayreuckiej. Wtedy to napisał jako czwarte „Rozważanie nie na czasie“ znakomitą swą książkę „Wagner w Bayreuth,“ najwspanialszą i najgłębszą apoteozę sztuki wagnerowskiej, jaka kiedykolwiek wygłoszona została.

Postać mistrza przybiera tam olbrzymie rozmiary, jednego z tytanów ludzkości; jego reformatorska idea artystyczna przed-

¹⁾ Also sprach Zarathustra. Dzieła (1899) tom 6, str. 171.

stawiona jest jako najwyższe w danej epoce zadanie kulturalne, zdolne odrodzić zwyrodniałe człowieczeństwo i otworzyć przed nim widnokręgi nieznaney mu dotąd pełni życia. Najpierwszym jej objawem sama osobistość Wagnera, jako genialnie wszechstronnego artysty, który „pierwszy cały świat sztuki opłynął,” i jako człowieka potężnego zarówno myślą, czuciem i wolą, jednego z największych pracowników kultury wszechludzkiej. Nietzsche widzi w nim nie tylko twórcę dramatycznego, lecz i dramatycznego bohatera na olbrzymią skalę, który ma do spełnienia czyn wielkiego posłannictwa i skupia wszystkie żywe siły swego jestestwa ludzkiego, aby przełamać martwy opór świata i wyzwolić potężne moce życiowe, skrępowane więzami bezdusznej cywilizacji współczesnej.

Cywilizacja ta, mówi Nietzsche, jest zbiorem różnorodnych pierwiastków, rozrzuconych bezładnie po obszarach naszego bytu społecznego. Stan jej obecny, tak nieharmonijny i chaotyczny, poczytuje za odległe następstwo pomieszania od czasów wojen Alexandra Wielkiego dwóch różnych światów cywilizacyjnych: wschodniego i helleńskiego. Pierwszy dał nam w chrześcijaństwie najwznioślejszą religię, drugi w zabytkach starohelleńskich najbogatsze zasoby wiedzy i sztuki. Ale te żywioły do dziś dnia pozostają sobie obce, nie skupiły się w jedności organicznej, tylko różnymi czasy w różnych stosunkach mechanicznie były mięszane. Węzeł kultury greckiej, rozwiązany mieczem Alexandra, zawsze jeszcze wisi rozpostarty bezładnie na wszystkie strony świata. Potrzeba nam, jak się wyraża Nietzsche, całego szeregu Przeciw-Alexandrów, którzyby ten węzeł na nowo zawiązali, różnorodne, stare, nowe i najnowsze jego żywioły kulturalne złączyli w całość kształcie jednolitej organicznej cywilizacji ¹⁾.

Jednym z tych Przeciw-Alexandrów był Wagner. Zawiązał on na nowo rozerwany oddawna węzeł sztuki — zawiązał go nie ku zewnętrznej ozdobie kultury nowożytnej, za co nieraz chciano go użyć, lecz ku utwierdzeniu jej jedności i siły wewnętrznej, będącej niejako wyciągiem żywiołowych potęg bytu ludzkiego, zwróconej ku najwyższym celom i zadaniom człowieczeństwa. Ta siła kulturalna rozproszona, a zatem niezdolna spełnić swych zadań w rzeczywistości naszego bytu społecznego, zjednoczona została w idealnym świecie sztuki wagnerowskiej. Cała moc pragnień wyższego harmonijnego bytu, mglistą mgławicą unosząca

1) Wagner in Bayreuth. Dzieła I, 516.

się ponad naszym poziomym zamętem życiowym, w twórczości Wagnera pełne osiągnęła ujawnienie: wyrażona natchnionem słowem poezji, wyśpiewana z głębi nieokreślonych nastrojów serca tonami muzyki, uplastyczniona w widomych kształtach obrazu i czynu dramatycznego. Ostatecznym jej kresem świadomość tragiczna jestestwa ludzkiego, które wobec nieprzepartych ciemnych mocy świata nie cofa się, nie łamie, lecz rzuciwszy im na pastwę swój byt znikomy, swą niezniszczalną, wszechludzką istotą wznosi się ku krainie światła.

A skąd czerpie sztuka wagnerowska tę potęgę i pełnię życia, wznoszącego się w niej aż do najwyższych swych kresów? — Dlaczego nigdy przedtem nie znalazło ono tak zupełnego wyrazu artystycznego w całej swej prawdzie tragicznej? — Dlatego, odpowiada Nietzsche, że nigdy przed tem nie pojawiła się w sztuce indywidualność twórcza o tak bogatych zasobach życia wewnętrznego, o tak olbrzymiej sile i zdolności skupiania ich i ujawniania w natchnionych tworach artystycznych. Sztuka wagnerowska, to sam Wagner, przemawiający z pełni swej przebogatej duszy o najwyższych naszego bytu objawach, celach i zadaniach, które we własnem swem genialnem jestestwie tak żywo odczuł i tak wyraźnie sobie uświadomił.

W tej ocenie Wagnera przebija ta sama myśl zasadnicza, co w poglądzie na Schopenhauera. Największą wartością życiową jest genialna indywidualność ludzka. Nie masy ludzkie, nie działalność ich zbiorowa, ani wytworzone przez nie instytucje, lecz nieliczni geniusze ludzkości wyobrazają głównie żywą, twórczą jej potęgę. W nich życie osiąga moc swą największą i najwyższe nateżenie; oni zatem są istotnym celem rozwoju ludzkiego, będącego najzupełniejszym ujawnieniem przyrodzonych potęg wszechbytu. Many tu więc apoteozę człowieczeństwa w naczelnym jego bohaterach, których heroiczna wielkość polega na rozwinięciu najbogatszej pełni sił życia w dążeniu ku jego wyżynom. Ale nie czeka tam na nich szczęśny byt bogów olimpijskich. Najcięższą, ostateczną walkę muszą tam stoczyć za ideały ludzkości. Ciemne moce ziemskie odniosą w niej pozorne wśród rzeczywistości widzialnej zwycięstwo, prawdziwy wszakże tryumf w świecie niewidzialnym stanie się udziałem tych, co do końca wierni swym ideałom, czysto ludzkim zadaniom, jako niezłomni bojownicy ludzkości w gloryi swego zachodu, zbudzą się ze znikomej utłudy upłynionego dnia ziemskiego. Tak więc istotnie, przez wielkich ludzi tylko całkowicie spełniane zadanie życia polega na wyteżeniu wszystkich jego sił po najdalsze, ziemskie jego kresy.

Ale Nietzsche nie podzielał optymistycznej wiary w przyszłe doskonałe szczęście ludzkości, mające uwieńczyć wysiłki najdzielniejszych jej synów. Owszem, w danej epoce był stanowczym zwolennikiem pesymizmu filozoficznego. W życiu całej ludzkości widział jedną wielką tragedję, a jej naczelnych przedstawicieli poczytywał za bohaterów tragicznych, którzy żyli i ginęli na wyżynach i do końca zachowali postawę niezwalczonych bojowników. Chodzi o to, aby za ich przewodem cały ogół ludzki wznosił się stopniowo do tego tragicznego nastroju. „Na tem polega prawdziwe uszlachetnienie człowieczeństwa. Ostateczne zrzeczenie się tego zadania pociągnęłoby za sobą najsmutniejszy upadek, jaki sobie wyobrazić możemy... Okrzykiem bólu na całą ziemię rozgłośnym, musielibyśmy przyjąć zupełną zagładę tragicznego nastroju ludzkości i naodwrot nie ma radośniejszej nadziei nad tę, którą budzi zakwitająca wśród nas ponownie myśl tragiczna.“¹⁾

Tę „myśl tragiczną“ z entuzjazmem powiatał Nietzsche w filozofii Schopenhauera i w sztuce Wagnera. Ale niedługo nią się cieszył. Spostrzegł niebawem, dla każdego zresztą dostrzegalny, zasadniczy swój błąd w ocenie, a raczej w przecenieniu obu mistrzów. Widział w nich nie ludzi genialnych, jakimi oni istotnie byli, lecz niejako wcielenie samego geniuszu ludzkości, ucieleśnione jej ideały najwyższe. Tutaj wystąpiła zasadnicza sprzeczność tej dwoistej natury myśliciela-poety, który oderwane swe idee mimowoli i bezwiednie przyoblekał w kształty kreacyj poetyckich, i te utożsamiał ze zjawiskami życia, mającemi w ideach owych znaleźć swe wyjaśnienie. Stąd wynikły nieporozumienia, w jakie sam ze sobą popadał.

Poeci, świadomi zadań swych twórczych, odróżniają idealne twory swej wyobraźni od realnych tworów życia i podają je za prawdę swej duszy, nie za prawdę obecnej czy przyszłej rzeczywistości życiowej. Poeci bezwiedni, aż nadto często tracą świadomość tej różnicy, tracą z oczu granicę, oddzielającą świat ich fantazyi od świata rzeczywistego. Takich poetów bezwiednych nie brakło nigdy wśród wielkich działaczy i reformatorów ludzkości. Nietzsche był pomiędzy nimi jedną z najoryginalniejszych i najbardziej zajmujących postaci. Zdawał on sobie sprawę ze swoich wybitnych zdolności poetycko-twórczych, przekonany był jednak, że te podporządkowane są w nim nierównie wyższemu uzdolnieniu twórczo-myślowym, które go powoływały do tworzenia

¹⁾ „Dziela“ tom 1, str. 523.

nie w świecie fantazyi, lecz w świecie rzeczywistości, do głoszenia nie podmiotowych prawd swej duszy, lecz przedmiotowych prawd życia, określających przyszłe drogi rozwoju wszechludzkiego.

Tymczasem rzecz się miała wprost przeciwnie. W Nietzschem poeta przemagał ogromnie nad myślicielem, a tem więcej nad ideowym działaczem. Ale był to poeta-intelektualista, jakiego dotąd chyba świat niewidział, t. j. poeta, który nie z wrażeń życiowych, lecz z idei oderwanych snuł wątek swych natchnień, w sferze ideowej sercem i duszą zawsze przebywał, w niej pragnął, cierpiał, walczył, w niej żył całą pełnią swej bujnej, namiętnej natury psychicznej. Można o nim powiedzieć, parafrazując znany wiersz Słowackiego, że wszystkie uczucia skarby—nie wyobraźni, lecz myśli ognistej rzucił na pożarcie, a wyobraźnia, wierna służka myśli, oderwane jej twory pojęciowe stroiła tęczkami najciudniejszych swych barw.

Poeta-myśliciel sądził, że to były tęcze, zwiastujące nowe światła i blaski życia rzeczywistego, które on dostrzegł na dalekich widnokręgach przyszłości, a to były tylko odbicia własnych jego pragnień, ożywione przez uczucie, wyłączone przez fantazyę, podobne wielu innym odbiciom, unoszącego się ponad życiem naszym złotego snu poezyi. To złudzenie, któremu ulegał Nietzsche, stało się przyczyną wielu nieporozumień, wielu bolesnych jego zawodów. W życiu ukazywały mu się nieraz takie tęcze, promieniące ponad złotemi wizjami przyszłości. Zrazu wierzył w ich realność i rwał się ku nim całą mocą, niekiedy nadludzkim prawie wysiłkiem swej duszy; skoro jednak zbliżył się do nich i chciał je pochwycić, wymykały mu się z rąk, rozwiewały się przed jego wzrokiem. Owładnięty przemożnem złudzeniem sądził, że to jakieś złe moce życiowe gaszą przed nim wciąż nowoodkryte przezeń światła przyszłości, że się zawodzi na ludziach, zjawiskach i stosunkach życiowych, którym zaufał, a on zawodził się na tworach własnego pragnienia, własnej wyobraźni, sam gasił swe tęcze, gdy je z krainy marzeń poetyckich na poziomy życia realnego usiłował ściągnąć.

Taki właśnie zawód sprawiły mu obie te wspaniałe kreacje, które ukształtował sobie z wyidealizowanych postaci Schopenhauera i Wagnera. Poznawszy swój błąd, przyczynę jego widział nie w fantastyce wyobrażeń, jakie sobie o nich wytworzył, lecz w rzekomej niższości ich typu ludzkiego i w nieszczerości zewnętrznych jego przejawów. Zmiana poglądu na Schopenhauera dokonała się stopniowo w umyśle Nietzschego, w miarę jak zrywał z filozofią pesymistyczną i na miejsce jej, własną swoją stawiał

filozofię, którą poczytywał za przewyciężenie pesymizmu; zerwanie ze sztuką wagnerowską, a zarazem i z osobą mistrza, nastąpiło nagle i stanowiło prawdziwą katastrofę w jego życiu, której bolesny odgłos długo potem dawał mu się słyszeć i nigdy pono nie umilkł zupełnie.

Jakże charakterystyczne jest dla Nietzschego, że to zerwanie przypadło w chwili największych, bayreuckich tryumfów Wagnera. Wraz z innymi wielbicielami i przyjaciółmi mistrza podążał on w r. 1876 do Bayreuth na pierwsze przedstawienie „Pierścienia Nibelunga,“ pełen wielkich nadziei i radosnego oczekiwania; a w parę tygodni potem, opuścił stolicę sztuki wagnerowskiej, najzupełniej rozczarowany, zniechęcony, zrozpaczony, porzucił ją, aby nigdy już do niej nie powrócić, ani do tego ideału artystycznego, którego doskonałej realizacyi w niej oczekiwał.

„Błąd mój, mówi Nietzsche, na tem polegał, że przybyłem do Bayreuth z gotowym ideałem w duszy. Wysoko ponad Wagnerem widziałem tragedję z muzyką, podobnie jak wysoko ponad Schopenhauerem słyszałem muzykę w tragedji wszechbytu.“¹⁾

Jednem słowem spodziewał się ujrzeć w Bayreuth ucieleśniony ideał sztuki „nie na czasie,“ sztuki nieskończenie ponad rzeczywistością obecną wzniesionej, a objawiającej się wybranemu zastępowi widzów, którzy sami, jak się wyrażał, godni są widzenia, jako zwiastuni nowej wyższej epoki bytu ludzkości. Zamiast tego, ujrzął przedstawienie teatralne genialnego dzieła dramatyczno-muzycznego, doprowadzone do skutku przez zdumiewającą energię jednego człowieka, który wielostronny geniusz twórczy łączył z geniuszem czynu organizatorskiego i jak każdy człowiek czynu opanowywał rzeczywistość przez to, że umiał z niej wydobyć to wszystko, co ona dać mogła, a nie żądał od niej tego, co tylko w krainie idei pomyśleć się dało.

Nieprzejednanemu w swym idealizmie artyście-myślicielowi wydał się taki zwycięzki czyn realny artysty - działacza zdradą ideału, której nigdy nie mógł mu przebaczyć i którą w następstwie najostrzejszemi piętnował słowy. Zaszło tu jedno z tych wielkich nieporozumień życiowych, jakie nieraz rozdzielają ludzi bliskich sobie siłą ducha lub geniuszu i szlachetnością dążeń, ale zupełnie różnych wewnętrzną organizacją psychiczną. Wagner i Nietzsche przez czas pewnym wspólnym żyli ideałem, do wspólnego dążyć pragnęli celu, ale skoro ten ideał miał się stać ciałem, to pragnienie czynem, różnica ich ustroju duchowego w całej jaskrawości na

¹⁾ Dzieła, tom XI.

jaw wystąpiła. Dla twórcy „Pierścienia Nibelunga“ celem mogła być tylko jego twórczość dramatyczno-muzyczna w możliwie najpełniejszej swej realizacji artystycznej. Przyszły Zaratustra, zwiastun „nadczołowieka“, nie posiadał pełni geniuszu twórczego w sztuce, obdarzony był natomiast przedziwnym darem tworzenia w dziedzinie idei oderwanych; ponieważ zaś te odnosił do życia i w nim pragnął je urzeczywistniać, więc czuł się powołanym do wzbudzenia nowych kształtów życiowych, wobec których wszelkie kształty artystyczne wydawały mu się ułomne i nieszczerze.

Za takie też uznał twory sztuki wagnerowskiej i tem bardziej takimi je widział, im wyraźniej przedstawiały mu się w pełnej swej realizacji artystycznej. To też przechodząc stopniowo od entuzjastycznych nad nimi zachwytów do stopniowego o ich wartości powątpiewania—w Bayreuth najzupełniej o nich zwątpił i odtąd stał się zaciętym przeciwnikiem Wagnera i bądź to w rozproszonych po późniejszych swych dziełach uwagach, bądź w luźnych urywkach, bądź w oddzielnych pismach (jak: *Der Fall Wagner*, *Nietzsche contra Wagner*) zwalczał całą sztukę wagnerowską, odsądzając ją od wszelkiej wyższej wartości.

Jednakże, pomimo potępień i szyderstw, jakich nie szczędził uwielbianemu niegdyś mistrzowi, zachował zawsze dla niego nietylko ślady dawnego, serdecznego przywiązania, ale także minowolną, przez pół bezwiedną cześć dla jego geniuszu i bardziej jeszcze ukryte, bardziej bezwiedne poczucie jego wyższości w tej potężnej sile kształtowania artystycznego, którą w Wagnerze, chcąc nie chcąc, musiał odczuwać, a której, pomimo olbrzymich zasobów swego artyzmu, nigdy z siebie wydobyć niezdolał.

Te różnorodne uczucia, nieraz odzywają się w późniejszych pismach Nietzschego głęboko tragicznymi tonami i wogóle cała tak boleśnie zerwana przyjaźń dla Wagnera, stanowiła jeden z głównych motywów jego tragedyi życiowej, którego rozwiązanie harmonijnego, aż w podniebnych szukał strefach.

„Jest może (mówi w pięknym urywku p. t. *Przyjaźń gwiazdna*, *Sternen - Freundschaft*) jakaś bezmierna, niewidzialna droga gwiazdna, której odcinkami tylko drobnymi są różne kierunki naszego życia. Wzniesmy się do tej myśli. Ale życie nasze zbyt krótkie, wzrok nasz zbyt słaby, abyśmy dostrzedz się w niej mogli zjednoczonymi przyjaźnią. Wierzymy jednak w naszą gwiazdną przyjaźń, choćbyśmy tu na ziemi wrogami mieli pozostać.“¹⁾

WALERY GOSTOMSKI.

¹⁾ Dzieła V, 212.

ZE SZTUKI.

W zamęcie ruchów społeczno-politycznych chwilami nie mieliśmy poprostu możliwości zająć się sztuką. Rok 1905 był dla niej przykry i niewdzięczny. Już na początku samym, w pierwszym zaraz miesiącu, straszne wieści z północy odbiły się ponurem echem w naszych myślach. Niebawem potem w łonie własnego społeczeństwa odczuliśmy konwulsyjne drgania rewolucyi. Przyszły czasy okropne gorączkowego podniecenia, rozterki i najwyższego napięcia nerwów. Miasto zamierało zupełnie na długie okresy, zapadało w bezwład — ustawała wszelka praca twórcza. Po ulicach, na których zamilkł ruch kołowy, snuły się posępne tłumy z wyrazem niepewności i przerażenia na bladych twarzach. Na tle głuchego pomruku ogólnego wzburzenia rozlegał się gwałtowniej suchy trzask salw karabinowych, rzekłbyś grzechot rzuconych na blachę orzechów, to znowu huknął zbliśka strzał pojedynczy, lub rozdarł powietrze, wstrząsnął, zakołysał posadami ziemi, niby straszliwy kataklizm elementarny, potężny wybuch bomby. Rósł w tonie gwar roju ludzkiego do najwyższego napięcia, wzbijały się w niebo gromkie okrzyki rozpacz i wściekłości, jęki bólu i konania, grzmiąca rozgłośnie namiętna pieśń bojowa, to znowu cichło wszystko w przygnębieniu i trwodze, że tylko słychać było odgłos miarowy kroków przeciągających ulicami miasta patroli. Widzieliśmy sceny rozdzierające — okropne obrazy walki, przemocy i okrucieństwa. Widzieliśmy śmierć i cierpienie — bruki krwią zbluzgane, stosy trupów, pochlastane członki... Widzieliśmy zwycięstwa i upadki, radości i rozpaczę, nadzieje i zwątpienia, błądy strach i purpurowe blaski entuzjazmu — poświęcenia, wiary, męstwa...

Rok był brzemienny w wypadki olbrzymiej doniosłości, każdy dzień niemal przynosił zdarzenie niezwykle, wiekopomne, każdy dzień niemal rył się niezatarcie wielkimi głoskami na karcie dziejów, ale wszystko to razem wzięte właśnie fatalistycznie psuć musiało nastrój spokojnej kontemplacji, tak konieczny dla uprawy sztuki, musiało nieodbitcie uniemożliwić bezwzględne pogrążenie się w wyrafinowanym sybarytyzmie rozkoszy artystycznych.

A jednak w chwilach, kiedy rozwiewały się potrosze zbyt groźne chmury burzy rewolucyjnej, odczuwając silnie wkorzenioną przez kulturę potrzebę wrażeń estetycznych, mimo wszystko, bywaliśmy przecież w teatrze, czytaliśmy utwory literackie i wreszcie zwiedzaliśmy wystawy sztuki, gdzie, przyznać trzeba, stwierdzić można było, że „niespokojne czasy“ nie odbiły się dotkliwiej na produkcji malarzów i rzeźbiarzy, zwłaszcza pod względem ilościowym.

Niestety, wrażenia w tym ostatnim wypadku z natury swej dość nikłe, wobec powagi wydarzeń dziejowych doby bieżącej, zasuwają się za nie potulnie i z pewnego, nieznacznego już nawet oddalenia perspektywicznego, tracą na intensywności, mętnieją w konturach, a często zupełnie wypadają z pamięci, to też trudniej jest odtworzyć dokładny obraz ruchu artystycznego za rok ubiegły, niż kiedykolwiek.

Co prawda nader rzadko spotykamy dziś na wystawach naszych utwory szerzej zakreślone ideowo, o pomysłach głębszych i pełnych ogólniejszego znaczenia, a ujętych energicznie i oryginalnie, któreby się tem samym trwalej zapisały w wyobraźni, natomiast przeważa drobiazg produkcji powszedniej, często mdłej i bezlicowej. Naturalnie rzeczy takie łatwo wymykają się z pod uwagi widza, tembardziej w obecnych warunkach z konieczności mocno roztargnionego.

Rzeczywiście, cała nasza twórczość plastyczna doby ostatniej zamknęła się prawie wyłącznie w ciasnym zakresie portretu i pejzażu, przez co wobec znacznej stosunkowo podaży w tym rodzaju stała się trochę nudna i obojętna, powiedziałbym poprostu — szara. Niewątpliwie zdarzają się wśród tych portretów i pejzażów dzieła o znamionach rzetelnego talentu, zajmujące miejsce bądź co bądź wcale dostojne w hierarchii sztuki, ale tak mi się to właśnie przedstawia w perspektywie czasu. Z większego oddalenia nie widzę już tych subtelnych przejawów artyzmu, jakie narazie mogły być źródłem wysokiej rozkoszy estetycznej — zlały się one bowiem z tłem ogólnem. Natomiast gra tam jaskrawiej, niby wielkie plamy barwne, kilka rzeczy wyróżniających

się siłą oryginalności pod jakimkolwiek bądź względem. Pamiętam je lepiej. Wrażenie musiało być potężniejsze i bardziej bezpośrednie.

Może to być w pewnej mierze sprawdzianem, jeżeli nie bezwzględnej wartości artystycznej utworu, to przynajmniej jego władzy wzruszania.

Pamiętam takie dzieła, a pamiętam je, bo były dziwne w koncepcji i pełne niewypowiedzianego uroku poetyckiego w ujęciu.

Było to w początkach roku zeszłego. Kawał czasu. Usunięto właśnie większość prac z pierwszej wystawy dorocznej inaugurowanej w jesieni 1904 roku i na ścianach „Zachęty“ ukazały się niby nowe, a wiecznie te same pejzaże i pejzażyki. Wśród tego szarego tłumu, który mi w pamięci majaczy niewyraźnie i mglisto, z trudem zaledwie wyróżniam kilka pojedynczych fizyognomij, ale z całą dokładnością wywołuję w wyobraźni dwa obrazy Malczewskiego: „Mojżesz“ i „Pójdźmy razem.“

Stanowiły one, jakby jedną całość kompozycyjną, gdyż łączy je ta sama postać na obydwu płótnach przedstawiona. Jest to mężczyzna w wieku poważnym, o wyrazie pełnym głębokiego liryzmu, a jednocześnie duchowej siły i rozumu. Nie jest to jeszcze starzec sędziwy, ale mąż stateczny, któremu czas zorał czoło brózdami, oszronił brodę, przerzedził włosy na czaszce, zgasił w oczach blask gwałtownych namiętności, chłodem filozoficznej rozwagi stłumił pożary krwi gorącej, któremu korowód ciężkich doświadczeń wyrzeźbił oblicze, porył niby hieroglifami w znaki tajemne, że jest jak szczelnie zapisana karta księgi życia. Jest niby historią przebytych cierpień, walk, bólów, zwątpień, zawodów, pragnień żarliwych, hardych dążeń, radości niewypowiedzianych, szalonych zachwytych, czynów bohaterskich. Kto ją odczytać w całości potrafi? Z czoła strzelają mu rogi, jak z czoła Mojżesza. Nie jest to jednak mocarz Michała Anioła, o mięśniach atlety, tytan wspinały, druzgoczący wszystkich groźnym spojrzeniem, ale duch mocny miłością, wyszlachetniony cierpieniem, dostojny przez myśl wielką i piękną, które mu lica ocienia łagodną melancholią. Szyję męża otacza twardy kołnierz szarego, żołnierskiego płaszcza, tego płaszcza, w który Malczewski tak często ubiera swoich bohaterów, a który u niego jest niejako symbolem całej, powstańczej martyrologii narodu. Wiązą się z tym burym szynelem smutne dumy o okropnościach wygnania, o bezbrzeżnych obszarach śniegowych Sybiru, o nieskończonych nocach polarnych w jurecie jakuckiej, wśród żalu i nieukozonej tęsknoty za krajem. Wiązą się z nim ponure legendy o okropnej pracy w podziemiach

Nerczyńska, o etapach, kazamatach, lochach, kajdanach, o strasznej mordowni dantejskiego piekła, przez jakie przechodzili ci szlachetni marzyciele o wejrzeniu melancholijnym i pełnym miłości.

W drugim obrazie ta sama postać mężka w tym samym płaszczu, tylko na kraju jego usiadł barwny motyl. Mężczyzna patrzy nań z rzewnym uczuciem tkliwości. Obok rogata głowa młodego fauna, dziwnego tworu fantastycznej wyobraźni malarza-poety. Faun z poufałością kapryśnej kochanki a gestem swawolnego chłopaka ciągnie za brodę poważnego męża, zapatrzonego marząco w barwne skrzydła motyle.

Nie próbuję tłumaczyć symbolicznego znaczenia tych szczególniejszych zestawień, ani dociekać, jakimi drogami myśl artysty doszła do ucieleśnienia się w podobnej formie plastycznej, nie chcę bowiem brać na siebie roli „pomniejszyciela olbrzymów.“

Schopenhauer utrzymuje, że przedmioty rzeczywiste nie zawsze są odbiciem mieszczącej się w nich idei, ale geniusz, obdarzony lotną fantazją, w przedmiotach tych widzi nie to, co natura stworzyła, lecz to, co stworzyć pragnęła, czego jednak uczynić nie zdołała z powodu wzajemnej walki form. Otóż Malczewski geniuszem swym odgadł utajone jej cele, zamiary i dążenia, zrozumiał znaczenie jej głosów, a w sztuce swej odnalazł właściwy wyraz uplastycznienia tych objawień. On, człowiek, jako cząsteczka wszechjedności, odnajduje się ustawicznie w naturze. Siły przyrody upostaciował w tworach dziwnych, przez siebie poczętych i zaludnia niemi swoje płótna, łącząc z przedziwną prostotą fantastyczność z rzeczywistością. Z jakąś nadzwyczajną wiarą i szczerością stawia, obok ludzi żywych z krwi i kości, pełne dosadnej charakterystyki indywidualnej, urojone postacie wypielęgowane fantastycznie we własnej wyobraźni, wiąże to jednak świadomie pracą woli twórczej, w całość konsekwentną i logiczną. Stwarza świat własny, niby urojony i chimeryczny, a jednak najzupełniej prawdziwy w wewnętrznej swej treści, gdyż jest on szczerym wyrazem uczuć i myśli artysty.

Znamy skądś te twarze szlachetne, myślące i zadumane, pochylone nad skowronkiem, szczygłem, świerszczem lub motylem; znamy tych ludzi smutnych, w szarym, żołnierskim szynelu i darymy ich jakimś dziwnie ciepłym uczuciem sympatii, kochamy ich, jak najbliższych krewnych i przyjaciół. Znamy te fantastyczne postacie wielkiej legendy panteistycznej, które u Malczewskiego, ubrane w kształty nieoczekiwanych połączeń, mienia się wszystkimi barwami tęczy; znamy te krajobrazy o bajecznych, bengal-

skich blaskach i kolorach i idziemy razem z nim w ten świat, zaludniony wizjami artysty.

Ja osobiście czuję w całej jego twórczości pewną myśl zasadniczą, pewien właściwy ton uczuciowy, który zabarwia wszystkie jego dzieła, przepaja je tęsknotą za ideałem jakimś nieuchwytnym, nieujęty, a ukochanym aż do samozaparcia się, ale nie śmiałybym pisać komentarzy do obrazów Malczewskiego, ani wyjaśniać ich treści ideowej, choćbym był pewny, że dobrze zrozumiałem myśl przewodnią autora, choćbym miał nawet od niego samego najdokładniejsze wskazówki, gdyż lękałbym się, ażeby niezręcznie, zbyt twardem słowem, nie osłabić uroku niedomówień, nie zmniejszyć wrażenia, jakie same mogą wywołać u ludzi w odmiennem niż mój nastroju, z bogatszą może niż moja wyobraźnią. Ścisłe określenie w słowach założenia kompozycyjnego byłoby tylko ograniczeniem pracy wyobraźni, która fantazyować może w nieskończoność.

Nieodgadnione pomysły Malczewskiego przez to właśnie posiadają szczególnie urok i najwyższy interes artystyczny, a stawianie kropki nad *i* byłoby tu zupełnym nietaktem artystycznym—nietaktem, jakiego, zaprawdę, zbyt często dopuszczają się rozmaici krytycy przez nałóg szkolarskiego szufladkowania i etykietowania najpotężniejszych, a najmniej nadających się do podobnej operacji talentów.

Fantazyę Malczewskiego, jego ducha twórczego istotnie trzeba brać pod kątem nieskończoności, ale jako malarz, przedstawia się on w zarysach określonych i zdecydowanych. Rzemieślniczą stronę sztuki swojej opanował całkowicie, więc może swobodnie wypowiedzieć się w formach plastycznych ze swych najśmielszych poczęć duchowych. Będąc panem formy zewnętrznej sztuki, władny jest wyrazić najistotniejszą jej treść wewnętrzną. Obrazy Malczewskiego mogą służyć za wymowny argument w sporze z tymi, którzy ową dążność do nieskończoności twórczego ducha ludzkiego, widzą jedynie w niedopowiedzeniach wyrazu zewnętrznego i siłą się umyślnie na hieratyczność przedstawienia; w sporze z tymi, którzy zwykłe niedołęstwo dyletantów, upatrując w ich mętnem, niemowlęcym gaworzeniu, jakoby ukryte skarby boskiej myśli, stawiają ponad świadomą celów i środków pracę malarza zawodowego, malującego jędrnie i plastycznie.

Malarzowi za środki wypowiedzenia się, służą kształt i barwa, które bierze ze świata rzeczywistego. Im łatwiej radzi sobie z przeniesieniem kształtu z trójwymiarowej przestrzeni na dwuwymiarową płaszczyznę płótna, tem łatwiej i pełniej wynurza na

zewnątrz wewnętrzną treść własnej duszy. Malczewski umie rysować, umie wyrazić realistycznie bryłę widzianą w naturze i bynajmniej się tego nie wstydzi. Zarzucano mu, że przerysowuje swoje wizye, ale właśnie owe przebogate w swej różnorodności nachylenia płaszczyzn, składają całość niezmiernie interesującą estetycznie; zarzucano mu, że modelowanie jego jest twarde z powodu nadmiernego podznaczenia wielu rysów, ale właśnie w rysach tych zamyka nieskończenie wiele treści.

Pozatem były rzeczy niewątpliwie niepospolitej wartości, gdyż między innymi utwory Chełmońskiego i Pochwalskiego, ale, jak powiedziałem, trudno mi było z mgieł zapomnienia wywołać ich wizję tak wyraźnie, ażeby mówić o szczegółach kompozycji i wykonania, jak mówię o obrazach Malczewskiego.

Jaskrawiej zaznaczył mi się jeszcze w pamięci tylko „Most“ Władysława Wankego. Na tle nieba, płonącego łuną pożaru, widać było w ciemnej sylwecie kamienne arkady mostu, przez który ciągną zastępy wojowników. Do dziś jeszcze grają mi w wyobraźni czerwone blaski pożogi, odbijające się na wodzie i na pierwszoplanowej postaci jakiejś dziewczycy, patrzącej w przerażeniu na groźne zjawisko. Obraz posiadał wiele siły dramatycznej i należał stanowczo do lepszych pomysłów kompozycyjnych w owej chwili.

*

*

*

Tragiczne zajście położyło kres istnieniu jednego ze zdolniejszych malarzy. W zatargu z kolegą, od kuli rewolwerowej, padł Waclaw Pawliszak w epoce pełnego rozwoju sił męskich, nie wypowiedziawszy prawdopodobnie jeszcze w swej sztuce ostatniego słowa.

Powiadam — prawdopodobnie, gdyż jakkolwiek rzeczywiście na dorobku ostatnich czasów odczuwać się dawały jakby znamiona pewnego osłabienia władz twórczych, ale mogło to być jedynie niedomaganie przejściowe artysty, który szukał nowych dróg, nowych form wyrazu. Takie wahania się stopnia napięcie intelektualnych znane są powszechnie w dziejach twórców we wszystkich dziedzinach pracy umysłowej, co u nas zwłaszcza tem łatwiej da się wytłómaczyć niskim stosunkowo poziomem kultury ogólnej.

Talenty wyrastają często na gruncie niedostatecznie uprawnym i odpowiednio przygotowanym, to też na drodze dalszego kształtowania się spotykają przeszkody, jakie wykrzywiają fatalnie linię ich rozwoju. Ludzie praktycznie wychowani, wcześniej odnajdują w sobie miarę, która im pozwala ustosunkować dążenia z przyrodzonymi zdolnościami, a te znowu zestroić harmonijnie z nabytą wiedzą i umiejętnościami technicznymi. Mierzą oni zamiary na siły. Daje im to swobodę ruchu, pewność siebie i chroni od desperackiego miotania się w bezcelowej walce z niemożliwością. Inaczej rzecz się ma z naturami pierwotnymi o temperamentach gwałtownych i namiętnych. Jak dzieci nie znają oni niebezpieczeństwa i usiłują głową przebijać twarde mury. Stąd tragiczne szarpania się i upadki. Dlatego to na Zachodzie artyści niejednokrotnie z niewielkimi zdolnościami do wysokich stosunkowo dochodzą rezultatów, podczas tego, kiedy u nas szczerze i zgoła niepospolite talenty w szalonej pogoni za chimera, puszczając się na awanturnicze wyprawy bez busoli, wśród krzyżujących się prądów artystycznych, nie zawsze na właściwą trafiają drogę.

Talent Pawliszaka niby kwiat cieplarniany wybujał niezmiernie szybko. Artysta już w siedemnastym roku życia wystawił swoje pierwsze dzieło na widok publiczny i stanął odrazu w jednym szeregu ze znanymi, zasłużonymi koryfeuszami sztuki. Jeżeli pierwszego tego obrazu nie można uważać za zupełnie dojrzały owoc jego ducha twórczego, to w każdym razie był to utwór, odpowiadający wymaganiom artysty dojrzałego, ze względu więc na młody wiek autora mógł mu rokować przyszłość niepospolitą. Jakoż rzeczywiście Pawliszak szybkim krokiem posuwał się po linii postępu czas jakiś, aż linia ta nagle załamywać się poczęła, zygzakować, zbaczać i cofać i znowu biegła równo ku wyżynom. W chwili, kiedy go śmierć zaskoczyła, niewątpliwie linia twórczości jego znaczyła ruch wsteczny, ale był to człowiek jeszcze młody i pełen sił żywotnych.

Przyjaciele zmarłego artysty pamięć jego uczcili zorganizowaniem wystawy, gdzie zgromadzono nietylko to, co tworzył w ciągu lat kilkunastu kariery artystycznej, ale i to, co kochał, a co mu było podniętą w twórczości. Oprócz obrazów, szkiców, notat, wykonanych w różnych chwilach życia, wystawiono też sprowadzony z pracowni oręż, przeważnie wschodniego pochodzenia, który zbierał z nadzwyczajnem zamiłowaniem i znanstwem.

Pawliszak był romantykiem-rycerzem i stanowczo przedstawiał sobą zjawisko dziwne, poprostu anachroniczne w naszych tak

mało rycerskich czasach. Szabla mu słała do garści, jakby z nią śluby zawarł od dziecka, jakby się zrodził w epoce Kmicićów i Wołodyjowskich. Kochał broń, konia i kobietę. Gotów był świat cały wyzywać na rękę i wyzywał dla lada powodu, ale skoro nie miał z kim wyjść w szranki do zbrojnych zapasów, rozkołysana rojeniami o rycerskich zabawach dusza, wylewała się żywiołowo w koncepcjach malarskich. Zaklinał w nie tak szczerze i bezpośrednio swoje ukochania i nienawiści, że odmalował się w nich dokładnie cały człowiek i cały artysta. Jak nić osnowy w tkaninie, przez wszystkie pomysły, wszystkie poczęcia malarskie, przewija się wyraźnie owa nuta dum rycerskich na podłożu mocno erotycznym. Ostry, błyszczący, różnokształtny oręż, bogactwo zbroi i strojów, zgietk wrzawy wojennej i kobieta — kobieta naga, lub w stroju podniecającym zmysłowo, to główny temat i zasadniczy motyw obrazów Pawliszaka. Niema w tem jednak nużącej jednostajności, przeciwnie, skala jego wrażeń jest dość obszerna, myśl żywa, a lotna fantazyja przenosi się do coraz innych ludzi, epok i krajów.

Co prawda, szczególniej pociągał artystę Wschód ze swoją barwnością stroju, bogactwem i rozmaitością oręża i wogóle całą dekoracyjną malowniczością ludzi i kraju. To też prócz krwawych rozpraw orężnych, harców na koniach i pieszo, z wielkiem upodobaniem maluje sceny haremowe, gdzie kobiety, jak hurysy z opowieści Szecherezady, palą nargile, siedząc na wzorzystych kobiercach, w komnatach o ścianach inkrustowanych srebrem, złotem i perłową macią. Odbył też podróż do tych krajów „Tysiąca i jednej nocy,“ skąd przywiózł w tecę mnóstwo szkiców, notatek i studyów z natury, a w duszy roje wspomnień płomiennych, z których powstawały potem obrazy pełne słońca, ciepła i barwy.

Pośmiertna ta wystawa Pawliszaka urządzona była w miesiącu maju, w jednym z salonów Pałacu Sztuki. Współcześnie w dwóch sąsiednich salonach wystawiono reprodukcye z dzieł Edwarda Burne-Jonesa. Miał to być jeden z szeregu pokazów dydaktycznych, jakie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych postanowiło stale prowadzić.

Rzeczywiście wystawy takie, jakkolwiek poprzestać tu trzeba na odbitkach jednobarwnych, nie dających zupełnie dokładnego pojęcia o wartości wielu utworów malarskich, mogą jednak już mieć bardzo poważne znaczenie kształcające, jako usystematyzowany w pewnym stopniu wykład prądów i kierunków panujących w sztuce europejskiej. Dziś zwłaszcza, kiedy Towarzystwo Zachęty zdecydowało się udostępnić dwa razy miesięcznie salony

swoje dla mas najszerszych, pobierając tylko po dziesięć groszy za bilet wejścia, a co podnieść należy z najwyższem uznaniem, wystawy podobne stałyby się niezaprzeczenie nader pożądanym środkiem wychowawczym i przyczyniłyby się do podniesienia świadomości artystycznej wśród ogółu.

Burne Jones jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa angielskiego, malarstwa, które w drugiej połowie zeszłego wieku wyodrębniło się znamionami specjalnych dążeń estetycznych i wyrobiło sobie stanowisko zupełnie niezależne w ogólnym ruchu artystycznym. Wystąpiło ono pod mianem prerafaelityzmu i jakkolwiek dzisiejsi artyści, którzy grupują się pod tym sztandarem, znacznie odstąpili od niektórych zasad i haseł twórców pierwotnych kierunku, nazywają się przecież prerafaelitami niezmiennie. A jest ich zastęp bardzo liczny i najpotężniejszymi w sztuce angielskiej może poszczycić się nazwiskami.

Percy Bate, autor książki „*The english pre-Raphaelite painters their associates and successors*“ w gronie ich wylicza wszystkich niemal artystów, którzy w malarstwie angielskiem współczesnem wyróżniają się talentem i oryginalnością.

Prócz pierwszych założycieli „bractwa“ mianowicie Rossettiego, Hunta i Milais'a, tudzież Burne-Jonesa, spotykamy dziś głośne w świecie sztuki nazwiska jak: Alma Tadema, Herkomer, Walter-Crane, Leighton, Watts, dalej: Tissot, Burton, Hughes, Gerges Wilson, Murray, Strudwick, Brickdale, Moira, Robertson, Cowper, Shaw, Robinson i wielu innych.

Teoretyczne podstawy prerafaelityzmu utrwalił John Ruskin w książce swej „*Modern Painters*“, a streszczać się one miały w zasadzie: „Brać rzeczy tak, jak one się prawdopodobnie zdarzyły, nie zaś według sztuki rozwijanej przez Rafaela.“

„Zadaniem artystów jest — dowodził dalej — ani nic nie wymyślać, ani nic nie próbować, lecz iść pokornie i sumiennie ścieżkami natury i śladem nakreślonym palcem Bożym.“

Robert de la Sizeranne, estetyk francuski, który sztuce angielskiej współczesnej poświęcił obszerne studyum, tak charakteryzuje dążenia tej szkoły malarskiej: „Ludzie nowi chcą stworzyć sztukę nową, zastępując ruch banalny i ogólnikowy ruchem ciekawym, indywidualnym i nieużytym, a farbę zlewającą się i wzmacnianą stopniowem nakładaniem zamienić na farbę szczerą, suchą, użytą bez podmalowywań. Słowem, zamiast linii dekoracyjnej, wprowadzili linię wyrazu, zamiast tonów *gorących*, tony *żywe*.“ Po za tem wszystkie określenia autor uważa za czczą logomachię.

Możnaby się sprzeczać z estetykiem francuskim, czy ogólniki o ruchu nie banalnym i linii wyrazu, które tak kategorycznie przypisuje prerafaelitom, ich jedynie były wynalazkiem i, że kierunek cały miał jednak pewne cechy znamienne, nie objęte definicyą Sizeranne'a, a określenie cech tych nie byłoby może czezą logomochią. Nie mam tu jednak na to miejsca, zaznaczę tylko, że ruch prerafaelityczny nabrał ostatecznie ogromnego znaczenia, kiedy w szeregach jego stanęli ludzie tej miary, co wielki poeta Swinburne i William Morris, poeta, malarz, dekorator, niezrównany mówca ludowy, agitator, reformator przemysłu i smaku estetycznego.

Towarzystwo zapowiadało w najbliższej przyszłości w dalszym ciągu wystawy utworów Rossettiego i Wattsa, tymczasem jednak widzieliśmy jedynie owe 140 doskonałych, przyznać trzeba, platynotypij, heliograviur i fotografii z dzieł Burne-Jonesa, co zresztą reprezentuje prawie cały dorobek słynnego prerafaelity.

*

*

*

Obecnie w Pałacu Sztuki znajdują się jeszcze dzieła z drugiej, tak zwanej Wystawy dorocznej, która właściwie przypadająca powinna na miesiące jesienne, a która w roku zeszłym z powodu „niespokojnych czasów“ opóźniła się nieco i dopiero w grudniu można ją było otworzyć. Zanim jednak pomówię o tych najświeższych wrażeniach, chciałbym przebiec inne nasze salony artystyczne, gdzie znajdzie się kilka ciekawszych rzeczy do zanotowania.

Przedewszystkiem zawsze ruchliwy salon p. Krywulta i w tym roku często odnawiał swoje wystawy, ukazując zawsze coś godnego obejrzenia.

Spotykaliśmy tam dzieła istotnie bardzo niepospolite, które powinny były przyciągnąć i zainteresować najszerszą publiczność. Niestety, spotykało się to wszystko z obojętnością zajętego innymi sprawami ogółu.

Bardzo ciekawie przedstawiał się naprzykład zbiór rysunków czeskiego symbolisty Kubina. Utrzymuję określenie „ciekawie“, gdyż z malarskiego punktu widzenia wielebym musiał porobić zastrzeżeń, ażeby te senne majaczenia uznać za artystycznie

dostojne. Były one ciekawe i zgoła wyjątkowe przez chorą, szaloną jakąś, gorączkową poprostu fantazyę pomysłów i niesłychaną inkoherencyę przedstawienia.

Równie ciekawie a nieskończenie bardziej artystycznie wypadła wystawa karykatur, gdzie umiejętnie ujęte uproszczenia w przedstawieniu ruchu, wyrazu i charakteru musiały dla znawców stanowić obfite źródło rozkoszy estetycznych. Duża część zasługi za owe rozkosze przypada w udziale artystom francuskim, jak Léandre i Caran d'Ache, których kilka rysunków między innymi wystawiono, ale i wśród naszych malarzy panowie Frycz, Lenc i Samosiewicz zaznaczyli się, jako pełni temperamentu karykaturzyści.

Wielkie zainteresowanie budziła w swoim czasie wystawa rzeźb p. Ksawerego Dunikowskiego, profesora warszawskiej szkoły Sztuk Pięknych. Niewątpliwie p. Dunikowski jest bardzo utalentowanym rzeźbiarzem, o czem świadczył, znajdujący się na wystawie, portret malarza Szczyglińskiego — portret żywy, naturalny, podobny, doskonały w ruchu i charakterze, wymodelowany z ogromnem poczuciem kształtu i, co ważniejsza, koloru, z całą dojrzałą świadomością sztuki, którą uprawia, ale o kompozycyach tego artysty nie umiałbym nic pochlebnego powiedzieć. Zdaje się, że kształtując glinę w jakieś dziwaczne, potworne formy, którym nadaje szumne, górne tytuły, jest on w nieporozumieniu z samym sobą, jak również nieporozumieniem wytlómaczyć chyba należy zachwyty, jaki w pewnych kołach pracami temi wywołuje. O sprawie tej pomówię kiedyś obszerniej, niechęć bowiem formułować oskarżeń dorywczo i bez należytego unotywowania rzeczowego.

W zupełnej zato zgodzie ze sobą jest pan Słewiński, którego widoki morskie, głowy chłopów bretońskich, studia kwiatów i tak zwane martwe natury, świadczą o wysokiej kulturze duchowej artysty, gdyż występuje tam charakterystyczne, niezmiernie harmonijne skojarzenie treści wewnętrznej z zewnętrznymi formami malarskiego wyrazu. Pan Słewiński mieszka stale w Bretonii i jest złączony pokrewieństwem dążeń artystycznych z przedstawicielami szkoły w Pont St. Avain.

Że p. Żmurko jest artystą wytrawnym i pełnym wysokiego smaku, o tem powszechnie wiadomo, to też urządzona na wzór pracowni malarskiej wystawa dzieł jego, gdzie, prócz obrazów, umieszczono także szkice i studia przygotowawcze, ściągająca przez pewien czas nieco liczniejszą publiczność do salonów p. Krywulta.

Po za tem były tu do obejrzenia przepyszne, nadzwyczaj energicznie traktowane akwaforty szwedzkiego malarza Zorna i innych artystów skadynawskich, tudzież ciekawe autolitografie Francuzów — Berthona i Louis Legrand'a.

Młody, bardzo utalentowany artysta nasz p. Antoni Gawiński, wystawił cykl z czterdziestu obrazów, przedstawiających królów polskich, a rzeźbiarz p. Makowski ogromną kolekcję, bo składającą się z dwustu przeszło płaskorzeźb, profilów znanych w mieście naszym osobistości.

Królowie p. Gawińskiego odznaczają się oryginalnością ujęcia, a niektóre wizerunki bardzo subtelnem wnikiem w styl i ducha epoki; profile zaś pana Makowskiego zaleca podobieństwo tudzież staranność wykończenia.

*

*

*

W jednym z pism najwytworniejszych, a przynajmniej roszcążcem sobie najwięcej pretensyi w tym kierunku, spotykałem obok rysunków naprawdę doskonałych, posiadających wartość niezaprzeczoną, niedołęzne bohomazy, jakichby najmniej wymagająca ilustracya nie chciała pomieścić u siebie pod żadnym pozorem. Wszystko to razem sprowadzano do wspólnego mianownika i pod wspólną etykietą nowej sztuki, nowych prądów czy wyrafinowania artystycznego, sprzedawano pocziwemu filistrowi za jednako- we pieniądze. Wynikało to, jak mniemam, nie ze złej woli kierowników, ale z powodu pewnego pomieszania pojęć, jakie się wkradło do ich sądów estetycznych. Sprzedawano falsyfikaty z całą dobrą wiarą, że są brylantami najczystszej wody. Było to poprostu nieporozumienie.

Źródłem nieporozumień w danym wypadku jest niewniknięcie w istotę sztuki malarskiej i ocenianie jej ze stanowiska wyłącznie literackiego — osi, około której sprawa się obraca, to jest główną przyczyną błędnych wniosków, są pozorne podobieństwa w formie uproszczeń, spotykanych zarówno u malarzy zawodowych najwyżej posuniętych w swej sztuce, jako też u ludzi pierwotnych i dzieci, probujących malować. Różnica jednak między nimi jest taka, że uproszczenia pierwszych są rozumową lub intuicyjną syntezą, jako wynik świadomej pracy analitycznej,

u drugich naiwnem niedołęstwem. Różnicy tej nie dostrzegają właśnie ci, którzy rzeczy biorą powierzchownie, a jest ona olbrzymia i zupełnie zasadnicza.

Jeżeli uchodzi ona baczności widza pospolitego, sądzącego ze strony czysto formalnej, to zdaje się, powinno to być aż nazbyt widoczne dla tych wszystkich, którzy w sprawie kształtu mają pojęcia wyrobione na zasadzie specjalnego wykształcenia zawodowego. A jednak spotykałem plastyków zawodowych, ulegających również podobnym złudzeniom. Pokazywano mi np. na wystawie prac uczniowskich warszawskiej szkoły sztuk pięknych okropne, niezdarne malowanki, jako dzieła wyjątkowego talentu i kazano zachwycać się śmiałością kompozycyjną autora. Były to fantastyczne metafory poetyckie, przetransponowane najnaiwniej na język barw i linii przez nieuka, który się nie liczy z warunkami trójwymiarowości przestrzeni, wobec czego łatwo mu przyszło przewyższyć swą śmiałością prawdziwego plastyka, jeżeli ten stara się z całą ścisłością i prawdą wyrazić trójwymiarową bryłę na dwuwymiarowej płaszczyźnie. W tem leży cała trudność wypowiedzenia się artystycznego za pomocą kształtu i dopiero należyte poznanie jego istoty, co osiąga się przez studia i naukę, daje ostatecznie większą lub mniejszą swobodę wyrazu, daje łatwość, że tak powiem, dokładnego tłumaczenia się językiem form plastycznych.

Weźmy przykład:

Malarz chce, dajmy na to, przedstawić taką wizję pięknej kobiety dosłownie, według koncepcyj poetyckich, to jest malując rzeczywiście łabędzią szyję, róże kwitnące zamiast ust, gwiazdy zamiast oczu i tak dalej. Otóż połączenie podobnych form naturalnych w tak dalece urągającej logice całości, to znaczy, że szyja będzie istotnie przypominała szyję ptaka, będzie posiadała jej okrągłość, puszystość i właściwą linię wygięcia, róże będą kwiatami i t. d. — przedstawiałoby ogromne trudności techniczne i wymagałoby kolosalnej pewności we władaniu formami, takiej, jaką niewątpliwie posiadać musieli mistrzowie, z których fantazyi zrodziły się wszelkie chimery, gryfy, syreny, centaury, maskarony o liściastych wąsach i brodach tudzież inne kombinacye świata zwierzęcego i roślinnego, często bardzo estetyczne, zwłaszcza w ornamentyce renesansowej. Ale ów samorodny geniusz malarzski zamiast szyi okrągłej bądź co bądź trójwymiarowej, maluje sobie biały, płaski pasek bez formy, na końcu jego umieszcza płaską płanę, mającą przedstawiać głowę i... sprawa załatwiona, a bezkrytyczni entuzyaści wielbią w nim śmiałość i bezpośredniość.

Że malarze podlegają czasem złudzeniom na tym punkcie, to tłumaczą suggestyą ze strony literatów, w których przyzwyczaili się uznawać wyższość umysłową, ale skoro malarze zaczęli powtarzać podobne historye, literaci, ufając znowu dokładności ich widzenia w zakresie kształtu, uwierzą jeszcze bezwzględniej w swoje teorye i wytworzy się ostateczne pomieszanie pojęć — zaczarowane koło, z którego wydobyć się będzie niepodobna.

Może to poczytane mi będzie za zarozumiałość, ale wierzę, że dla mnie, kiedy widywałem utwory choćby najdalej posunięte w uproszczeniach, nigdy nie było tajemnicą, o ile są dziełem ludzi z talentem i wyrobionych zawodowo, a o ile bezczelną arogancją dyletantów, wdzierających się nieprawnie w dziedzinę sztuki i przykro mi było widzieć szczerych artystów ustawionych w jednym szeregu z tymi dyletantami.

W podobnem położeniu bywał pan Wawrzeniecki, malarz wytrawny i szczerzy artysta, który, dzięki pewnej chimeryczności swych upodobań estetycznych, sąsiedował o miedzę we wspomnianem wyżej piśmie z osobnikami innej rasy, innej kultury, którym tytuł artysty żadną miarą służyć nie powinien.

Pan Wawrzeniecki, urządzając wystawę prac swoich w salonie p. Krywulta, do obrazów dołączył też studia przygotowane, to jest zwykłe akty akademickie, które następnie przerabiał czy stylizował odpowiednio do potrzeb kompozycyjnych. Są one wykonane z właściwą plastyką i dokładnością szczegółów, dowiódł więc tem, że jest doskonałym rysownikiem i posiadał wszystkie tajemnice sztuki, a uproszczenia jego, pozornie tak łatwe, zależne są od szczególnych tendencyj estetycznych.

Tendencye te zaznaczają się również pod względem treści. Wszystkie wystawione obrazy połączone były jakby jednym kierunkiem zadumy. Była to, jakby ewokacya ponurej, groźnej wizyi średniowiecza, które artysta zna i rozumie, odtwarza też z wielką mocą przekonania. Całość wystawy nosiła tytuł: „Z martyrologii czarownicy.“ Widzieliśmy tam przerażające sceny, pełne okrucieństwa, ciemnoty i przesądu, wyrażone po malarsku z ogromnem odczuciem nastroju, że tak powiem, powietrza dramatycznego.

Można się z p. Wawrzenieckim nie zgadzać w zapatrywaniach na cele i zadania sztuki, można nie lubić rodzaju jego twórczości, ale trzeba przyznać, że jest artystą szczerym, indywidualnym i stoi na wysokości powołania swego.

Jeżeli wspominałem o piśmie, gdzie i on między innymi umieszczał swoje rysunki, to niechodziło mi ostatecznie o filistra, który czasem z powodu wyżej określonych nieporozumień za do-

brą monetę kupuje odpadki artystyczne, ale, że artystom tej miary, co pan Wawrzeniecki, i wielu innym naprawdę oryginalnym i utalentowanym, dzieje się krzywda moralna przez traktowanie ich za pan brat z pretensjonalnymi niedołęgami lub szarlatanami bez cienia zasług rzeczowych.

*

*

*

Wzmagający się z nadzwyczajną potęgą przemysł fabryczny, przez pośpieszną, ordynarną produkcję maszynową potrafił zohydzić każdy kształt nowy czy odnowiony, każdą formę narazie piękną i sympatyczną i zniechęcić ludzi o wybredniejszym smaku do pozornie wspianiałej, taniej a banalnej dekoracyjności naszych czasów.

Już w połowie zeszłego stulecia humaniści angielscy zaprotestowali energicznie przeciw nadmiernej a bezmyślnej wytwórczości fabrycznej tego, co powinno być wytworem rąk rozumnego człowieka, przeciw obrzydzeniu życia widokiem tandety i tanich, pospolitych ozdóbek, więc za sprawą takich artystów i myślicieli jak Ruskin, Wiliam Morris i Walter Crane rozpoczęła się szeroka akcja w kierunku estetycznego wyindywidualizowania zdobnictwa, stosowanego do przedmiotów codziennego użytku. Powstały wielkie warsztaty rękodzielnicze i szkoły przygotowujące rzemieślników-artystów, którzyby pracą inteligentną i osobistą odpowiedzieć mogli wymaganiom wytworniejszego smaku. W ostatnich czasach dążenia te rozlały się po całej Europie, a paryska wystawa powszechna w roku 1900, tudzież dwie wystawy specjalnie sztuce stosowanej poświęcone: w Darmstadtzie w 1901 i w Turynie 1902 roku, dowiodły, jak wielkie już na tem polu postępy poczyniono.

U nas w dziedzinie tej znaczne zasługi położyli dr. Matlakowski, Witkiewicz, a ostatnio stowarzyszenie „Sztuka polska stosowana,” która, pomimo pewnej jednostronności, zbierając rodzime motywy zdobnicze, jako podstawę do swojskiej ornamentacyi, rozludza bądź co bądź, artystów do oryginalnej twórczości. Obecnie we wszystkich szkołach artystycznych z Warszawską

szkołą sztuk pięknych na czele, nauka sztuki stosowanej staje się obowiązującą i na popisach rocznych mieliśmy sposobność stwierdzić w wielu razach wcale dodatnie rezultaty w tym kierunku.

Pozatem powstała specjalna szkoła dla kobiet, mająca na celu systematyczną naukę kompozycji ornamentacyjnej. Szkoła prowadzona przez znaną malarkę francuską pannę Chalus, tudzież przez pannę Duninównę, artystkę polską, urządza doroczne wystawy prac uczennic w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych i właśnie taką wystawę, drugą z rzędu, oglądaliśmy w lecie roku zeszłego.

Panna Chalus jest uczennicą słynnego dekoratora paryskiego Grasseta i oczywiście przyjęła jego metody i zapatrywania.

Leon Thévenin w piśmie „La Plume“ tak w głównych zarysach charakteryzuje estetykę Grasseta. Uważa on, że sztuka nie może być naśladowaniem natury, ale jest jej interpretacją. Natura daje materiały i suggestyonuje formę. Sztuka obrabia materiały, upiększa formę i nadaje jej ową cechę idealną i doskonałą, do której natura dąży, ale nie jest w stanie urzeczywistnić. Zasadą jego zdobnictwa jest prostota, utrzymuje się więc możliwie w zakresie form geometrycznych, przyczem nienawidzi ornamentacji wypukłej.

Metoda czy teoria kompozycji dekoracyjnej jest konieczna. Potrzebne tu jest ustalenie punktu wyjścia, znajomość stron technicznych w zastosowaniu materiałów, umiejętność podziału płaszczyzny, rozłożenia w równowadze walorów i tysiąca innych prawideł wykrytych przez doświadczenie pokoleń. Metoda panny Chalus widocznie musiała być dobra, gdyż niektóre uczennice doszły do tworzenia samodzielnie pomysłów dekoracyjnych naprawdę bardzo ładnych, które mogły zaraz znaleźć doskonałe zastosowanie w przemysle artystycznym.

*

*

*

Druga wystawa doroczna artystów polskich, otwarta w Towarzystwie Zachęty przy końcu roku nie różni się w niczem od poprzednich. Odczuwa się tu jak zawsze brak utworów o szer-

szych pomysłach, choć na ogół jest wiele rzeczy wartościowych i nie pozbawionych interesu artystycznego.

Zaznaczyć nadto wypada pojawienie się kilku nacechowanych prawdziwym talentem dzieł artystów dotąd nieznanych, jak np. p. Piekarskiego, który wystąpił z utworami pod każdym względem zasługującym na uznanie.

Na tem skończyć wypada przegląd ruchu artystycznego w tym niespokojnym roku.

T. JAROSZYŃSKI.

RUCH UMYŚŁOWO-LITERACKI

we Francyi.

Przeglądając dzisiejszą twórczość francuskiego teatru, można zauważyć znamieny zwrot ku idealizmowi i dążność do wskrzeszenia tragedii. Obok dramatów o tendencji wybitnie społecznej, obok komedij zgryźliwych lub służących chwilowym hasłom, spotyka się często dzieło czystego artyzmu. Zgrabne utwory Porto-Riche'a, owiane technieniem klasycznego teatru, lecz o piętnie zupełnie nowożytnem malują ową odwieczną moc miłości, której nie oprzeć się nie może; do niej powrócił, po długim błakaniu się, wybitny dramaturg współczesny, Maurice Donnay i w ostatniej swej komedii¹⁾; na jej cześć śpiewa również Camille de Saint-Croix w „Armidzie,“ będącej niejako ucieleśnieniem żywiołowych wybuchów namiętności. We wszystkich powyższych utworach mamy do czynienia z miłością nie upadlającą lub zdrożną, jak tego pełno w literaturze francuskiej, lecz z uczuciem uszlachetniającem bohatera. Możnaaby przytoczyć wiele innych jeszcze dramatów o podobnej tendencji; widzieliśmy ją w subtelnych komedjach Renarda, a nie brak prób uwieńczonych pomyślnym skutkiem, powrotu do starożytnych tematów, do tragedii o koturnowym nastroju. Takim jest „Hypolit uwieczony“ Juliusza Bois, który nie wahał się podjąć tematu, obrobionego dwukrotnie przez mistrzów tragedii i zwycięsko wyszedł z próby, tworząc postać wprawdzie nieco zmodernizowaną, ale przytem nawskroś oryginalną i bardziej dla nas zrozumiałą. Takim jest „Cinthia“ prowansalskiego poety

¹⁾ L'Escalade. Paris. 1905. Utwory dramatyczne, przy których niema innej wzmianki, cytuję w wydaniu „l'Illustration théâtrale.“

Meuniera, dzieło wybitnego talentu, czarujące harmonijnym wierszem, przesiąknięte żarem południa; takim wreszcie jest „Dyonizusz“ Casqueta, dramat religijno-symboliczny, osnuty na tle starożytnego mytu o królu Penteusie.

Zdania krytyków są podzielone, chwiejne, a czasem sprzeczne. W studyum niezwykle interesującym, choć miejscami niejasnym, Charles Méré omawia obecne usiłowania wskrzeszenia tragedyi¹⁾ i stara się uchwycić główne rysy, które będą charakteryzowały przyszłe utwory tragiczne. Autor wykazuje powolny rozwój tragedyi od najdawniejszych czasów, oraz jej każdorazowe przystosowanie się do środowiska. Jak teatr Corneille'a lub Racina pod nazwą Cydów, Horacyuszów i t. p. malował współczesnych ludzi i ich aspiracye, tak tragedia dzisiejsza lub raczej jutrzejsza będzie wizerunkiem obecnego społeczeństwa, bez względu, jakie postacie historyczne w niej figurować będą. Są tacy, dla których teatr klasyczny jest alfą i omegą; dla nich samo zestawienie tych dwóch wyrazów *tragédie moderne*, jest herezyą i niedorzecznością; ale ci grzeszą brakiem historycznego zmysłu. Każdy bowiem utwór tragiczny był czemś nowem, był wyrazem pragnień i uczuć nowej epoki, w której powstał. Tragedya zatem ma rozległe pole twórczości, ale jej osią główną jest walka między wolą jednostki a przeznaczeniem, mniejsza o to, czy je nazwiemy starożytnem fatum, czy opatrnością boską, czy porządkiem społecznym, czy owem nieubłaganem prawem dziedziczności; zawsze starcie się dwóch potęg moralnych w duszy człowieka, jest nieodzownym warunkiem tragiczności. Z chwilą jednak, gdy zamiast nich mamy walkę interesów dla idei, rozumnowania filozoficzne, lub zatargi naukowe, z tą chwilą mamy do czynienia z dziełem, czasem bardzo zajmującym i wymownem, ale nie z tragedya. Dlatego też nie jest nią ani „Le Duel“ Lavedana, ani „Les Ventres dorés“ Fabre'a, ani teatr Maeterlinka lub Ibsena (przy którym jednakowoż należałoby zrobić pewne zastrzeżenie), ani żaden z utworów, które tak często zwykliśmy chrzcić mianem „tragedyi nowożytnej.“

W dalszym ciągu Méré konstatuje, że współczesna tragedia znajduje się w upadku, dodaje jednak, iż wielu pisarzy zrozumiało jej dążność ewolucyjną i, zamiast kusić się o powrót, niemożliwy zresztą, do starożytnych form, maluje w swych utworach dzisiej-

¹⁾ La tragédie Contemporaine (Préface de Paul Mounet). Paris. 1905. (Bibl. de „la Chronique.“)

sze zapasy człowieka w wrogiej walce z instynktem i nieznanymi jeszcze czynnikami, które kierują naszem życiem. Do tego typu tragedyi zbliżają się dzieła takie, jak np. „La course du Flambeau“ Hervieuxgo albo „Chleb grzechu“ Teodora Aubanela, lub wreszcie „Miasto umarłe“ d'Annunzia. „L'Arlésienne“ Daudeta odtwarza również przedziwnie ten mistyczny nastrój, który jest konieczny do odczuwania grozy tragicznej. Przyszła więc tragedia, mówi autor, pokaże nam człowieka dumnego i zbuntowanego, człowieka dręczonego wątpliwościami lub biernego w nieszczęściu, borykającego się z wewnętrznymi i zewnętrznymi popędami, które tworzą jego przeznaczenie. Dążenia metafizyczne i moralne, dążenia społeczne, cała ta sieć niewidzialnych czynników, ogranicza jego wolę. To nie jest jednostka, to symbol ludzkości, poziomej lub heroicznej w zetknięciu się z „nieznanem“ (str. 46).

Co się tyczy formy zewnętrznej, to wiersz nie jest nieodzownym warunkiem tragedyi, proza rytmiczna może łączyć w sobie wszystkie zalety prawdziwej poezyi (str. 66).

Zupełnie odmienne poglądy wygłasza Paweł Souchon, młody poeta, którego tragedia „Phyllis“¹⁾ zawiera ciekawą przedmowę. Zdaniem jego, wiersz jest niezbędny i tylko on potrafi zakuć w nieśmiertelną formę podniosłe uczucia, lecz z tego nie wynika, aby miano powrócić do estetyki Racina lub Victora Hugo. Ani tragedia klasyczna, ani dramat romantyczny nie odpowiada naszej uczuciowości. Walka między miłością a obowiązkiem, konflikty serca i sytuacji, naśladownictwo starożytnych pisarzy, uroczystość dyalogu, wszystko to, co interesowało w wysokim stopniu dworaków 17-go wieku, zajmuje nas daleko mniej. Tak samo przesadna retoryka i nadęte tyrady bohaterów romantycznych nie wzruszają nas bynajmniej. Tragedya nowożytna oddali się zarówno od jednego, jak od drugiego rodzaju dramatu, ściśle mówiąc; połączy je i dopełni *poezją*, której blask oświecła ludzi rzeczy i idee.

Poezja człowieka w naturze, echo, jakie w nim budzą pory roku i krajobrazy; kontrast pogodnego nieba i wzburzonej duszy; wrażenia dnia, mroku, nocy; natchnienia wywołane potęgą huraganu, słońca, burzy, księżycy, gwiazd... oto, co poezja liryczna opiewa, lecz żadne dzieło dramatyczne, jak się autor wyraża, n'a haussé jusqu'à la vie et à l'action.

Poezja człowieka w społeczeństwie, które sobie wytworzył, jego radość i smutek, jego rozkosze i nudy, jego uczucia i prze-

1) Paris 1905 (Société du Mercure de France). La tragédie nouvelle.

miany, jakim ulega pod wpływem losu i wypadków, tem zajmował się dotychczas przedewszystkiem romans, a czasem utwór dramatyczny, lecz jedynie dramat poetyczny może mu dać piękno i trwałość.

Poezja człowieka w jego własnej myśli, gra idei i wspomnień, wątpienia i wiary; popędy dziedziczne i męki umysłu, walka instynktów, i refleksyi, wzloty geniuszu i natchnienia, mizerye szału i agonja pamięci; o tem mówią nam traktaty filozofii i medycyny, lecz to ucieleśnione na scenie działać będzie ze wstrząsającą siłą prawdy.

Tak więc atmosferą nowego dramatu będzie poezya—to jest kwintessencya *wszystkich tworów*, żyjących czy nieożywionych, wszystkich czynników, widocznych czy ukrytych — a nie, jak to było w epoce klasycyzmu: kilka uczuć uprzywilejowanych, lub w czasach romantyzmu: kilka wyjątkowych sytuacji. Poeta-dramaturg, mając przedmiot, będzie się starał wydobyć z niego całą piękność. Jego rzeczą jest uczynić wybór w materyale, który mu przynosi legenda, historia, doświadczenie życiowe i wyobrażenia. Wolność jego... nieograniczona, byle utwór odpowiadał warunkom poezyi i piękna. Okres ten zbliża się, okres bujnego rozkwitu poetycznego dramatu.¹⁾ Liczne oznaki wskazują na to, że jego ewolucya literacka wchodzi w nową fazę, która jest wynikiem artystycznej kultury, ogarniającej coraz szersze warstwy społeczne. Lud zaczyna ucześnieć z zamiłowaniem na widowiska klasycznego repertuaru, jego sympatye również idą ku utworom poetycznym, bo w nich znajduje zdrowy pokarm duchowy.

*

*

*

Zapatrywania powyższe, które można uważać za pewnego rodzaju manifest młodych poetów, charakteryzują dobitnie jeden kierunek dzisiejszej twórczości dramatycznej we Francyi. Nie da się zaprzeczyć, że ruch ten jeżeli nie rozpoczął się, to nabrał siły od chwili ogłoszenia Cyrana de Bergerac. Młody wówczas autor

¹⁾ Tegoż zdania jest Jules Bois. Zob. Cardonel et Vellay. „La littérature contemporaine.“ Paris. 1905. (Soc. du Mercure de France) str. 73.

obudził wielkie nadzieje u tych wszystkich, którym przejadł się był teatr naturalistyczny i komedia obyczajowa ze swem stałem trio: męża, żony i przyjaciela domu. Zapowiadano z uroczystą pompą nową erę, a gdy przewidywania nie ziściły się, zlekceważono Rostanda... niesłusznie. Wprawdzie „Cyrano“ nie rozpoczął nowej epoki w dziejach francuskiego dramatu, jak to się rzecz ma z „Hernanim“ lub Les „Corbeaux“ Becque'a, ale nie można się również zgodzić na sąd dzisiejszej krytyki, która odmawia Rostandowi wszelkiego wpływu, twierdząc, że jego utwór niema żadnej styczności ze współczesną literaturą, jak pierwszy lepszy melodramat.¹⁾ Jest to druga ostateczność, w którą popadają znów zwolennicy socyalnego teatru. Rzucony przez Rostanda posiew, nie poszedł na marne, a jeżeli dotychczas nie wydał dzieła równego mu wartością, to winy nie ponosi kierunek, uważany przez przeciwników za fałszywy i przestarzały,²⁾ ale brak twórczego talentu, brak ideałów, a może i wiary, któraby ożywiła skostniałe pod wpływem materializmu uczucia. Zapal jednak raz obudzony wydlatnia się coraz silniej i ruch żywy, niemal gorączkowy tętni na polu twórczości dramatycznej. Cała plejada młodych dramaturgów, piszących wierszem, kupi się koło Armanda Boura. Dzięki energicznym zabiegom kilku jednostek, oddanych z namiętnością sztuce, dzięki poparciu głośniejszych poetów, jak Catulle Mendès, François de Nion, hrabina de Noailles, trupa aktorska, mając na czele wyżej wymienionego dyrektora, mogła się zająć wystawieniem przedewszystkiem dzieł poezyi. Zrazu w Trianon, potem w pięknym gmachu, znanym pod nazwą Bouffes Parisiens, Armand Bour rozpoczął szereg przedstawień, mających na celu nie poklask publiki, ale popieranie prawdziwych talentów i wydobyć na światło dzienne nieznanych poetów. Spełnia więc po części podobne zadanie, jak to, które temu lat dwadzieścia, przypadło w udziale dyrektorowi „Wolnego Teatru.“ Ten sztuce i grze realistycznej, ów idealności i poezyi - otwiera na oścież wrota.

Z głośniejszych rymotwórców tej młodej generacji wymienić można Jacques'a Richepina, którego jednak nie należy mieszać ze starszym poetą Jean'em, autorem słynnej „Pieśni żebraków“ (La Chanson des gueux), i wielu dramatów, jak np. „Fibustier“, „Par le glaive“, „le Chemineau.“ Jacques Richepin odniósł po-

¹⁾ Georger Pelissier: Le mouvement littéraire contemporain. Paris. 1902. (Plon-Nourrit) str. 167.

²⁾ Le Théâtre de demain. La Grande Revue. 1904. t. I str. 408.

przedniego roku sukces dwoma utworami: „Cadet Roussel“ oraz „Falstaffem.“ Treści do tego ostatniego dramatu, dostarczył mu oczywiście Szekspir, przede wszystkim „Henryk IV“ i „Wesołe Kuzoszki Windsorskie.“ Stamtąd przejął główne epizody awanturniczego życia bohatera, ale umiał dodać wiele nowych i zręcznie je skombinować. W technice i wierszach zauważyć się da wpływ Rostanda, mniej w „Cadet Roussel,“ niż w „Falstaffie,“ lecz zarówno jeden, jak drugi utwór, świadczy o znacznym talencie autora.

*

*

*

„Rabelais“, poemat komiczny w 3 aktach, jest utworem w rodzaju „Cyрана de Bergerac.“ Młody poeta który tą komedią święci swoje prymicie literackie, okazał wiele zręczności w ujęciu przedmiotu. Nieznany zupełnie kilka dni przed premierą, Albert du Bois, stał się zupełnie popularnym. „Rabelais“ nie daje nam tej szerokiej perspektywy, tego rozległego a poetycznego obrazu jaki otwiera się przed zdumionem okiem widza w głośnym utworze Rostanda, ale też życie i epoka bohatera były zupełnie odmienne i nie nadawały się wcale do epickiego traktowania. Trzeba mieć odwagę, mówi Faguet, aby napisać utwór o autorze „Gargantui,“ heroiczną zuchwałość, aby go napisać wierszem, du Bois nie cofnął się przed temi trudnościami i wyszedł z nich zwycięsko. Jego Rabelais jest oczywiście wyidealizowanym bohaterem, nie tym, jakim go przedstawia urzędowa krytyka, ale też który poeta może się pochlubić, że wiernie odtworzył rzeczywistość? L'histoire doit fournir au poète des modèles et des accessoires – pisze Max Nordau w swoich studyach psychicznych. La composition dans laquelle il groupe des êtres humains et des choses doit être son invention, limitée seulement par la loi du style, qui interdit l'emploi irrationnel de la matière donnée et des rapports qu'on sentirait impossibles, de ce qui est universellement connu. Cela me semble la solution du problème, tant discuté de la poésie historique.) Jakkolwiek się rzecz ma, utwór Alberta du Bois, nie po-

1) Albert du Bois. Rabelais, poème comique en trois actes. Paris 1905. (Charpentier).

zbawiając bohatera charakterystycznych cech i wyskoków dowcipu, nieraz bardzo realistycznych, robi ogółem miłe wrażenie wśród powodzi komedyj prozaicznych, jako dzieło twórczej wyobraźni, a nie rzemiosła literackiego.

Hrabia d'Entraves, młody rycerz i rymopis, chce wbrew woli matki pojąć za żonę ubogą dziewczynę, sierotę bez imienia. Przybywa z nią do Meudon, aby wziąć tajemnie ślub, ale proboszcz wsi umarł przed kilku dniami. Nominacya nowego proboszcza zależy od hrabiny d'Entraves, matki młodego człowieka. Oczywiście ten z dwóch kandydatów otrzyma probostwo, który posłuży jej celom, to jest przeszkodzi małżeństwu. Jednym z kandydatów, jak się łatwo domyślić, jest autor nieśmiertelnych ksiąg o Pantagruelu, przedstawiony w dramacie, jako wielbiciel natury i piękna. Jego adwersarz, znany z romansów Sue'go, Angelot Pignon, charakter obłudny, pokroju molierowskiego świętoszka, asceta gardzący rzeczami ziemskimi, a przytem pełen niskich żądz, zarysowuje się pysznie w dyalogu z Rabelais'em, który na widok bohaterki nie może powstrzymać okrzyku uwielbienia:

Quelle beauté!

Les vieux murs enfumés de l'étroite ruelle
Tandis qu'elle passait, blanche et rose, autour d'elle
De fraîches clartés d'aube étaient tout tapissés.

PIGNON: Voir certaines beautés remplit nos sens de bas
Appétits et réduit nos coeurs à l'impuissance
Contre l'impur démon de la concupiscence...
Ah!.. sous son joug honteux lorsque nous croupissons...

RABELAIS: Assez de „croupissons“ et de „concupissons“
Vraiment, mon pauvre ami, je ne supposais guère
Que votre âme d'ascète était aussi vulgaire,
Et ne m'attendais point, en la sondant, à voir,
Que la Beauté, pour vous, n'est qu'un *concupissoir*.¹⁾

Pignon układa szatański plan, aby połączyć zakochanych nieważnym ślubem, a kiedy Rabelais udaremnia jego zamiar, usiłuje nakłonić dziewczynę do wstąpienia do klasztoru. Tam znajdzie swój ideał wymarzony, tam czeka ją oblubieniec, widziany w sennych marzeniach, do którego serce rwie się w ekstazie. Czyż może z całą pewnością twierdzić, że rycerz jest owym wybranym kochankiem, że nigdy żaden głos nie szeptał jej tajemniczych słów?

¹⁾ Akt I, scena II.

Nie przytaczam wyjątków, które dałyby niedołączone wyobrażenie o tej zręczniej przeprowadzonej scenie sugiestyjnej. Mowa obłudnika wywiera tem silniejsze wrażenie, że w rzeczywistości nie kochała rycerza. Poszła z nim, bo ją znalazł bezbronną, opuszczoną przez wszystkich, drzącą z zimna na ulicy, gdzie ją wypędziła bezlitosna ręka opiekuna. Jedyńm jej grzechem było, że miała duszę rozmarzoną, rwącą się do wiekiustego piękna i do wzniosłych lotów poezyi, poszła z nim, bo sądziła, że to wysniony trubadur-kochanek, lecz rychło się spostrzegła, iż młody rycerz chce ją poślubić nie tyle dla miłości jak aby na przekór zrobić matce. To też kiedy Rabelais rozwiewa jej złudzenia co do poetyckich zdolności hrabiego d'Entraves, którego madrygały miłosne dają się czytać w podwójny sposób, Dolly pragnie usłyszeć od niego, coby jej powiedział na ten sam temat:

Que sais-je?... Je voudrais au moins vous avoir dit
 Un mot que jamais femme avant vous n'entendit,
 Un mot infiniment magnifique et sonore,
 Qui vous ferait sentir combien je vous adore,
 Et qui révélerait à votre oeil ébloui
 Au fond d'un coeur immense, un amour inouï!
 J'aimerais mieux garder un silence farouche,
 N'avoir qu'un vague cri de bête sur la bouche,
 Que d'aller profaner mon rêve le plus doux
 En l'entourant pour vous le présenter, — à vous —
 De mots banals, souillés d'avoir vêtu naguères
 Des sentiments communs et des amours vulgaires.

Je voudrais voir vers vous monter en tourbillon,
 Pleurant dans mon sanglot et râlant dans mon râle
 Tous le fauves désirs d'une âme impériale,
 Et toute la tendresse exquise d'un enfant!
 Je vous dirais: C'est vrai! C'est un poids étouffant
 De tendresse et d'amour que j'ai sur la poitrine...
 Penche-toi, vois, comprends, rends-toi compte, devine
 Tout ce qui dans mon coeur à jamais enfermé,
 Tresaille et veut crier vers l'Être bien-aimé!

Sa beauté que je vois dans toute chose belle
 Car l'univers entier est pour moi rempli d'Elle:
 Mon âme La retrouve au fond de chaque émoi
 A travers tout rayon Elle rayonne en moi.
 Je La respire au coeur de chaque fleur que j'aime
 Tout rythme harmonieux me chante Son poème.)

1) Akt II, scena VII.

Dolly chce wyrzec się hrabiego d'Entraves, aby zostać przy autorze Gargantui. Przez chwilę tylko ogarnia ją zwątpienie, gdy obłudna ręka Pignona podsuwa jej rękopis romansu Rabelais'go. Lecz autor w mowie pełnej zapału i ognia tłumaczy jej cel dzieła i roztacza przed nią obraz zepsutego społeczeństwa, którego występki chciał chłostać bieżem ironii.

Perse l'eût insulté, Juvénal flétri
Moi, je suis un Gaulois plus amer! j'en ai ri!

Ustęp to kulminacyjny dramatu, napisany z wielką wprawą. Młody poeta wniknął w dzieło Rabelais'go i, wydobywszy z niego ideę, umiał ją przedstawić w wierszach harmonijnych. Utwór świadczy o znacznym talencie autora, po którym spodziewać się można wiele.

*

*

*

Wpływ Rostanda nie kończy się na tem; zapuścił on głębsze korzenie, niż się przyznawać zwykło w literaturze francuskiej. Ten rodzaj dramatu romantycznego, który autor „Cyрана de Bergerac“ na nowo powołał do życia, znalazł gorliwych adeptów u poetów starszej generacji. Łatwo stwierdzić można, do jakiego stopnia ulegli temu wpływowi pisarze tacy, jak Jean Richepin lub Catulle Mendès, analizując ich ostatnie utwory dramatyczne. Weźmy np. „Scarrona,“¹⁾ dzieło, długo oczekiwane, autora rozgłośniej powieści Zo'har. Rozpoczyna się sceną anologiczną do tej, którą widzimy w „Cyranie.“ Tutaj widowisko sceniczne w hotelu de Bourgogne, tam komedia mytologiczna w halach miasta Mans. Ten sam ruch dramatyczny, to samo tempo panuje w obu utworach. Tłumy ludu, rycerzy i dam, przesuują się, jakby w kalejdoskopie, różnobarwne, pstre szeregi masek migocą przy świetle pochodni. Wieczór karnawałowy ożywia całe miasto, hałas, gwar, nieustanne wybuchy śmiechu, cięte i dowcipne słowa, podnoszą ogólną wesołość. Bohaterem, jak tytuł pokazuje, jest Scarron, autor „Ro-

¹⁾ Catulle Mendès: Scarron, comédie tragique. Paris. 1905 (Charpentier et Fasquelle).

mansu komicznego,“ satyryk niemiłosierny, często zjadliwy, postać jednak oryginalna i niezmiernie ciekawa wśród pisarzy pierwszej połowy XVII wieku, smażyących madrygały w nadętym stylu Mariniego i Voiture'a. Pod skórą olbrzymiego makaka, ugania się on po ulicach, a za nim tłumy ludu,—zwyczaj, który jeszcze dziś widzieć można w Paryżu, w wieczór niedzieli zapustnej, i prawdopodobnie na prowincyi. Poeta daje nam wizerunek moralny Scarrona, każąc mu wygłosić panegiryk na cześć... małpy. Kiedy zebrani widzowie oklaskują aktorów, a szczególnie Momusa, wołając: „Chwała Momusowi!“ nasz bohater odpowiada:

Non! gloire au singe!

Le lion a du coeur, le singe a de l'esprit
 Il fringue, vibre, court, mord, balbouine, rit,
 Fait rire! Il irait dans la céleste banlieue
 Chatouiller l'Ourse au nez, le Bélier sous la queue;
 E c'est d'en voir jouer mille au Cheval Fondu
 Que le cèdre, aux forêts du Bengale, est tordu.
 Il est canaille, il est object, il est obscène,
 Il est exquis! Et quel acteur, roi de scène
 L'égale? Bellerose admire Fagotin
 Buvant à la bouteille et clignant au tétin,
 Cherchant ses poux, grattant son poil, croquant sa pomme
 Il mime rage et pleurs, et l'amour, Dieu sait comme...
 Ah! tout le monde hélas! n'est pas singe! mais quoi?
 On a toujours assez du singe au fond de soi
 Pour se complaire à voir, triomphe du Burlesque,
 En couard, le vaillant, en nain, le gigantesque,
 La belle en laideron, les maris en cocus
 Virgile en Turlupin, les astres en écus,
 Se refléter, plus vrais par la laideur cocasse
 Dans la grimace parodique qui jacasse. (str. 51).

Następuje bluźniercza powiastka o małpach, które naśladowują scenę na Golgocie:

Il vit, à trois gibets, formés d'un double épieu
 Entre les deux larrons-singes, le singe-dieu. (str. 53).

Mendès chciał* przez to zaakcentować brak wszelkich idealnych pierwiastków w duszy bohatera jego, niezdolność pojmowania rzeczy wzniosłych, co przedziwnie się zgadza z fizyognomią duchową autora „Eneidy strawestowanej.“ Wśród słuchaczy znajduje się młodzianka Franciszka d'Aubigné, która oburzona do głę-

bi w swych uczuciach religijnych, rzuca mu w twarz: *Fi, monsieur! que c'est laid!* Tłum przyklaskuje jej słowom, porywa niefortunnego błazna i ciągnie go do poblizkiej rzeki, aby mu sprawić zimną kąpiel. Bohater wraca z niej drżący z chłodu, z zarodami choroby, która go przykuje do łóża boleści na całe życie. Sceny powyższe są rodzajem prologu. Właściwy dramat rozpoczyna się dopiero w drugim akcie, ślubem Scarrona i... o ironio losu, Franciszki d'Aubigné. Samotna na świecie, lecz marząc ciągle o nim, biedna i opuszczona, gdy jej dano wybór między klasztorem a nędzą, zgodziła się wyjść za naszego Łazarza, aby być dlań siostrą miłosierdzia. Z przedziwną intuicyą, w szeregu plastycznych obrazów, Mendès odtworzył wspólne pożycie tej dziwnej pary. Około bohaterki uwija się rój wielbicieli, wietrzących zdobycz; lecz młoda małżonka-dziewica, zwycięsko opiera się pokusie, choć łatwo przewidzieć, że hart jej duszy powoli się zużyje w niebezpiecznej atmosferze dworskich kadzideł.

Triste, non, l'air d'un ange au monde résigné
 Et qui se plaint comme on sourit. De neuves terres
 Lointaines elle garde en ses yeux les mystères
 D'une mer et d'un ciel que l'on ne connaît pas.
 Que des lys inouis ont parfumé ses pas
 Ou le rêve au parfum qu'on respire à la suivre
 Elle est bien façonnée et parle comme un livre;
 Fière, non pas farouche, elle a sans nul défaut
 Le geste qui convient, la parole qu'il faut,
 Puis les lèvres vibrent, l'oeil qui songe en arrière
 Se semble qu'elle imite un écho de prière...
 Quand elle joint les mains, elle est bonne à prier. (str. 71).

Utwór Mendèsa postawiony przez krytykę obok „Cyrana de Bergerac,” nie miał tego entuzyastycznego przyjęcia, jakiego się spodziewano. Wytkłomaczyć to można do pewnego stopnia tą okolicznością, że bohater nie jest sympatyczną postacią, jak ów rycerz pełen brawury i poświęcenia; po drugie tem, iż akcja utyka w dalszej części dramatu: Scarron przykutą do fotelu nie wpływa na bieg wypadków, jest osobą bierną, podczas gdy w „Cyranie“ wszystko wre życiem.

*

*

*

Obok powyżej wymienionych dzieł twórczej imaginacji, pełnych poetyckiego polotu, które jednak w dzisiejszych czasach burzliwego życia socyalnego, mimo wybitnego prądu idealistycznego we współczesnej literaturze francuskiej, błyszczą zawsze jeszcze, na kształt egzotycznych kwiatów, zapożyczonem światłem - mamy szereg dramatów, pisanych prozą, które świeciły w ostatnich czasach niezwykły tryumf na deskach teatralnych. Publiczność oklaskiwała jeden utwór po drugim z równym entuzjazmem, gdyż każdy z nich pod formą mniej lub więcej ukrytą... odkrywał rany obecnego ustroju, wady i występki paryskiego społeczeństwa. Nie chcę przez to powiedzieć, że to były dramaty à thèse. Przeciwnie stwierdzić należy, że ten rodzaj zaczyna znikać. Jedynie utwór braci Marguerite, o którym niżej będzie mowa, wchodzi w kategorię dramatów, mających na celu wykazanie szkodliwości względnie niedostateczności tej lub owej ustawy, jak np. prawa rozwodowego i t. p. Większą część utworów tegorocznych zaliczyć należy do komedyi obyczajowej i dramatu psychologicznego. Nie starczyłoby mi miejsca, gdybym je chciał omówić obszerniej, gdyż na tem polu produkcya we Francyi jest nader obfita, a miniony sezon należał do najpomysłniejszych. Wszyscy wybitni krytycy, jak Faguet, Brisson, Doumic, jednogłośnie przyznali, że od lat piętnastu nie widziało się takiego ruchu w dziedzinie twórczości teatralnej. Z konieczności więc ograniczę się do najważniejszych, rozpoczynając od Lemaître, w którym po kilku latach mozolnego borykania się z przeciwnikami na arenie politycznej, odezwała się dawna żyłka pisarska. Dwa jego utwory „La Massière“ oraz „Bertrade“ odniosły równy sukces, choć zgoła są niepodobne do siebie, tak że wierzyć się nie chce, iż wyszły z pod pióra tego samego pisarza. Pierwsza z nich, „La Massière“,—to komedya delikatna i sentymentalna. Publika z niecierpliwością oczekiwała premiery, rozciekawiona w najwyższym stopniu krążącemi pogłoskami o aktualnym podkładzie, jaki prezes „Ligi patryotycznej“ miał dać swemu utworowi. Pod tym względem oczekiwało ją rozczarowanie. Utwór jednak podobał się nadzwyczaj, bo dawny Lemaître odnalazł się ze wszystkimi zaletami wytwornego stylisty i subtelnego obserwatora współczesnego życia. Dyalog jego zawsze żywy i dowcipny, często ironiczny, a czasem czuły, rozśmieszał, bawił i wzruszał naprzemian widzów.

Juliette Dupoy, młoda malarka, nazwana „la massière,“ bo zarządza wspólnym funduszem swoich towarzyszek,—co w żargonie paryskim nazywa się „la masse“ i z tąd dwie nazwy „le mas-

sier“ i „la massière“¹⁾—jest pierwszą uczennicą w akademii malarzkiej Justiniana i protegowaną dyrektora Marèza. Uczucie, jakie tenże żywi dla utalentowanej uczennicy, jest może trochę egoistyczne, niejasne, sam nie zdaje sobie z niego sprawy. Marèze widzi w niej dzieło swoich rąk, talent, który on wykształcił i o który jest zazdrosny. To też burzy się na myśl, że Juliette mogłaby pokochać kogoś innego gorętszem uczuciem. Tym innym będzie właśnie jego syn Jacques. Sytuacja cokolwiek drażliwa, a nieraz śmieszna, lecz traktowana przez Lemaître'a z nadzwyczajną delikatnością, zamienia się w małe arcydzieło psychologicznego konfliktu. Rozwiązanie, zdaniem mojem, trafne, chociaż moderności nazwaliby je banalnym. Marèze zadowolnia się afektem ojcowskim i Romeo... poślubia swoją Julię.

Zupełnie innego kroju jest drugi utwór „Bertrade“, niemiłosierny obraz zdeprawowanej jednostki, pochodzącej ze sfer uprzywilejowanych. Zarzucano często Lemaître'owi, że kokietuje z arystokracją, że jej oddał się ciałem i duszą. Bardziej wtajemniczeni w sprawy zakulisowe nadsekwańskiej stolicy dodają szczegóły, których powtórzyć nie można. Autor „Bertrady“ chciał przez swój utwór pokazać, że jest niezależnym, że, kiedy fantazja mu przyjdzie do głowy, potrafi odmalować świat, z którym się związał w celach politycznych, z nieubłagany realizmem, miejscami może zanadto oburzającym. Już przed dwoma laty w tomie studyów p. t. „Teorye i wrażenia“ Lemaître wynurzał się ze swemi zapamiętaniami. „Zdaje mi się, powiada tam, że nie powinienem być podejrzanym prawdziwym republikanom. Pochodzę z ludu i nie bywam w świecie“ (je ne fréquente pas ce qu'on appelle „le monde.“)²⁾ „Bertrade“ ma być również dowodem, że Lemaître nie zamyka oczu na wady swoich sojuszników.

Wyobraźcie sobie księcia czy markiza, który roztrwonił nie tylko swój własny majątek, ale nadto posag córki i siostry, którego fortuna, jak się dowcipnie wyraża notaryusz, równa się „zéro moins trois millions.“ Otóż ów markiz chce wyjść ze smutnego położenia. Dwie drogi prowadzą zwykle do celu w tego rodzaju sytuacji: sprzedać swoje imię, albo swą córkę. Autor przez zbytek

¹⁾ Paryskie wyrażenie „t'as la masse“?, odpowiada warszawskiemu: „masz flotę?“

²⁾ Théories et Impressions. Paris. 1904 (Soc. fr. d'imprimerie et de librairie) str. 10.

dobroci, nastęrcza obie bohaterowi i przesuwa przed naszymi oczyma szereg scen, w których odkrywa się zgnilizna moralna markiza Maufferanda, zgnilizna tem wstrętniejsza, że pokryta maską obłudy i bigoteryi. Sprzedaż córki nie udaje się, bo Bertrade przeciwstawia ojcę kategoryczne: „non possumus.“ Charakter bohaterki skreślony z prawdziwym pietyzmem i bardzo sympatyczny. Książę jest więc gotów sam się sprzedać i poślubić dawną znajomą z życia kawalerskiego, która „uczciwem życiem“ en haut et en bas, nagromadziła kilkanaście milionów i zakupiła wszystkie długie swego byłego kochanka. Utwór powinienby się tak zakończyć. Ale w ostatniej chwili zabrakło księciu, a raczej autorowi, odwagi. Lemaître cofnął się przed ponurą ewentualnością i wprowadza „deux es machina“ Bertrade, która wymownemi słowy przypomina ojcę świetną przeszłość, nienaganne postępowanie ich rodu etc. etc. Książę wyprawia córkę i z wyrazami: „Bóg mnie zrozumie,“ przykłada pistolet do skroni.

Oto treść w najogólniejszych zarysach niedawno ogłoszonego dramatu Lemaîtrea. Prawda, zapomniałem o jednym szczególe, bez którego żaden utwór francuski obejść się nie może. Równocześnie z powyższą nakreśloną intrygą rozwija się inna: miłość Bertrade dla sąsiada, człowieka bardzo zacnego, ale niezamożnego. Te dwie akcje przeplatają się i krzyżują nawzajem, nie osłabiając w niczem jednolitości utworu. Wzięty jednak w całości, dramat Lemaîtrea nie zadawalnia naszego poczucia estetycznego. Ewolucya głównej postaci dziwnie niejasno odmalowana a początkowe sceny są w rażącym kontraście z następnymi. W pierwszym akcie markiz występuje jako utracysz, ale zarazem jak magnat uniejący zachować swą godność, jako człowiek wreszcie stałych zasad, który przyciśnięty okolicznościami śmiało zajrzy śmierci w oczy, ale nie spodli się nigdy, ani na chwilę. Tymczasem następne akty przynoszą kompletne rozczarowanie, a samobójstwo, które byłoby zrozumiałe, gdyby autor zatrzymał był charakter bohatera z pierwszego aktu, nie jest logicznym wynikiem trzech ostatnich, lecz czynem chwilowego podniecenia, wywołanego kazaniem córki. Prawdę więc mówiąc, koniec taki nie jest końcem, nie rozwiązuje bowiem danej sytuacji. Jest raczej wygodnym fortem dla autora, który nie może lub nie chce nam dać wizerunku bohatera w ostatniej jego fazie.

Nie byłbym obszerniej omawiał tego utworu, gdyby był przykładem odosobnionym we współczesnej literaturze dramatycznej. Zdaje się jednak, że mania samobójcza ogarnęła tegoczesnych pisa-

rzy francuskich. W pięciu utworach, wystawionych w przeciągu kilku tygodni, a więc niezależnych jeden od drugiego, bohaterowie, względnie bohaterki, ratują się tym pseudo-heroicznym środkiem od fatalnego kroku, do którego ciągnie ich przeszłość i do którego konsekwentnie dojśćby powinni. Poprzedniego razu widzieliśmy, że żony, porzucające domowe ognisko, aby po pewnym czasie powrócić i wybłagać przebaczenie, były, że tak powiem, w modzie, do czego przyczyniły się niemało znane wypadki na kilku dworach książęcych. Autorowie kruszyli w ich obronie swoje kopie. Tym razem zjawisko podobne, zamiast napiętnować zło, zyskuje sympatyę dla niegodnego bohatera, każąc mu porzucić czempredziej nasz padół cierpień i bólów, do których ów nie okazuje zbytowego pociągu.

Takim utworem jest najnowszy dramat Bernsteina: „La Rafale.“ Robert de Chacéroy przegrywa pół miliona franków, które nie należą do niego. Jako przyjaciółkę ma córkę bogatego finansisty Helenę de Bréchebel, która zamierza wyłudzić tę kwotę bądź od ojca, bądź od męża, ażeby pokryć defraudację bohatera. Lecz delikatność nie pozwala Robertowi przyjąć pieniędzy od ukochanej. W tym samym czasie ojciec Heleny, baron Lebourg, ofiaruje byłemu przyjacielowi powyższą sumę pod warunkiem, że zerwie wszelkie stosunki z jego córką. Tym razem honor staje na przeszkodzie. Jakżeż wyjść z tej sytuacji? [Nie trudno odgadnąć z tego, co powyżej powiedziałem.

Samobójstwem również kończy się dramat Henryka Bataille'a: „Ślubny marsz.“ Gráce de Plessans, nie mogąc otrzymać pozwolenia rodziców na poślubienie swego nauczyciela muzyki opuszcza dom i miasto rodzinne, aby żyć w ubóstwie z wybranym serca. Idylla nie trwa jednak długo. Aby uprzyjemnić chwile samotności ukochanej, Claude kupuje fortepian za pieniądze wypożyczone z podręcznej kasy, bez zezwolenia szefa. Wprawdzie tenże mu przebacza, ale wiara bohaterki w charakter swego wybranego doznaje silnego ciosu. Od tej chwili świat salonów, którego się wyrzekła, odzyskuje nad nią swą magiczną władzę, hypnotyzuje ją i niebawem zobaczymy Gráce pod obcym nazwiskiem na balu u przyjaciółki z klasztoru, pani Lechâtelier. Dodajmy tutaj dla wyjaśnienia, że Lechâtelier jest właśnie zwierzmikiem Clauda i że poprzednio oświadczył swoją miłość bohaterce. Gráce zestawia swego nauczyciela z tym wykwinłym światowcem, którego wprawdzie odtrąciła, ale który nie mniej uprzedza każde jej życzenie, porównanie nie może wypaść na korzyść pierwszego. Czu-

jąc zagrażające jej niebezpieczeństwo, bohaterka ucieka wśród nocy do Paryża. Podczas, gdy Claude gra ulubiony marsz, rozlega się huk i Gráce oddaje ostatnie technienie w objęciach zrozpaczonego męża.

*

*

*

Kwestya rozwodu nie schodzi z porządku dziennego we francuskiej literaturze. Po romansie braci Margueritte: „Les Deux Vies,” który był jednym z najwymowniejszych manifestów za rozszerzeniem odnośnej ustawy, ukazała się powieść Bourgeta, wymierzona przeciw rozwodowi nawet w tej formie, w jakiej istnieje w tutejszem prawodawstwie. Obaj przeciwnicy scharakteryzowali swoje poglądy w dwóch listach, ogłoszonych w czasopiśmie „Femina,” które urządziło ankietę wśród swoich czytelniczek i zażądało od obu autorów konkluzji praktycznej z ich utworów.

Bourget przyznaje, że w obecnej epoce anarchii i rozkładu sił francuskiego narodu, jego poglądy nie mają żadnych widoków powodzenia; żądania sformułowane przez braci Margueritte prędzej czy później wejdą do kodeksu, ale tam długo nie pozostaną. Jest to całkiem naturalne, logiczny wynik ustawy z roku 1884. Wszystkie argumenty, które służyły do uchwalenia prawa rozwodu „zabójczego dla religii i rodziny,” przemawiają również za jego rozszerzeniem, a kto chce być konsekwentny w swoich poglądach, musi to uznać. Pytanie tylko czy zasada, na której opiera się to prawo jest słuszna. Zwolennicy rozwodu występują w imię dobra jednostki, która jest według nich, podstawową komórką społeczeństwa. Z chwilą, gdy ona cierpi, cały organizm staje się pomalą chory. Ich hasło brzmi: jedna istota nie powinna cierpieć przez drugą i dla drugiej. Historia jednak udowadnia, że energia „ciała społecznego“ była zawsze w prostym stosunku do energii życia rodzinnego. Komórką więc tegoż ciała społecznego nie jest indywiduum, ale rodzina. Historia również nas uczy, że życie rodzinne odbyło w ciągu wieków głęboką ewolucję, dążąc nieustannie do monogamii. Rozwód, w jakiegokolwiek formie go weźmiemy, jest pewnego rodzaju poligamią sukcesywną i jako taki krokiem wstecz, a nie naprzód, w pochodzie cywilizacyi. Jego fatalne skutki nie dadzą długo na siebie czekać, jak to zresztą było w czasie Rewolucyi. Autor żywi nadzieję, że

ten stan umysłów nie będzie trwały, nie utrzyma się na zawsze. Skoro złe strony wyjdą na jaw, skoro rozkład ujawni się w całej swej potędze, społeczeństwo kierowane tak samo jak jednostka, instynktem zachowawczym, zażąda energicznie zmiany. Należy ten moment uprzędzić i nagromadzić materiały, aby ówczesny prawodawca nie był zaskoczony z nienacka, lecz mógł się oprzeć na zebranych przykładach. Zadaniem powieściopisarzy i dramaturgów jest notować swoje spostrzeżenia, a takąż cegiełką ma być utwór Bourgeta. Problem bowiem posiada niezwykłą doniosłość, gdyż decyduje o losie ojca, matki i dzieci „trois facteurs primordiaux de tout groupement humain.“ Przepaść między tradycyjną Francją a młodą Francją rewolucyjną, powiększa się z dnia na dzień, lecz zwycięstwo pierwszej nie ulega wątpliwości.

Bracia Margueritte rozstrzygają tę sprawę w duchu wprost przeciwnym. Z zadowoleniem konstatują, że od chwili rozpoczęcia walki zrobiono poważny krok naprzód ku wyzwoleniu jednostki z więzienia i „piekła niedobranego małżeństwa.“ Szanując poglądy przeciwnika i nie wątpiąc o ich szczerości, dziwią się jednak, jak można wierzyć w tryumf starej Francji nad nową, w tryumf przeszłości nad przyszłością; dziwią się również, że w swych dążeniach biegunowo-różnych wychodzą z tego samego założenia. I dla nich monogamia jest ideałem cywilizowanego społeczeństwa, a rodzina jego podstawą, dla nich również: ojciec, matka i dzieci stanowią, w myśl formuły Bourgeta, „trzy pierworzędne czynniki każdej grupy ludzkiej.“ Jeżeli jednak jedna z tych istot jest znieważona w swych najistotniejszych prawach, tak że wspólne pożycie stało się niemożliwe, czyż to słusne lub użyteczne, aby ofiara cierpiała bez końca, poświęciła się na zawsze? Dla kogo i w imię czego? Dla dobra społecznego? Ależ społeczeństwo nie ponosi żadnej szkody; rozwód nie zagraża w niczem zgodnym małżeństwom, a co się tyczy złych, jakież pożytek dla społeczeństwa, aby je związać nierozzerwalnymi więzami. Interes dzieci? Dla ich dobra właśnie należy zezwolić na rozwód, aby nie miały przed oczyma złego przykładu, nieustannych waśni i kłótni, i umieszczone między złą matką lub wyrodnym ojcem nie nauczyły się nienawidzić jednego albo pogardzać drugą.

Powyższe zapatrywania oraz treściwy pogląd na obecny stan kwestyi rozwodowej, znajdziemy w książce, ogłoszonej temu kilka miesięcy p. t. „Kilka idei.“¹⁾ Zawiera ona również wiele przy-

¹⁾ Paul et Victor Margueritte: Quelques idées. Paris. 1905. (Plon) str. 355.

czynków, rzucających ciekawe światło na stosunki między Francją a Niemcami, na kwestyę Alzacyi i Lotaryngii i t. p., lecz to wychodzi po za obręb naszego studyum. Ogółem: książka bardzo użyteczna dla tych, którzy zajmują się dzisiejszym ruchem społecznym we Francyi.

Bracia Margueritte nie zadowolnili się książką teoretyczną, która zwykle ma niewiele czytelników; na romans Bourgeta należało odpowiedzieć dziełem przemawiającem wprost do wyobraźni i do uczuć, a nie do rozumu tylko, dziełem, któreby pod szatą dramatu narzucało tłumom te nowe idee. Takim utworem patetycznym jest „Serce i prawo,¹⁾ a jego powodzenie na deskach teatralnych nadspodziewanie wielkie, skłoni przeciwników do spróbowania tego samego środka. W ten sposób scena przemienia się w trybunę parlamentarną, albo salę sądową, tracąc powoli swój charakter właściwy: świątyni sztuki. Czy to ewolucya teatru, czy jego upadek? Przyszłość nam okaże, który z dwóch rodzajów weźmie górę. Na razie oba mają wybitnych przedstawicieli.

*

*

*

Wyłożyłem powyżej zapatrywania Bourgeta. Nie będzie może od rzeczy w tem miejscu omówić także jego najnowszy romans, zatytułowany „Dwie siostry²⁾ oraz kilka nowel zamieszczonych w tym samym tomie p. t. zbiorowym „Serce a zawód.“ Zwycię wady metody powieściopisarskiej autora: „Wrażenie z za morza“ nie zanikły jeszcze w tej książce; a więc przeładowanie akcji drobiazgowymi opisami, analiza doprowadzona do krańcowości, interesująca nie tyle przeciętnych czytelników, ile słuchaczy kursu psycho-fizjologicznego. Do wad zaliczyłbym również potęgający się od kilku lat element dydaktyczny i moralizatorski, który nie wypływa z akcji, ale ujawnia się w refleksjach autora, w ustępach czysto podmiotowych. Niekiedy Bourget przywiązuje szczególną wagę do jakiegoś drobnego wypadku i opisuje go

¹⁾ „Le coeur et la loi.“ Paris 1905 (le Grand Illustré théâtral). Jest to udratyzowana fabuła powieści „Les Deux Vies.“

²⁾ Les deux soeurs. Le coeur et le métier. Paris. 1905 (Plon-Nourrit), str. 366.

w tak uroczystym nastroju, iż zdaje nam się, że przemawia nadworny mistrz ceremonii; inną razą przybiera ton doświadczonego pedagoga, który z głębokiem przekonaniem wyklada uczniom nieomylność tej lub owej teoryi psychologicznej.

Pani Liébaut, jedna z bohaterek powieści, kobieta w kwiecie wieku, odprowadza swoją siostrę na dworzec kolejowy. Obie są podobne do siebie, jak dwie krople wody; należy to zachować w pamięci, bo na tem oprze się intryga. Z ich rozmowy dowiadujemy się, że starsza, poślubiwszy hrabiego Méris, wiodła życie nieszczęśliwe, że zniechęcona i zgryźliwa nie myśli powtórnie wejść w śluby małżeńskie. Natomiast młodsza, zadowolona ze swego losu, stara się wszelkimi siłami odwieść siostrę od tego postanowienia. W chwili gdy pociąg ma odjechać i obie kobiety po raz ostatni się żegnają, nadbiega młody oficer, na którego twarzy malowało się znużenie przebytych trudów. Na widok nieznanomych staje jak wryty. Zauważyła to pani Liébaut i usnuła na prędce plan doprawdy romantyczny, aby wyswatać siostrę za naszego bohatera. Na drugi dzień przyjaciel domu przyprowadza młodego człowieka — rzecz dzieje się w miejscowości kąpielowej, stąd łatwość zawiązania stosunków towarzyskich—i przedstawia go, jako uczestnika wyprawy Fachody do Egiptu: *Quand un jeune homme et une jeune femme qui gardent, entre eux deux, sans se connaître encore, le petit mystère d'un secret, même le plus innocent, sont confrontés de la sorte et avec aussi peu de préparation, les premiers mots prononcés par l'un et par l'autre revêtent une signification décisive. La voix, la simple voix de quelqu'un dont on a remarqué la physionomie accroit ou détruit d'un coup un intérêt naissant. Un geste y suffit, une attitude, trop ou trop peu d'aisance. Que Brissonnet eût eu seulement une allure ou très assurée ou très empruntée, qu'il eût émis d'un timbre déplaisant quelque phrase ou prétentieuse ou banale, et le fragile échafaudage de l'édifice sentimental construit en imagination par la cadette pour y abriter le futur bonheur de son ainée s'écroulait* (str. 49). Domyślamy się, jaki jest plan pani Liébaut: rozkochać oficera w sobie, a potem podstawić swoją siostrę. Naiwność zdumiewająca! To też łatwo przewidzieć, obrót tej intrygi. Brissonnet pokocha Magdalенę, a gdy w kilka tygodni potem pozna starszą o rok siostrę, serce jego nie będzie już wolne. W tem nie byłoby jeszcze nic nadzwyczajnego, ale niepewność nas ogarnia, gdy autor każe bohaterce żywić gorętsze niż powinna uczucia, dla przyszłego szwagra. Z dwojga jedno, albo pani Liébaut jest ową idealną kobietą, idealną żoną i matką, jaką autor przedstawia, lub

przedstawić usiłuje, albo jest lekkomyślną istotą. Ta niezgodność między fizyognomią duchową bohaterki a jej czynami, uderza nas nieraz i trąci wprost paradoksem, kiedy Bourget zapewnia, że Magdalena nie czytywała nigdy książek, bo intrygi romansowe wydawały jej się wobec chimerycznych marzeń własnej fantazyi—zimnymi, prozaicznymi pomysłami, a zarazem dodaje, że ta mazurek nieczytelna nigdy nie próżnowała, zajmując się ręczną robótką np. sporządzaniem sukienki dla córki i t. p. Wspomnę zaś nawiasowo, na co również Bourget zwraca uwagę, że miała sto pięćdziesiąt tysięcy rocznej renty. Te drobne niekonsekwencye nie szkodzą oczywiście piękności utworu, który się czyta ze wzrastającym interesem, zwłaszcza patetyczny koniec.

HENRYK REINHOLD.

Współczesne znaczenie OBSERWACYI ZAĆMIEN SŁOŃCA.

Zaćmienia słońca, podobnie jak zaćmienia księżyca, należą do zjawisk znanych od czasów najdawniejszych. Spotykamy o nich wzmianki w najstarszych kronikach i zabytkach piśmiennictwa. Wiadomo, że kolebką astronomii była Babilonia i Chaldea i że Chaldejscy kapłani, którzy przez liczne wieki obserwowali pilnie bieg światła niebieskich, na podstawie swych spostrzeżeń odkryli okres, w którym zaćmienia słońca lub księżyca się powtarzają. Okres ten, zwany „caros“, obejmujący 18 lat i 11 dni, dawał im możliwość przepowiadania zaćmień na przyszłość. Tajemnica tych przepowiedni przeniosła się później do Egiptu, Grecji i Rzymu i często była wyzyskiwaną w tym celu, aby w tłumach budzić uległość i poszanowanie dla stanu kapłańskiego.

Okres chaldejski pozwala wszakże przewidzieć tylko, że zjawisko wogóle zajdzie. Nie pozwala on na oznaczenie dokładnego czasu, ani miejsca zjawiska. Dokładna znajomość ruchów ziemi i księżyca pozwala dzisiaj z wszelką żądaną dokładnością obliczać zaćmienia na dowolny okres czasu naprzód i wstecz. Wielki „Kanon zaćmień“ Oppolzera obejmuje wszystkie zaćmienia słońca od r. 1206 przed N. Chr. do r. 2163 naszej ery w liczbie 5200 wraz z przebiegiem pasa całkowitości na powierzchni ziemi. Wskutek tego wiadomości starożytne o zaćmieniach mają pierwszorzędne znaczenie w badaniach chronologicznych, gdyż epoki, w których w danym miejscu było widzialnem zaćmienie, dadzą się ściśle określić współczesnym rachunkiem. Szczególnie całkowite zaćmie-

nia słońca, które dla danego miejsca są zjawiskiem rzadkiem, określają epokę z zupełną dokładnością.

Ale i dla astronomii wzmianki owe posiadają znaczenie nie małe, ponieważ zastępują one poniekąd obserwacje dokładne położenia słońca i księżyca, których z tak odległych epok nie posiadamy. Na podstawie starożytnych zaćmień wywnioskowano o istnieniu t. zw. wiekowego przyspieszenia ruchu księżyca, które nie znajduje teoretycznego uzasadnienia w działaniu mas, wywierających wpływ na ruchy księżyca. Jeżeli przyjąć, że prawo Newtona jest ściśle i niezmienne, to dla wyjaśnienia tego przyspieszenia pozostaje tylko jedna hipoteza, mianowicie, że owe przyspieszenie jest tylko pozorne, a rzeczywistą jego przyczyną jest powolne wzrastanie długości doby. Wiekowe przyspieszenie księżyca jest bardzo małe i dla wyjaśnienia jego wystarczy przyjąć przedłużenie doby o $\frac{1}{1000}$ sekundy na 100 lat. Zmniejszanie się szybkości obrotu ziemi, tłumaczy się działaniem słońca i księżyca na ziemię, które powoduje deformację jej kształtu, bezpośrednio dostępne dla obserwacji w przyptywach i odpływach oceanów.

Jako zjawiska niecodzienne i bardzo efektowne, a przytem dokładnie z góry przepowiadane, zaćmienia zawsze wzbudzały ciekawość powszechną, ale nie miały większego znaczenia dla nauki. Aż do połowy wieku XIX-go obserwacje astronomów ograniczały się do dokładnego określenia momentów początku i końca zaćmienia (kontaktów), a służyły one za materiał do ściślejszego wyznaczania pewnych stałych, występujących w teoriach ruchu słońca i księżyca, a więc do poprawki tablic astronomicznych. Później, gdy wydoskonalone zostały metody obliczania przebiegu zaćmienia słońca na powierzchni ziemi, obserwacje kontaktów użytkowane były do wyznaczania długości geograficznej miejsc obserwacji.

Takie obserwacje kontaktów i dzisiaj jeszcze bywają robione, a przy zaćmieniach częściowych właściwie nie wiele co więcej zrobić można. Znaczenie tych obserwacji dzisiaj jest niewielkie, wobec tego, iż bezpośrednie obserwacje położenia słońca i księżyca są o wiele dokładniejsze, a i do wyznaczania długości istnieją dziś metody nader ściśle; pomimo to pewnego pożytku tym obserwacjom odmówić nie można.

Astronomia dawniejsza uważała za główny cel swój badanie ruchów ciał niebieskich — kwestye astrofizyczne wobec braku metod badania mogły stanowić tylko temat spekulacji filozoficznych. Pomimo to nie uszły uwagi baczniejszych spostrzegaczy niektóre zjawiska, występujące w czasie całkowitych zaćmień

słońca. Tak np. o koronie wspomina już Plutarch, a Kepler, opierając się na dostępnych mu opisach tego zjawiska, wywnioskował już, że korona ta powstaje przez odbicie promieni słonecznych w atmosferze, otaczającej słońce lub księżyc. Tak samo dokładny rozbiór dawnych opisów zaćmień słonecznych pozwala wnioskować, że nie uszły uwagi też wysoki ogniste słońca czyli, t. zw. protuberancje, a dosyć szczegółowy opis tych utworów podał profesor szwedzki Vasseniusz, który obserwował całkowite zaćmienie słońca w dn. 2 maja 1733 r. w Goteborgu. Na szczegóły te jednakowoż nie zwracano uwagi, uważając je za podrzędne akcesoria. Dopiero wiek XIX umiał pojąć pierwszorzędne znaczenie właśnie tych „akcesoryów,” jako klucza do zbadania budowy fizycznej słońca.

Astronomowie pierwszej połowy XIX wieku nic nie wiedzieli ani o koronie, ani o protuberancyach. Gdy więc w r. 1842 d. 8 czerwca liczni obserwatorowie obserwowali zaćmienie, którego pas całkowitości przebiegał przez południową i środkową Europę, wspaniała korona oraz dwa różowe wysoki na brzegu czarnej tarczy księżyca obudziły powszechną sensację. Istota tych utworów była całkiem tajemniczą i przypuszczenia w tym względzie były podzielone. Jedni uważali je za zjawisko czysto optyczne, powstające skutkiem dyfrakcji promieni słonecznych przy brzegu księżyca, inni nie odmawiali im charakteru materialnego, ale nie wiedzieli, czy to są utwory słoneczne czy też księżycowe. Rozstrzygnięcie tych kwestyj miało znaczenie ważne, gdyż sprawa atmosfer słońca i księżyca już wówczas zajmowała badaczy, a co do ostatniej, to z obserwacji party gwiazd przez księżyc wywnioskowano, że niema na księżycu atmosfery.

Ale kwestye te mogły być rozstrzygnięte dopiero w ciągu następnego zaćmienia. Oczekiwano więc go też niecierpliwie i już z gotowym programem. Następane więc zaćmienie z 28 lipca 1851 r., widzialne w północnej Europie, było pierwszym, które miało wyświetlić pewne kwestye z góry przewidzianym sposobem. Chodziło o stwierdzenie najpierw, czy korona i protuberancje są utworami materialnymi czy też tylko zjawiskiem optycznym; w tym ostatnim wypadku z innych miejsc powinnyby się one przedstawiać rozmaicie. Dalej, jeżeli to są utwory materialne, to czy są one trwałe i niezienne, czy też ulegają zmianie z biegiem czasu; należało więc dokładnie zaobserwować kształt korony oraz położenie protuberancji i porównać z obserwacyami z r. 1842. Wreszcie należało stwierdzić, czy to są utwory słoneczne, czy księżycowe, a więc zauważyć, czy posuwają się one wraz z księżycem,

czy też księżyc, przesuając się po tarczy słonecznej, zakrywa je z jednej strony, a odkrywa z drugiej. W istocie wszystkie te kwestye udało się wyjaśnić. Korona i protuberancje wystąpiły i tym razem, ale co do kształtu korona różniła się znacznie od korony r. 1842, a protuberancje wystąpiły w całkiem innych miejscach; obserwacje, dokonane w różnych miejscach, wykazały dostateczną zgodność tak co do wyglądu korony i protuberancji, jak i co do kwestyi, że księżyc przesuwa się względem protuberancji i korony. Wynik spostrzeżeń więc był ten, że korona i protuberancje sa utworami, należącemi do słońca, ale występującemi w zmiennej postaci.

W czasie tego zaćmienia zauważono nowy ważny szczegół. Mianowicie całą tarczę księżyca otaczał wążki różowawy pierścień a protuberancje przedstawiły się tylko, jako deformacje tego pierścienia. Tę ciekawą zewnętrzną warstwę słońca, widzialną tylko w czasie całkowitych zaćmień, nazwano chromosferą.

Aczkolwiek sprawa przynależności korony i protuberancji do słońca była rozstrzygnięta, to przecież jeszcze znaleźli się przeciwnicy, którzy twierdzili, że w ciągu kilku minut trwania zaćmienia zbyt trudno jest stwierdzić stanowczo przesuwanie się księżyca po protuberancjach, i że spostrzeżenia tego rodzaju zbyt są zależne od wrażeń subiektywnych. Należało jeszcze dać całkiem obiektywny dowód prawdziwości owych spostrzeżeń. W tym czasie rozpoczął się dość szybki rozwój fotografii, i nawet już podczas zaćmienia r. 1851 po raz pierwszy, acz bez uwagi godnego wyniku — starano się otrzymać zdjęcie dagerotypowe korony. Gdy 18 lipca 1860 r. znowu przypaść miało zaćmienie słońca, sztuka fotograficzna była już tak dalece udoskonalona, iż zamierzano wyzyskać ją na szerszą skalę w celu możliwie dokładnego uchwycenia wszystkich szczegółów zaćmienia. W tym celu dwaj tak wytrawni badacze, jak Secchi i Warren de la Rue, udali się do Hiszpanii, przez którą pas całkowitości przebiegał, i wraz ze swemi przyrządami zajęli stanowiska o 55 klm. od siebie odległe, z których zdjęli jednocześnie szereg fotografii zaćmionego słońca. Fotografie, jednocześnie dokonane, wykazały zupełną identyczność w postaci korony i protuberancji, szereg zaś zdjęć, dokonanych w kolejnych momentach zaćmienia wykazał wyraźnie ruch księżyca po koronie i protuberancjach; w ten sposób niezbiemie przynależność tych okresów do słońca stwierdzoną została.

Natura tych dodatków słonecznych była zupełnie nieznaną. Pierwsza narzucająca się myśl była ta, że korona jest to atmosfera słoneczna, a protuberancje — to chmury, tworzące się w tej

atmosferze. Co do protuberancji, to nadzwyczaj szczupły materiał obserwacyjny nie pozwalał jeszcze na jakiegokolwiek porównywanie ich z chmurami ziemskimi; natomiast pomiędzy koroną słoneczną a atmosferą ziemską zauważono od razu wybitne różnice. Pierwszą taką różnicę stanowiła rozległość korony, której odgałęzienia sięgały na olbrzymią rozległość — większą niż średnica słońca — od tarczy słonecznej. Dalej, rozkład jasności w koronie nie był takim, któryby wskazywał, że gęstość tej atmosfery wzrasta w warstwach bliższych powierzchni słońca. Wreszcie różne szczegóły skłaniały do wniosku, że światło korony nie jest tylko odbitem światłem słonecznym, gdy z drugiej strony obserwacje Prazmowskiego w czasie zaćmienia r. 1860 w Hiszpanii stwierdziły, że korona po części świeci odbitem światłem słonecznym.

Powstał, jak widzimy, cały szereg zagadnień, których rozwiązanie mogło być osiągnięte tylko przez obserwacje zaćmienia słońca. A dziwnym zbiegiem okoliczności na ową epokę przypadają badania Bunsena i Kirchhoffa nad znaczeniem linii ciemnych, występujących w widnie słońca. Wynikiem tych badań było powstanie nadzwyczaj płodnej w wyniki metody badania—analizy widmowej. W czasie najbliższego zaćmienia słońca metoda ta miała być zastosowaną do zbadania natury protuberancji słonecznych.

Pierwszy raz spektroskop został zastosowany do badania tych utworów w czasie zaćmienia dn. 18 sierpnia 1868 r., które przebiegało przez półwyspy południowej Azji i trwało wyjątkowo długo, bo 5 m. 38 sek. Udało się tam kilka ekspedycji angielskich i francuskich, którym kwestye natury protuberancji powiodło się pomyślnie zbadać. Stwierdzono, że widmo protuberancji składa się z kilku oddzielnych jasnych linii, z których z całą pewnością zdołano tylko poznać linie wodoru. Prócz tego zauważono jasną linię żółtą, w bliskości znanych linii sodu; ale wobec trudności dokładnego pomiaru nie można było stanowczo określić pochodzenia tej linii. Bądź co bądź wynik był nader ważny, dowiedziano się bowiem, że protuberancje są to twory guzowe, w głównej mierze złożone z rozżarzonego wodoru. Co do linii żółtej, to dopiero późniejsze pomiary dokładne wykazały, że należy ona do pierwiastka, nieznanego na ziemi, który nazwano helium. Otrzymano też parę fotografii i rysunków korony, która wyglądem znacznie różniła się od korony r. 1860.

Jednym z najważniejszych wyników tego zaćmienia było spostrzeżenie Janssena, iż rozszerzając szczelinę spektroskopu, można otrzymać całkowite obrazy protuberancji w świetle tej długości fali, którą posiadają oddzielne linie ich widma, i że jasność tych

obrazów jest tak wielką, iż można je widzieć nawet w zwykłym czasie. Dzięki temu spostrzeżeniu protuberancje przestały być zjawiskami ściśle zaćmieniowymi i stały się przedmiotem codziennych badań. To też wkrótce zdołano zebrać olbrzymi materiał obserwacyjny, który pozwala nam głębiej poznać przyrodę tych ciekawych utworów i związek ich z innymi szczegółami budowy fizycznej słońca.

To, co w r. 1868 zrobiono dla protuberancji, należało teraz zrobić dla korony. t. j. dowiedzieć się, w jakim znajduje się stanie skupienia i z jakich pierwiastków się składa. Uczyniono to w czasie następnego zaćmienia, które zaszło w d. 7 sierpnia 1869 roku i widziane było w Ameryce Północnej oraz na oceanie Spokojnym. Zauważono, że widmo korony ma charakter podwójny: że jest to słabe widmo ciągłe, na którym występuje kilka jasnych linii. Wynikałoby stąd, że korona składa się z drobnych cząsteczek stałych, prawdopodobnie rozżarzonych, pogrążonych w warstwie rozżarzonych pasów. Najjaśniejszą z linii jasnych była linia, odpowiadająca w widmie słonecznym ciemnej linii, oznaczonej przez Kirchhoffa liczbą 1474 i należącej do żelaza. Wynik ten był nader nieoczekiwany. Wiadomo bowiem, że widmo żelaza zawiera parę tysięcy linii; jeżeli więc w istocie, w widmie korony z tych wszystkich linii występuje tylko jedna, to pory żelaza w koronie musiałyby się znajdować w jakimś stanie, o którym nie można było wytworzyć sobie należytego pojęcia. Dopiero później, gdy widmo korony udało się odfotografować i dokładnie wymierzyć położenie najjaśniejszej linii, przekonano się, że nie jest to linia żelaza, lecz bardzo bliska linia nieznanego pierwiastku, który nazwano „koronium.“

Jednocześnie z widmem protuberancji i korony starano się zaobserwować widmo emisyjne t. zw. warstwy odwracającej, t. j. tej warstwy, w której znajdują się pierwiastki, powodujące powstanie ciemnych linii fraunhoferowskich. Obserwacja taka udała się poraz pierwszy Yosengowi w czasie następnego zaćmienia 22 grudnia 1870 r. Widmo to zabłysło na sekundę i sprawiło wrażenie, iż wszystkie linie Fraunhofera odwróciły się, t. j. stały się jasnymi. Dokładne badanie widma warstwy odwracającej, które ma dla fizyki słońca olbrzymie znaczenie, stało się możliwe dopiero wówczas, kiedy zdołano otrzymać fotografię tego widma. Udało się to po raz pierwszy Schaeberlemu na Nowej Ziemi w czasie zaćmienia dn. 8 sierpnia 1896 r., a od tego czasu otrzymano liczne zdjęcia, które służą za podstawę badań nad uwarstwianiem pierwiastków w atmosferze słońca.

Gdybyśmy tak, idąc dalej, kolejno brali pod uwagę wszystkie zaćmienia słońca aż do czasów ostatnich, zawsze można by przytoczyć pewne kwestye, dla których zbadania głównie miało być dane zaćmienie wyzyskanem. W tym celu przed zaćmieniem były opracowywane metody obserwacyi i odpowiednie środki instrumentalne przygotowywane. Zazwyczaj też otrzymywano doniosłe przyczynki do rozwiązania postawionych zagadnień, ale też z drugiej strony otrzymywano wyniki nieoczekiwane, które zagadnienie wikały, albo też powoływały do życia inne kwestye, dotąd nie brane pod uwagę. Kwestye te, oczywiście, stoją w najściślejszym związku z budową fizyczną słońca, której badanie systematyczne dotyczy tylko tych zjawisk, do których obserwacyi zaćmienie słońca nie jest potrzebnem. Ale ponieważ ogólny rozwój naszych pojęć o budowie słońca wymaga współzrędnego traktowania wszystkich zjawisk słonecznych, a więc i zjawisk tylko w czasie zaćmień dostrzegalnych, więc rozwój ten nie jest ciągły, lecz odbywa się skokami, a podskoki owe przypadają na epoki zaćmień słońca. W tych krótkich chwilach, które w sumie od czasu poznania ich doniosłości, nie wiele więcej niż jedną godzinę wynoszą, powstał olbrzymi materiał obserwacyjny, który we wszystkich teoriach budowy słońca szczegółowo uwzględniony być musi — na równi ze wszystkimi systematycznymi spostrzeżeniami normalnego czasu.

Olbrzymie znaczenie posiadały zaćmienia słońca, dając impuls do powstawania i doskonalenia się metod obserwacyi, pomimo licznych niepowodzeń i zawodów. Więc przedewszystkiem dosyć szybko wydoskonalone zostały metody fotograficzne w zastosowaniu do zaćmień. Wspaniałe fotograficzne obrazy korony otrzymano jeszcze w latach 1871 i 1878, a otrzymane w r. 1882 były już tak doskonałe, iż na tem polu nie wiele więcej już później osiągnąć się dało. Później tylko jeszcze osiągnięto tyle, że otrzymano obrazy korony w coraz większych rozmiarach, a więc z liczniejszymi szczegółami, oraz fotografię korony zewnętrznej, sięgającą niekiedy bardzo daleko, przez zastosowanie długiej (kilkominutowej) ekspozycyi. Z obrazów, w ten sposób otrzymanych, wywnioskowano wkrótce, iż postać korony zmienia się peryodycznie w okresie 11-letnim i że epokom minimum i maximum plam słonecznych odpowiadają zawsze określone typy korony. Obecnie dla każdego zaćmienia można ogólny kształt korony z góry przewidzieć.

Z większemi trudnościami połączone było fotografowanie widma korony z powodu jego małego natężenia świetlanego. Do-

piero w r. 1882 otrzymano po raz pierwszy widmo korony za pomocą spektroskopu ze szczeliną; znaleziono w tem widmie około 30 linii jasnych, z których najwybitniejszą jest linia 1474. Później przekonano się, że natężenie tej linii zmienia się wraz z kształtem korony; zmienia się również ciągły podkład widma: jest on najsilniejszy w epokach minimum plam słonecznych, linia zaś koronium jest wówczas najsłabszą; stosunek odwrotny zachodzi w epokach maximum. W r. 1882 zaszedł ciekawy fakt odfotografowania komety, która w czasie zaćmienia znajdowała się wewnątrz korony słonecznej. Kometę tę obserwowano też później i stwierdzono, że droga komety, skutkiem przejścia przez koronę, nie wykazała śladu zaburzeń. W ten sposób znalazło silne poparcie przypuszczenie, że korona składa się z substancji nadzwyczaj rzadkiej której opór, nawet przy tak olbrzymiej szybkości, jaką kometa posiada w bezpośredniem sąsiedztwie słońca, jest minimalny. Jak już wspomnieliśmy, widmo warstwy odwracającej odfotografowano dopiero w r. 1896 przy zastosowaniu pryzmatu samego, umieszczonego przed obiektywą lunety, a szczelinę spektroskopu zastąpił sam wąziutki snop słońca w chwili, poprzedzającej moment całkowitości.

Jedno z ważniejszych zadań w czasie całkowitych zaćmień słonecznych stanowiło też poszukiwanie planety intermerkuryalnej od czasu, kiedy o istnieniu jej wywnioskował Leverrier na podstawie pewnych zaburzeń ruchu Wenerę. Poszukiwania te miały swój punkt kulminacyjny w czasie zaćmienia r. 1878, i zdawało się, że zostały one uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż widziało ową planetę niezależnie od siebie kilku astronomów. Ale od tego czasu nikt jej odszukać nie był w stanie, tak, że zwątpiono prawie o jej istnieniu, kładąc obserwacje r. 1878 na karb jakiegoś nieporozumienia. Pomimo to sprawa planety intermerkuryalnej dotąd stanowi stały punkt programu obserwacyj w czasie zaćmienia.

W tym krótkim przeglądzie chodziło nam tylko o to, aby dać pojęcie o najważniejszych zadaniach obserwacji zaćmień. Poza tem spostrzeżenia te dotyczą najrozmaitszych przedmiotów z dziedziny fizyki kosmicznej, których samo wyliczenie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Przechodząc do epoki dzisiejszej, zaznaczamy, że najważniejszymi zagadnieniami astronomii zaćmień i dziś pozostały te, które dotyczą zjawisk ściśle zaćmieniowych, t. j. tych, które tylko w czasie zaćmień badane być mogą. Są niemi przedewszystkiem korona słoneczna i warstwa odwracająca.

Co do korony, to stwierdzono jej materyalność, i poniekąd jej skład chemiczny, ale istota zjawiska, stosunek jego do słońca i związek z innymi zjawiskami słonecznymi—pozostały niewyjaśnione. Wszyscy się zgadzają na to, że nadzwyczajna jej rzadkość, jej rozmiary, zmienny kształt i dziwna budowa promienista, nie pozwalają uważać jej za atmosferę słońca w znaczeniu pospolitem t. j. za powłokę gazów, której warstwy wyższe wywierają ciśnienie na warstwy niżej położone, skutkiem czego gęstość ku dołowi szybko wzrastać musi i wiruje wraz ze słońcem. Ten drugi punkt nie został jeszcze należycie zbadany, t. j. nie zdołano jeszcze z całą ścisłością stwierdzić, że korona nie bierze udziału w ruchu wirowym słońca.

Co do kształtu korony, to stwierdzono, że zmienia on się nieustannie, przyczem zmiany są w związku z ilością plam na słońcu; wynika stąd, że przyczyna zmian korony leży w warunkach fizycznych słońca, a nie zewnątrz słońca. Ale nie udało się stwierdzić dotychczas, czy oprócz owych zmian powolnych w okresie 11 letnim, nie zachodzą też jakieś zmiany szybkie, świadczące, iż korona nawet w tak krótkim czasie trwania zaćmienia, nie znajduje się w stanie równowagi. A jeżeli materya korony jest ruchomą, to w jakim kierunku i pod działaniem jakich sił ruch się odbywa. Jest to pytanie nader ważne, szczególnie ze względu na dzisiejsze poglądy na ciśnienie, wywierane przez promienie światła; ponieważ istnienie takiego ciśnienia jest stwierdzone, więc jest rzeczą prawdopodobną, iż korona słoneczna składa się z drobnych cząsteczek materyi słońca, wyrzucanych w przestrzeń przez promieniowanie słońca.

Trzecie zagadnienie, dotyczące korony, jest może dla postępu wiedzy najważniejsze. Od chwili, gdy zastosowanie szerokiej szczeliny przy spektroskopie pozwoliło na obserwację protuberancyj w każdej chwili, powstały też dążenia wynalezienia sposobu, któryby umożliwił badanie korony w każdym czasie — nietylko podczas całkowitych zaćmień. Wszystkie jednakowoż próby i usiłowania, zmierzające do tego celu, dotychczas nie przyniosły pożądanego wyniku. Zdaje się wszakże, iż obecnie znajdujemy się w przededniu tego odkrycia. Chodzi mianowicie o wykrycie w świetle korony takich przemian, które miałyby natężenie silniejsze, aniżeli światło odbite atmosfery. Są wskazówki, że istnieją takie promienie w części przedczerwonej widma korony słonecznej. Jeżeli takie promienie w istocie istnieją, to działając tymi tylko promieniami na odpowiednią kliszę fotograficzną, można by otrzymać fotografię korony w każdym czasie.

Drugi przedmiot, którego badanie tylko w czasie zaćmienia jest możliwe, jest warstwa odwracająca. Wiadomo, z czego składa się ta warstwa — mówią nam o tem ciemne linie widna słonecznego. Wiadomo też, że warstwa ta jest bardzo cienka, bo zaledwie przez kilka sekund przed całkowitem zaćmieniem i przez tyleż po zaćmieniu widzialne jest jej widno emisyjne, t. j. z jasnych prążków utworzone. Ale jest rzeczą nader ważną dowiedzieć się, czy pary pierwiastków, z których się ta warstwa składa, są pomieszane ze sobą w jakimś stosunku stałym, jak np. tlen i azot w atmosferze ziemskiej, czy też wysokości, do których sięgają różne pierwiastki, są różne, i czy jest jakiś związek pomiędzy temi wysokościami a własnościami pierwiastków. Gdyby np. stwierdzono, że w warstwie odwracającej, pierwiastki cięższe sięgają do mniejszych wysokości, aniżeli lekkie, to możnaby nieobecność pierwiastków o znaczniejszym ciężarze atomowym w atmosferze słonecznej, uważać tylko za pewną; pary tych pierwiastków bowiem, zajmując dolne warstwy atmosfery słońca, podlegałyby musiał tak wielkiemu ciśnieniu, iż dawałyby widno ciągłe — a to, jak wiadomo, jest dla wszystkich ciał jednakowe.

W tych kwestyach rozstrzygającą odpowiedź dają fotografie widna brzegu słońca, ale widna, otrzymanego bez spektroskopu ze szczeliny, lecz wprost za pomocą pryzmatu, umieszczonego pod obiektywą lunety, przyczem szczelinę zastępuje sam wąziutki sierp słońca, nie zakryty przez tarczę księżyca. Widno warstwy odwracającej składa się wtedy nie z szeregu linii jasnych, lecz z szeregu takichże sierpów. Ale sierpy te mają długość rozmaitą: im wyżej ponad fotosferę sięgają pary jakiegoś pierwiastku, tem dłuższe są sierpy, odpowiadające owemu pierwiastkowi.

Ostatnie zaćmienia, poczynwszy od r. 1898, dostarczyły już do badań powyższych obfitego materiału obserwacyjnego, ale materiał nie jest dostateczny i metoda otrzymania spektrogramów warstwy odwracającej wymaga coraz większego udoskonalenia. Chodzi o to, aby otrzymywać coraz krótsze sierpy, a więc odkrywać warstwy coraz głębsze, przylegające do fotosfery bezpośrednio. Należy w tym celu fotografować widno w chwili, gdy brzeg fotosfery i brzeg księżyca wzajemnie się pokrywają — a moment ten z góry z powodu nieznaney grubości warstwy odwracającej, określić się nie da; trzeba więc starać się utrafić na ten moment, zdejmując jaknajwiększą liczbę spektrogramów w jaknajkrótszych odstępach czasu.

Łączą się z temi badaniami niektóre zagadnienia natury czysto chemicznej. Tak, naprzykład, niektóre sierpy wodoru mają

długość rozmaitą, z czego możnaby wnioskować, że wodór, znajdujący się w warstwach wyższych, posiada widmo mniej złożone, aniżeli wodór warstw niższych, albo nawet, że wodór w atmosferze słonecznej nie zachowuje się, jako pierwiastek, lecz podlegać może rozkładowi na jakieś ciała prostsze. To samo dotyczy żelaza i niektórych innych pierwiastków. Do stanowczych twierdzeń materiałów dotychczasowy jeszcze nie wystarcza.

Dalszą kwestyą pierwszorzędą dla poznania budowy wewnętrznej słońca jest zbadanie prawa ruchu wirowego słońca i wyjaśnienie związku owego prawa z innymi zjawiskami słonecznymi. Wiadomo, że okres obrotu słońca dokoła osi otrzymujemy rozmaity, zależnie od szerokości heliograficznej plam, na podstawie których okres ów określamy. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że tarcie jednych warstw słońca o drugie powoduje, iż słońce nie wiruje jako bryła sztywna, t. j. we wszystkich swych punktach z jednakową szybkością kątową, lecz że warstwy zewnętrzne w swym ruchu wirowym pozostają po za wewnętrznymi. Niestety, w głąb bryły słonecznej nie mamy możliwości przeniknąć, granicę stanowi powierzchnia fotosfery, w warstwach zaś ponad fotosferą leżących różnice szybkości ruchu w różnych głębokościach nie mogą być wielkie. W każdym razie różnice długości fali linii pierwiastków, występujących w różnych głębokościach, dają możliwość wykrycia różnic szybkości. Są to przecież badania bardzo zawile ze względu na inne wpływy, mogące również powodować zmiany długości fali. Dodamy nawiasem, że badania te znajdują się w ścisłym związku z niewyjaśnionem dotychczas zjawiskiem nieciągłości, występującem na brzegu słońca, gdzie warstwa odwracająca i protuberancje, dające widmo liniowe, spotykają się bezpośrednio z jaskrawo świecąca fotosferą, dającą widmo ciągłe. Ze zaś o gazowej naturze słońca z innych względów wątpliwości mieć nie można, więc należałoby sądzić, iż zmniejszanie się gęstości w miarę oddalania się od środka słońca powinno się odbywać stopniowo, bez tak jaskrawego skoku, jaki w istocie zachodzi. Starano się objaśnić tę sprzeczność, przyjmując, iż ta nieciągłość jest tylko optyczna, pomimo ciągłości materialnej, a przyczyną jej jest refrakcyja promieni, wychodzących z warstw o wiele głębszych.

Z innych ważniejszych kwestyj, które dotychczas wchodziły zawsze w program obserwacyj zaćmieniowych, wymienić należy poszukiwanie planety intermerkuryalnej. Poszukiwania te dzisiaj czynią się w ten sposób, iż za pomocą przyrządów krótkoogniskowych, obejmujących bardzo rozległe pole widzenia, przy mo-

zliwie jaknajdłuższej ekspozycji, fotografuje się niebo w otoczeniu słońca. W czasie zaćmienia w r. 1902 otrzymano w ten sposób prawie wszystkie gwiazdy aż do 9-ej wielkości na przestrzeni około 200 stopni kwadratowych—ale pośród nich planety nie było. Teraz chodzi o to, aby objąć jeszcze większą część nieba i gwiazdy jeszcze mniejsze, 10-ej lub 11-ej wielkości. Dzisiaj da się tylko powiedzieć, że jeżeli intermerkuryalna planeta istnieje, to przedstawia się ona najwyżej, jako gwiazda 9-ej wielkości; ale tak drobne ciało nie wystarczałoby, aby miało powodować te zaburzenia, które działaniem jego starano się objaśnić. I jest rzeczą możliwą, że zamiast jednej znacznej planety, odkryje się cały rój drobnych planet, podobnych do owych planetek, które w tak wielkiej liczbie krążą między Marsem a Jowiszem.

Wszystkie wyżej przytoczone zagadnienia, oraz wiele jeszcze innych, które wymieniać szczegółowo, byłoby rzeczą zbyt trudną, stanowiły przedmiot badań także w czasie ostatniego całkowitego zaćmienia słońca, które zaszło w dniu 30 sierpnia 1905 r. Warunki obserwacji tego zaćmienia były bardzo korzystne z rozmaitych powodów, tak że można było spodziewać się doniosłych wyników. Pewną okolicznością dodatnią było to, że pas całkowitego zaćmienia na lądzie w całości prawie przypadał w miejscach łatwo dostępnych i zaludnionych przez narody cywilizowane, gdzie badacze mieli zapewnione bezpieczeństwo, i z łatwością liczyć mogli na pomoc mieszkańców. Początek pasa całkowitości znajdował się w bliskości jeziora Winnipeg w Kanadzie, a strefa całkowitości biegła przez Kanadę, ocean Atlantycki, Hiszpanię, Baleary, morze Śródziemne, Algier, Tunis, Tripolis, Egipt, morze Czerwone, półwysep Arabski. Prawie środkowa część owego pasa znajdowała się w Europie, gdzie więc zaćmienie zaszło około południa, t. j. przy najwyższym położeniu słońca nad poziomem. Jest to okoliczność również nader ważna, gdyż w tej wysokości refrakcja i, co jeszcze ważniejsze, absorbcya atmosferyczna jest bardzo nieznaczna, skutkiem czego można było mieć uzasadnioną nadzieję, że dadzą się zaobserwować dalsze, niż przy niższym położeniu słońca, części korony oraz drobniejsze gwiazdy. Dalej zaćmienie trwało dosyć długo, i znowu najdłuższy czas trwania wypadł w Europie, sięgając w Hiszpanii 3 min. 45 sek. A wreszcie letnia pora roku zdawała się gwarantować na stacyach europejskich i afrykańskich piękną pogodę, która jest najpierwszym koniecznym warunkiem udania się obserwacji.

Wszystkie wymienione względy miały ten skutek, iż wyjątkowo wielka liczba astronomów wzięła udział w obserwacji osta-

tniego zaćmienia. Prawie wszystkie narody cywilizowane miały tam swoich przedstawicieli, liczne ekspedycje zbiorowe, wzorowo zorganizowane, wyposażone w doskonałe przyrządy, zostały wysłane przez rządy i ciała naukowe. Tak np. Stany Zjednoczone i Francja miały po 6 ekspedycji, Anglia 4, Niemcy, Rosja, Włochy po 3 i t. d. Naturalnie, co do rozmiarów i wyposażań różne ekspedycje różniły się bardzo. Jedną z największych była niewątpliwie angielska ekspedycja Lockyera, która usadowiła się w mieście Palma na wyspie Majorce. Składała się ona z dziewięciu astronomów fachowych, specjalny okręt *Venus* przeznaczony został do transportu przyrządów, a około 150 osób załogi, z oficerami na czele, brało udział w instalacji i montowaniu przyrządów oraz miało wykonywać różne czynności pomocnicze w czasie zaćmienia. Dodamy tu zaraz, że wyniki tej ekspedycji bynajmniej nie dorównały oczekiwaniu, a to z powodu chmur, które prawie całkowicie udaremniły obserwację. Prócz ekspedycji zbiorowych tysiące amatorów astronomii lub też zwykłych turystów na własną rękę podążyło ku strefie zaćmienia i zajęło pozycje wzdłuż całego prawie pasa całkowitości, aby przyjrzeć się niezwykłemu zjawisku. A nie ulega kwestyi, że nawet spostrzeżenia laików mogą posiadać ważne znaczenie naukowe, wobec tego, że astronomowie, biorący udział w obserwacji, zmuszeni są skupić swoją uwagę w pewnym określonym kierunku, czy to z powodu wyznaczenia im pewnych czynności przez zwierzchnika, czy to ze względu na przedmiot, który sobie za cel badania obrali. Znam astronoma, który brał udział w trzech ekspedycjach zaćmieniowych, a nie miał czasu nawet pobieżnie rzucić okiem na zaćmione słońce, gdyż uwaga jego była skoncentrowana na dokładne wykonanie całego szeregu mechanicznych czynności przy narzędziach.

Co do wymienionych wyżej zagadnień głównych, przytoczymy niektóre szczegóły, dotyczące metod, zastosowanych w czasie ostatniego zaćmienia. Pierwsza, oparta na zasadzie Dopplera, według której linie widma zmieniają długość fali, jeżeli źródło światła posiada ruch w promieniu widzenia, polega na tem, że obierając 2 dyametralnie przeciwległe punkty korony, przypadające w bliskości równika słonecznego, fotografuje się te widma na tej samej kliszy jednocześnie. Gdyby ruchu wirowego nie było, to oba widma wzajemnieby się nakrywały, gdy zaś ruch wirowy istnieje, to punkty po jednej stronie słońca zbliżają się ku nam, punkty zaś strony przeciwległej się oddalają; wskutek tego linie pierwszego widma przesunięte są ku stronie niebieskiej, drugiego — ku stronie czerwonej. Otrzymać się więc powinno widmo z po-

dwójnemi liniami, a odstęp między liniami określa szybkość ruchu wirowego. Tę metodę badania zastosowało kilka ekspedycji. Druga metoda wymaga współdziałania obserwatorów, umieszczonych w jaknajwiększej odległości od siebie; zastosowaną ona była przez dwie ekspedycje amerykańskie, z których jedna ulokowała się w Kanadzie, druga w Egipcie. Całkowite zaćmienie dla drugiego z tych punktów obserwacji rozpoczęło się o 2 $\frac{1}{2}$ godziny później aniżeli dla pierwszego, w tym czasie słońce obróciło się dokoła swej osi o 1 $\frac{1}{2}$ stopnia. Jeżeli więc i korona o ten kąt się obróciła, to obrazy jej otrzymane na obu stacyach powinnyby wykazać pewną różnicę, zależnie od tej zmiany fazy. Do wykazywania tak drobnych różnic, nie dostrzegalnych dla gołego oka, służy niedawno wynaleziony przyrząd, stereokomparator, na którego zastosowaniu właśnie powyższa metoda jest oparta.

W związku z powyższem dodamy, że stereokomparator miał też być zastosowany do wyszukania planety intermerkuryalnej. Dwa zdjęcia nieba w okolicy zaćmionego słońca, dokonane na odległych od siebie stacyach, jeżeli na nich znajduje się planeta, różnić się muszą tem, że planeta, jako punkt ruchomy, będzie miała na obu nieco odmienne położenie. Przypuśćmy, że na obu płytach występują gwiazdy jeszcze 11-ej wielkości, i że planeta też posiada tę wielkość, to wyszukanie planety pośród kilkunastu tysięcy punktów, jedynie na podstawie drobnej różnicy pozycji, tylko przez zastosowanie stereokomparatora może być osiągniętem.

Badanie zmian kształtu korony opiera się na rysunkach i fotografiach korony. Po stwierdzeniu peryodycznych zmian tego kształtu w okresie 11-letnim, dziś głównie chodzi jeszcze o stwierdzenie ciągłości tych zmian i dokładne przedstawienie kolejnych faz. Dlatego coraz nowe fotografie i rysunki zawsze są pożądane. Obecnie bardziej szczegółowym badaniom poddano t. z. koronę zewnętrzną, której krańce rozszerzają się coraz bardziej, w miarę, im odpowiedniejszych do tego celu używa się lunet. Stosuje się w tym celu krótko ogniskowe lunety o rozległym polu widzenia, mogącem pomieścić całą koronę zewnętrzną, oraz jaknajdłużej wystawia się płytę fotograficzną na działanie światła korony. Przy takich zdjęciach części wewnętrzne korony są przeeksponowane, natomiast szczegóły korony zewnętrznej występują bardzo wyraźnie. Taką lunetę przywiozła ze sobą ekspedycja rosyjska z Pułkowa, która obserwowała zaćmienie ostatnie w Alcoesbre, nad morzem Śródziemnem, w Hiszpanii. Wreszcie dla badania wyżej wspomnianych zmian drobnych a szybkich, które zachodziły w czasie trwania całkowitości, robi się możliwie jaknajwięcej zdjęć w jak-

najkrótszych odstępach czasu, a później oddzielne obrazy szczegółowo się porównywa. Te zmiany prawdopodobnie z czasem doprowadzą do poznania sił, którym korona zawdzięcza swoje istnienie. W celu otrzymania jaknajwiększej liczby zdjęć, istnieją specjalnie urządzone „koronografy,” za pomocą których otrzymuje się nieprzerwany szereg zdjęć korony w czasie całego trwania całkowitości. Szereg obrazów takich można rozciągnąć na całe godziny, umieszczając koronografy w jaknajwiększej liczbie punktów strefy całkowitości, w których zaćmienie rozpoczyna się i kończy coraz później.

Starania w kierunku umożliwienia badań korony w każdej porze, mają już swoją długą historię. Zawodnym okazał się sposób, stosowany przy protuberancyach, nie doprowadziły do skutku wycieczki na szczyty gór wysokich oraz wloty balonami, mające na celu usunąć absorbcyę światła oraz zmniejszyć decydujące tu natężenie odbitego światła atmosfery etc. W celu wyszukania tych promieni światła korony, których natężenie jest największe, fotografuje się w czasie zaćmień koronę przez różnokolorowe filtry. Analizę taką światła korony, miała, jako jedno ze swych zadań, między innymi ekspedycja francuska, pod przewodnictwem Deslandres'a, która usadowiła się w mieście Burgos.

W jaki sposób odbywają się badania warstwy odwracającej co do składu, wyjaśnione zostało już wyżej; co do ruchu wirowego warstw zwrotnych słońca, to podstawą badania jest i tu, jak i przy ruchu wirowym korony, zasada Dopplera.

Te zasady ogólne, na których poszczególne poszukiwania się opierają, nie dają oczywiście nawet przybliżonego pojęcia o różnaitości metod badania. W tym kierunku inicjatywa uczonych przynosi coraz coś nowego — i postęp jest zadziwiający.

Często dana ekspedycja ma za cel główny wypróbowanie tylko jakiejś nowej, a wróżącej pomyślny wynik, metody i rzadko tylko się zdarza, aby już od pierwszego razu rezultaty były dobre; dopiero doświadczenie daje poznać braki metody, którą tu stosownie się udoskonala. Różnaitość metod i przyrządów, które na najrozmaitszych drogach prowadzą do jednakowego celu i jednakowych wyników, jest największą gwarancją słuszności tych ostatnich; z drugiej strony, wyniki zgodne są najlepszym probierzem wartości stosowanych metod.

Oprócz zagadnień pierwszorzędnej doniosłości, których szereg wymieniłem wyżej, każde zaćmienie nastrocza wiele innych, może mniej efektownych, ale często również bardzo ważnych. Do takich należą np. obserwacje fotometryczne, polarymetryczne,

baro- i termometryczne, badania nad zmianami magnetyzmu i elektryczności ziemskiej etc. Badania takie, nie wymagające wielkich lunet, stanowią wdzięczne pole dla pracowników niewyposażonych w zbyt wielkie środki, aczkolwiek też wchodzą w program wielu ekspedycyj liczniejszych.

Fotometryra zaćmień ważna jest z wielu względów. Gdy słońce stopniowo ukrywa się po za tarczą księżyca, coraz mniejsza ilość światła dochodzi do naszego oka, coraz bardziej maleje natężenie światła, dochodzącego od przedmiotów, świecących odbitem światłem słonecznym. Zmniejszenie światła nie odbywa się równomiernie z powiększaniem się zakrytej części tarczy słońca, lecz zależy też od prawa promieniowania słońca. Słońce, jak wiadomo, nie jest tarczą, ale kulą, a więc promienie, wychodzące z różnych punktów tarczy słonecznej, tworzą różne kąty z normalnymi do powierzchni słońca w tych punktach: promienie ze środka tarczy są do powierzchni słońca normalne, promienie z brzegów tarczy są do tej powierzchni styczne. Obok tego absorbcya światła w atmosferze słońca wzrasta wraz z kątem, który promienie tworzą z normalną, czyli, że absorbcya wzrasta na tarczy słonecznej w kierunku od środka do brzegów tarczy. Z obu tych powodów najsiłniej świeci środkowa część tarczy słonecznej. W czasie zaćmienia nie dostrzega się prawie zmiany oświetlenia, dopóki mniej niż połowa tarczy jest zakryta, od chwili zaś, gdy już połowa została zakryta, ciemność wzrasta z szybkością znacznie większą. Dotychczas niema dokładnych metod, pozwalających otrzymać krzywą zmian jasności dla całego przebiegu zaćmienia, która byłaby wyrazem wszystkich skomplikowanych czynników, wchodzących tutaj w grę. Na krótko przed początkiem całkowitości występuje inne ciekawe zjawisko: na przedmiotach kładą się smugi cieniów, poprzedzielane jaśniejszemi pasami, które przesuwają się w określonym kierunku i sprawiają wrażenie poruszających się fal. Krzywa więc fotometryczna oświetlenia jakiegoś przedmiotu podlega w tym czasie drobnym, krótkotrwałym zaburzeniom, które charakteryzują to nowe zjawisko, nie wyjaśnione dotychczas należycie. Wreszcie całe słońce zostaje zakrytem—ale bynajmniej nie nastaje noc zupełna. Na miejscu słońca występuje czarna tarcza księżyca, okolona jasną koroną, dokoła tarczy odrzyna się jasny pas chromosfery, a w niektórych miejscach występują protuberancje. Korona, chromosfera i protuberancje zastępują teraz światło słoneczne. Określić ilość światła, od tych części słońca do nas dochodząca, jest dalszem zagadnieniem fotometryi zaćmienia. Jest to niewątpliwie ilość zmienna, dla każde-

go zaćmienia inna—i tylko dokładny jej pomiar daje możność wykrycia związku tych zmian z innymi zjawiskami słonecznymi. Po upływie krótkiego czasu całkowitości, w którym krzywa fotometryczna wykazuje minimum, pojawiają się znowu owe smugi ruchome, poczem jasność wzrasta statecznie aż do końca zaćmienia w ogóle.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad fotometrią zaćmień, gdyż była ona głównym celem mojej podróży do Hiszpanii na ostatnie zaćmienie. Specyjalną uwagę postanowiłem poświęcić owym smugom ruchomym ze względu na niewyjaśnione źródło zjawiska i liczne sprzeczności, które w jego opisach się spotyka, świadczące o różnorodności subiektywnego wrażenia. Chodziło mi o uzyskanie zupełnie obiektywnego obrazu zjawiska za pośrednictwem kliszy fotograficznej. W tym celu zaopatrzyłem zwykły aparat fotograficzny błonkowy w przegródkę ze szczeliną wąską, tak że przy obiektywie otwartym tylko odpowiednio wąski pasek kliszy wystawiony był na działanie światła. Wałek, na który nawija się klisza błonkowa, połączyłem z mechanizmem zegarowym, który nadawał mu jednostajny ruch dookoła osi. Dzięki temu klisza, nawijając się na wałek, przesuwała się pod szczeliną i coraz nowy jej pasek był naświetlany. Przyrząd był nastawiony na biały ekran, którego oświetlenie ulegało w czasie zaćmienia nieustannej zmianie, a więc i działanie na kliszę w różnych momentach było różne. W ten sposób przy poruszającym kliszę mechanizmie spodziewałem się otrzymać obraz o coraz zmniejszającym się natężeniu, aż do chwili całkowitości, a po jej skończeniu o natężeniu wzrastającym. Pomiar natężenia różnych części obrazu dalby możność wyprowadzenia krzywej zmian oświetlenia ekranu. Ale i owe smugi ruchome, przebiegające przez ekran, powinnyby na obrazie wystąpić, jeżeli tylko ruch ich nie jest zbyt szybki, szerokość nie za mała i różnice natężenia smug ciemnych i jasnych dosyć znaczne.

Po za tem głównem zadaniem chodziło mi o możliwie dokładne zaobserwowanie jaknajwiększej liczby szczegółów całego zaćmienia, co mogłem czynić z zupełną swobodą, gdyż kontrola przyrządu nie wymagała zbyt dużej uwagi. Chciałem obserwację tego zaćmienia traktować raczej, jako ćwiczenie, gdyż niezwykłe warunki, w których obserwacja się odbywa, podniecenie nerwowe, oraz niepewność tego, co nastąpi, szczególnie gdy zaćmienie obserwuje się poraz pierwszy, odbierają zaufanie we własne siły. Trzeba już mieć pewną praktykę zaćmieniową, być już do pewnego stopnia otrząskanym z tem zjawiskiem, aby wyzyskać należycie drogocenne chwile trwania całkowitości. I w isto-

cie, później się okazało, iż o wielu szczegółach obserwacji zapomniiano się zupełnie, a niektórych okoliczności się nie przewidziało, co znowu czyniło zaobserwowanie niektórych szczegółów niemożliwym.

Jako miejsce obserwacji obrałem wieś Alcoesbre, położoną na brzegu morza Śródziemnego, na samej linii centralnego zaćmienia. W tejże miejscowości obrały sobie stanowisko francuska ekspedycja Janssena, dyrektora obserwatorium astrofizycznego w Meudon, ekspedycja rosyjska z Pułkowa pod kierunkiem Hańskiego, oraz hiszpańska Landerera. Nie mając wielkich instrumentów, mogłem zająć stanowisko nader korzystne na wierzchołku wzgórza San Bendito, wysokości 400 metrów, skąd obejmowałem wzrokiem bardzo rozległy widnokrąg, sięgający daleko poza wysepki Kolumbrety, odległe o 2 mile przeszło od brzegu morskiego. Chodziło mi głównie o to, aby mózdz z jaknajwiększej odległości dostrzedz brzeg cienia księżyca i ewentualnie zaznaczyć momenty jego zbliżenia się do pewnych wybitnie odznaczających się punktów na widnokregu. W tym celu z wierzchołka góry wykonałem szkic fotograficzny całej okolicy.

O godzinie 11-ej rano 30 sierpnia wszystko było przygotowane do obserwacji. Silny wiatr wieje od morza z południowego wschodu, na niebie widać w wielu miejscach wielkie chmury kłębiaste, które chwilami pokrywają słońce. O godz. 11 min. 41 dostrzegam pierwszy ciemny ślad na brzegu słońca i powoli księżyc coraz bardziej nasuwa się na słońce. Widać to tylko, gdy się patrzy na słońce przez ciemne okulary; bez okularów słońce wydaje się całkiem okrągłym jeszcze i wtedy, gdy blisko $\frac{2}{3}$ tarczy jego pokrywa księżyc; naturalnie okiem nieuzbrojonym spojrzeć można na słońce tylko na krótką chwilę. Dopiero o godz. 12 m. 26 można było zauważyć pewną różnicę w natężeniu oświetlenia słonecznego; zakrytą była wtedy przeszło połowa tarczy słońca. Od tej chwili ściemniać zaczęło się szybciej, niebo powoli przyjmowało odcień zielonawy, przedmioty odległe otaczały się mgłą fiołkową. Dokoła słońca przez ciemne okulary z pomocą znakomitego binokla (tryedra) Zeissa nie widać żadnych śladów korony, niema też żadnego śladu księżyca nazewnątrz tarczy słońca; brzeg księżyca na tle tarczy słońca rysuje się nader ostro, a część jego tarczy, nasunięta na słońce, jest zupełnie czarna, — chociaż sam kontrast z tarczą słońca nie pozwoliłby zapewne dostrzedz na niej słabego światła, gdyby nawet księżyc posiadał atmosferę, załamującą i rozpraszającą światło. Poszukiwania korony w czasie zaćmienia częściowego oraz za księżycem nazewnątrz słońca, powtarzałem

kilkakrotnie — ale bezskutecznie. O godz. 12 min. 30 chmura zakryła słońce, które wszakże przez nią przeświecało, tak że wzrost fazy dokładnie można było przez chmurę obserwować. O godz. 12 min. 40 ujrzałem Wenus na południo-zachód od słońca; niezakryty sierp słońca miał wtedy szerokość $\frac{1}{4}$ średnicy.

Całkowite zaćmienie miało się rozpocząć według rachunku o godz. 1 m. 1 s. 48. Ciemność wzrastała coraz szybciej. Domki odległe i inne przedmioty, które służyć mi miały jako punkty stałe przy obserwacji zbliżającego się cienia księżyca, kolejno pozniżały mi z oczu, jasno zielone zarośla, pokrywające stoki góry, majaczyły tylko niewyraźnie, jako ciemne plamy o fiołkowym odcieniu, a w odległości 2-ch kilometrów na ciemniejszym tle odznaczał się szary pas gościńca. Wyspy Kolumbrety znikły również, nie mogłem ich dostrzedz nawet za pomocą tryedra. Morze miało barwę brudno niebieską.

Do całkowitego zaćmienia pozostaje jeszcze tylko 5 minut. Wysoko na niebie świeci wąziutki sierp słońca. Niezwykłe warunki oświetlenia nadają krajobrazowi tajemniczy wygląd — z oddzielnych efektów świetlnych nie można sobie zdać sprawy wobec coraz szybszego tempa zmian. Ciemność wzrasta szybko, płynie jak fala. Przedmioty rzucają nader ostre cienie, półcienie znikły zupełnie.

Na minutę przed początkiem całkowitości pojawiły się cienie falujące, ale zjawisko to przedstawiło mi się całkiem inaczej, aniżeli na podstawie opisów sobie wyobrażałem. Były to pasma szerokości co najwyżej 15 cm., ułożone nieco ukośnie do poziomu na ścianie pionowej, zwróconej ku słońcu. Ruchu postępowego tych smug równoległych do siebie, naprzemian jaśniejszych i ciemniejszych, nie było można dostrzedz; zdawało się, że smugi mają ruch wahadłowy w kierunku prostopadłym do ich położenia. Przypominał on kołysanie się fali morskiej, oświetlonej światłem księżyca, kiedy oświetlone grzbiety, opadając w głąb, pograżają się w ciemności, aby po chwili zająć znowu poprzednie miejsce. Oczywiście wrażenie to mogło być całkiem subiektywne, wynikające stąd, że oddzielne pasma nieczem się od siebie nie różniły. Przynrząd, mający te pasma utrwalić na kliszy, oddawna znajdował się w ruchu. Z wrażień, jakie z ich obserwacji wyniosłem, wyciągnąłem wniosek, że smugi są zjawiskiem, spowodowanym załamaniem promieni przez atmosferę ziemską oraz interferencją, że znajdują się one w związku z dającym się zawsze obserwować falowaniem brzegu słonecznego, oraz posiadają analogię w równie

dobrze znanem zjawisku migotania czyli scintillacji gwiazd. Smugi widziałem jeszcze na 3 sek. przed zaćmieniem.

Niebawem rozpoczęło się zaćmienie całkowite. Cień księżycy, niestety, niewyraźny z powodu ciemności, która nie pozwalała odróżniać przedmiotów w odległości kilkudziesięciu metrów, z nadzwyczajną szybkością rozlewał się po całym widnokregu i po chwili objął i mój punkt obserwacji. Trwało to nie dłużej nad sekundę, a po chwili pokrył on i morze na wschodzie, nadając mu jakąś stalową ciemną barwę.

Moment początku całkowitości wystąpił nadzwyczaj wyraźnie. Można go zaobserwować z dokładnością ułamka sekundy, ale tylko, gdy się nie patrzy przez lunetę. Nie trzeba czekać chwili zetknięcia jasnej tarczy słońca i ciemnej — księżycy; wystarczy zauważyć moment gwałtownej zmiany, jaka zachodzi przed naszymi oczami.

Wszelkie ochrony dla oka stają się zbyteczne. Czarna okrągła tarcza wisi na niebie, roztaczając naokoło siebie świetlaną aureolę. Tarcza ta wydaje się znacznie mniejszą, niż wtedy, gdy ją widzimy jasną. Gdy rozpoczęła się całkowitość, miałem wrażenie, że nagle się rozjaśniło; złudzenie to wynika ztąd zapewne, że w ostatnich chwilach przed zaćmieniem ciemność wzrasta tak szybko, iż oko niema czasu przystosować się do tak szybkich zmian; w czasie samego zaćmienia oko jest już dobrze przystosowane do oświetlenia.

Widok zaćmionego słońca był w istocie bardzo piękny. Jasny, waziotki pasek chromosfery, barwy różowej, okalał tarczę czarną, w dwóch miejscach prawie przeciwległych widniały wybitne dwa wypiętrzenia tego paska — protuberancje, a dalej nieco mniej jasny pierścień korony, szerokości równej promieniowi słońca, barwy blado różowej, z odcieniem oliwkowym. Od tej jasnej korony wewnętrznej, ku górze i ku dołowi, oddzielały się mniej jasne odgałęzienia w postaci klinów i zębów, zlewając się nieznacznie z otaczającym tłem nieba. W kierunku normalnym ku tarczy łatwo było dostrzedz budowę promienistą korony zewnętrznej. Niektóre z tych jasnych nitczek wyginały się ku górze i przecinały wzajemnie, ograniczając owe sterzące ku dołowi i ku górze kliny; zresztą te srebrne nitki zdawały się niekiedy nagle pojawiać i znikać, jakby przebiegające w koronie meteory. Udało mi się wykonać kilka szkiców korony, które dają dosyć dobre wyobrażenie o zjawisku. Korona ma kształt typowy dla epoki maximum plam słonecznych.

Niebo miało barwę ciemno zieloną, unoszące się w kilku miejscach kłęby chmur miały błękitnawy stalowy odcień; zresztą żadnych barwnych lub świetlnych efektów nie spostrzegłem. Blask Wenus wydawał się bardzo jasnym; prócz Wenus zauważyłem jeszcze na zachód od słońca u dołu jasny słaby punkt, którym był, jak się zdaje, Merkury. Zresztą nie mogłem dostrzedz żadnych gwiazd, chociaż $\frac{1}{2}$ minuty z górą poświęciłem na ich poszukiwanie gołym okiem i za pomocą tryedra.

Wogóle było znacznie widniej, aniżeli przewidywano. Niebo było jasne, jak o wczesnym zmierzchu. Rysunki robiłem bez pomocy latarcki, tak samo z całą łatwością widziałem ciągle wskazówkę sekundową zegarka, służącego do obserwacji, oraz robiłem notatki; mogłem też dobrze czytać gazetę *Heraldo de Madrid*, której egzemplarz w tym celu miałem ze sobą. Wynika stąd, że w czasie zaćmienia było znacznie widniej, aniżeli w nocy, w czasie pełni księżyca; wtedy bowiem gwiazdy pierwszych 3-ch wielkości normalne oko dostrzedz może, a czytać mogę tylko duży druk, notatki zaś robię zawsze przy latarce. Wysp Kolumbretów nie mogłem dostrzedz nawet z pomocą tryedra. Twarze miały oliwkowy, trupią wygląd.

Ścisłe po upływie 3 min. 42 sek., zgodnie z obliczeniem, zaćmienie całkowite się skończyło. Patrzałem na zaćmienie słońca gołym okiem; wtem na prawym brzegu słońca, jak gdyby powstał mały otworek, przez który z ogromną szybkością rozlała się materia świetlana, tworząc okrągłą jasną plamę wielkości pomarańczy. Po chwili nastąpił drugi taki wybuch, jasna plama powiększyła się i jak gdyby zalała cały kawał czarnej tarczy księżyca, która dobrze jeszcze była widzialna. Za chwilę wybuch światła się powtórzył, ale światło było już tak jaskrawe, że patrzeć gołym okiem nie było można. Włożyłem czarne okulary i ujrzałem po prawej stronie tarczy czarnej wąziutki sierp słońca. Całe to zjawisko było nadzwyczaj efektowne. Przyczyną owego skokowego, jakby wybuchowego pokazywania się światła, były prawdopodobnie drobne zazębienia tarczy księżyca, a nadzwyczaj wielkie natężenie promieni słonecznych było powodem, że punkty małe tarczy, widzialne przez te zazębienia, skutkiem irradycacji przedstawiały się, jako znacznych rozmiarów tarcze.

To zjawisko nieoczekiwane całkowicie pochłonęło moją uwagę, tak, że nie zwróciłem uwagi na oddalający się cień księżyca, ani na falujące smugi, które powinny się były znowu zjawić z ukazaniem się pierwszych promieni słońca. Zresztą przyrząd bez przerwy był w ruchu i automatycznie fotometryczny przebieg zja-

wiska utrwał. Dodam, iż wogóle i początek i koniec całkowitości zaskoczyły mnie o prawie półtorej minuty za wcześnie, a to dlatego, że czas swój regulowałem podług chronometru ekspedycji rosyjskiej, którego poprawka, z powodu braku czasu, nie mogła być na miejscu obliczona. Dotychczas poprawki tej nie udało mi się otrzymać, wskutek czego nie mogę podać dokładnych momentów kontaktów, chociaż obserwacje wykonałem z całą ścisłością. Ponieważ obfity materiał obserwacyjny do obliczenia owej poprawki istnieje, więc nie wątpię, że obserwacje moje nie będą stracone.

Jak już wspominałem, w ciągu zaćmienia w różnych okolicach nieba unosiły się gęste chmury kłębiaste, które kilkakrotnie pokrywały słońce. W czasie zaćmienia całkowitego słońce było niezastonięte, tak, że warunki obserwacji były bardzo dobre. Nieoczekiwaną była tak wielka jasność korony, skutkiem czego prawdopodobnie spełzły na niczem nadzieje, odnoszące się do znalezienia planety intermerkuryalnej na drodze fotograficznej. Silny wiatr południowo wschodni nie zmienił kierunku, tylko przycichł w czasie całkowitości. W dziesięć minut po skończeniu się zaćmienia całkowitego chmury pokryły słońce i wkrótce zaciągnęły się na całe niebo. Do samego wieczora już nie wychyliło się słońce z po za chmur, a popołudniu około g. 4-ej spadł nieznaczny deszcz — jedyny, który obserwowałem w czasie mojego trzytygodniowego pobytu w Hiszpanii. Być może, iż deszcz ten znajdował się w ścisłym związku z niezwykleymi warunkami, wytworzonymi przez zaćmienie.

M. ERNST.

PIŚMIENNICTWO.

MOJŻESZ SCHORR. *Żydzi w Przemyślu do końca XVIII wieku.* Opracowanie i wydawnictwo materyału archiwalnego, Lwów 1903.

W przedmowie, autor słusznie zaznaczył, że w literaturze naszej zamierzano przedstawić dzieje Żydów w całej Polsce, nim jeszcze poznano tę historję w poszczególnych miastach, i nim pojedyncze okresy były wyświetlone. Istotną podstawę do zbadań całości dziejów żydostwa polskiego, może dać jedynie materyał archiwalny. Autor spożytkował też pilnie materyał archiwalny, znajdujący się w Przemyślu i na tej podstawie skreślił historję Żydów w Przemyślu aż do końca XVIII w. Na Rusi czerwonej występują Żydzi w większej liczbie dopiero z początkiem XVII w. Najdawniejsza wzmianka o Żydach w Przemyślu pochodzi z 1466 r. a z księgi lustracyjnej z r. 1542 przekonywamy się, iż Przemyśl w tym czasie posiadał zaledwie rodzin 18, które posiadały 7 domów na własność. Pierwszy zasadniczy przywilej, stwierdzający istnienie gminy żydowskiej w Przemyślu, pochodzi z r. 1559. Dokument ten stanowi niejako prawną sankcję stałego pobytu Żydów w Przemyślu, a zarazem podstawę legistyczną dla nowo-utworzonej gminy. Sądownie podlegali Żydzi jurysdykcji królewskiej, a za opiekę płacili królowi po zł. 4 z domu. Od Zygmunta Augusta Żydzi otrzymali jeszcze trzy przywileje, w których monarcha upomina mieszczan, aby nie krzywdzili Żydów, „jako tych, którzy wszystkie poplatki z wami na spół płacą.“

W r. 1576 otrzymuje gmina żydowska statut „ad bonum ordinem,“ zajmujący się wewnętrznymi urządzeniami gminy, jako też jej stosunkiem do władzy wojewodzińskiej. W r. 1592 liczba

głów żydowskich w Przemyślu powiększyć się musiała, bo gmina przystępuje do wybudowania synagogi murowanej, na miejscu drewnianej i stara się o pozwolenie ze strony kapituły, od której plac nabyła. Trudno się jednak było uporać z mieszczaństwem, które spędzało murarzy i nie pozwalało budować synagogi. Zaburzenia jednak zdołano uśmierzyć i synagoga stanęła w r. 1594. W tym czasie rozpoczyna się walka ekonomiczna żydostwa z mieszczaństwem, która trwa aż do końca istnienia Rzeczypospolitej. W r. 1628 pospólstwo napada na Żydów i dotkliwie wyrządza im straty. Przyczyną tumultów bywa zazwyczaj podejrzenie o świętokradztwo, które rzadko kiedy mogło być sprawdzonym. W r. 1638, Żydzi zaskarżyli starostę, że działając bezprawnie wyrządził im dużo krzywd. Rok przedtem, nawiedził ich jednak wielki pożar, taki, że tylko synagogę z przyszkótkami zdołano uratować. Mieszczaństwo nie chciało dopuścić do odbudowania dzielnicy żydowskiej, żądając przytem, aby Żydom handel i wogóle środki zarobkowania ograniczono. Zgoda jednak nastąpiła, a Żydzi przyrzekli na rzecz miasta płacić rocznie 300 zł. i prochu dobrego dwa kamienie. I ta transakcyja zawiera dla Żydów mało swobód a dużo ograniczeń. Wojny kozackie, szczególnie dwa smutne lata: 1648 i 1649, najstraszniej dotknęły polskich żydów, w Przemyślu jednak oszczędziły ich szczęśliwie.

Za Jana Kazimierza, obdarzała władza monarchiczna Żydów dość często przywilejami, tylko że one przestały mieć praktyczną wartość. Ile razy bowiem w kancelaryi królewskiej zjawili się Żydzi i dobrze zapłacili, otrzymali przywilej, nazajutrz jednak otrzymywali mieszczaństwo przywilej wprost przeciwny. Szły też bezustannie cytacye z kancelaryi królewskiej, to do Żydów, to do mieszczan, niedoprowadzając do właściwego celu z tej przyczyny, że Żydzi ekonomicznie zapewne upadli i nie mogli uczynić za dość wygórowanym żądaniom mieszczan. W końcu XVII-go i przez cały wiek XVIII-ty ekonomiczna sytuacyja Żydów staje się coraz gorsza, pod ciężarem rosnących podatków i opłat. Gmina żydowska zadłużała się u szlachty, a szlachta, nie mogąc odebrać pieniędzy od zadłużonej i biednej gminy, wydzierała je gwałtem. Walka o byt między samymi Żydami staje się coraz cięższą, gdyż liczba mieszkańców niezmiernie wzrosła. Do upadku i nędzy gminy żydowskiej przyczyniła się jeszcze elementarna klęska w r. 1678. Straszny pożar zniszczył ulicę żydowską, pochłaniając ruchomy i nieruchomy majątek. W r. 1692 Jan III zwołuje do Przemyśla komisye, przedłużające Żydom terminy wypłaty długów, a to głównie dlatego, aby zapobiedz emigracyi

Żydów. August II zwrócił także uwagę na rutynę ekonomiczną Żydów, ale mimo to nie polepszyły się ich stosunki ekonomiczne w XVIII w. Kronika Żydów przemyskich w XVIII w. nie przedstawia zbyt wielkiego interesu, jest ona bowiem nieprzerwanym łańcuchem nędzy i niedoli, wzmagającej się coraz to więcej. W r. 1746 jezuita dali się we znaki Żydom przemyskim, ale później zostali zniewoleni zapłacić im odszkodowania 5000 złp.

W końcu zastanawia się autor nad wewnętrzną organizacją Żydów, poświęcając uwagę sądom wojewodzińskim, sądom żydowskim duchownym, opodatkowaniu Żydów, ściąganiu podatków i cechom Żydowskim. Pozwolę sobie przytoczyć kilka szczegółów z książki autora, zaznajamiających nas z cechami żydowskimi. Żydzi z początku dla Żydów, powoli jednak dla szlachty i duchowieństwa zaczęli produkować towary, szczególnie w zakresie krawiectwa i szmuklerstwa. Gdy się wytworzyła większa liczba producentów, powstały cechy z ustrojem prawnie ustalonym na wzór cechów chrześcijańskich. Pobudkę do tworzenia cechów dała Żydom ta myśl praktyczna, że korporacja więcej działać może niż jednostka i że jako cech z cechem, posiadając własny majątek cechowy, mogą rzemieślnicy żydowscy łatwiej wejść w układy z mieszczaństwem i wyjednać sobie pewną opłatą pozytywne prawa. W istocie cechy miejskie, musiały, po długiej walce, te towarzystwa, jako faktycznie istniejące i interesa zawodu zastępujące, uznać, z niemi się liczyć i pewne ustępstwa im czynić, zależnie od wysokości opłaty, przez dotyczący cech żydowski opłacanej. W Przemysłu dochował się „pinaks“ (księga sądowa) cechu krawców, pochodzący z drugiej połowy XVII w., a akta w nim zawarte donoszą bezpośrednio, że istniały w tem mieście już z początkiem XVII w. cechy żydowskie, to znaczy towarzystwa rzemieślnicze, ze stałą organizacją własną, które jako takie były i przez cechy chrześcijańskie uznawane. Podstawą organizacji cechowej był t. zw. list pergaminowy, zawierający statuta fundamentalne towarzystwa, którym każdy członek nowo-wstępujący musiał bezwarunkowo się poddać. Na czele towarzystwa stali „Starsi,“ corocznie wybierani. Przewodnictwo honorowe zajmował t. zw. rabin i sędzia towarzystwa, który czasami tytułował się ojcem i patronem towarzystwa. W r. 1704 ustanowiono, ze względu na znaczne wydatki, na jakie towarzystwo jest narażone, że i tandetnicy, kupejący starymi ubiorami, są obowiązani należeć do cechu i te same, co inni członkowie, uiszczać podatki. Oprócz cechów ściśle zawodowych istniały towarzystwa i bractwa o charakterze ogólniejszym. Były też i to-

warzystwa czysto religijne, jak np. towarzystwo odczytujących psalmy.

Oprócz ciekawych historycznych notatek, autor wydrukował w swej pracy sporą ilość dokumentów rzadszych i donioślejszych z archiwum przemyskiego. Wogóle studyum powyższe, historii Żydów w Przemyślu poświęcone, przedstawia się poważnie i świadczy dobrze o sumiennosci i przedmiotowym traktowaniu przedmiotu przez autora. Niewątpliwie autor dopiął celu, do którego dążył, albowiem praca jego jest cennym przyczynkiem do historii Żydów w Polsce i przyszły historyk nie będzie jej mógł pominąć ani lekceważyć.

A. R.

Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego (Moje przeprawy) o czasach powstania listopadowego (1830—1831), z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem, oraz przekładem fragmentów francuskich oryginału, Aleksander Kraushar.

We wstępie do tomu pierwszego pamiętników hr. Andrzeja Zamoyskiego wydawca przypomina, że w 1831 r. autor pamiętników wysłanym został z misją do ks. Metternicha do Wiednia. Otóż przechowywane były dotychczas w manuskrypcie kartki, drobnutkiem, częścią polskiem, częścią francuskim wypełnione piśmem, które obejmowały dokładne sprawozdanie z owej właśnie misji dyplomatycznej Zamoyskiego, z jego rozmów poufnych z kanclerzem austriackim i z przygód przebytych podczas kilkomiesięcznego pobytu nad Dunajem, z powrotu do Warszawy w końcu maja 1831 r. i z ponownej w czerwcu podróży do Wiednia. Urywają się pamiętniki na dacie 27 sierpnia, bez punktu i kropki, jakby swem niezakończeniem nasuwać chciały domniemanie, że autor wspomnień swych nie przerwał rozmyślnie, lecz że miał zamiar w przyszłości wykończyć swój pamiętnik. Pamiętnik powyższy nieznanym był z urzędowych źródeł. Kiedy bowiem po pierwszym powrocie Zamoyskiego do Warszawy z Wiednia w maju 1831 r. wyrażono życzenie, by relacja o dopełnionem poselstwie złożoną została na sejmie, Zamoyski wręcz odmówił, a nawet zagroził wyzwaniem temu, ktoby go o to śmiało interpelować. Dopiero z woli i wyraźnego rozkazu ks. Adama, złożył Zamoyski szczegółowe sprawozdanie o pierwszej swojej misji rządowi na piśmie w czerwcu 1831 r.

Zamoyski rozpoczął pisanie pamiętnika w r. 1845 i prowadził swą pracę do r. 1851. Dopiero jako kierownik Roczników gospodarstwa krajowego i pochłonięty ważnemi przedsiębiorstwami przemysłowemi, nie znalazł widocznie chwil wolniejszych do jej wykończenia. Zachowawszy troskliwie wszelkie notatki z czasów dwukrotnej misyi wiedeńskiej, Zamoyski zabrał się do pisania pamiętnika „by wypełnić, jak opowiada, długie wieczory zimowe jakimś pożytecznem zajęciem i pozostawić potomności pamiątkę wypadków, których był widzem i uczestnikiem.“ W notatkach owych, zdaniem wydawcy, jak w czystym zwierciadle, odbija się całkowita, duchowa postać Zamoyskiego. Jest to niejako spowiedź publiczna. Autor nie rościł bynajmniej pretensyi do nadania swym notatkom formy jednolitej, literackiej. Wydawca zachował wszystkie charakterystyczne cechy owych notatek i dodał urywki wspomnień Zamoyskiego z lat późniejszych, oraz myśli i urywki ogólniejszego znaczenia, spisane na luźnych kartkach, które w całości nie ocalały.

Pamiętnik rozpoczął Zamoyski od kategorycznego wyznania, że wypadki listopadowe wydały mu się szaleństwem. „Widziałem, pisze on, otchłań, wykopaną samo chcąc, która kraj cały pochłonie i z zimną krwią na to patrząc, wyglądałem wciąż chwili, w której przyjdzie sposobność poświęcenia się, skacząc w nią jak Curtius. Szaleństwo zrobiliśmy nie do darowania, pisze dalej, to przynajmniej nie fanfaronujemy, bo źle się dzieje, i żebym nie był Polakiem, to Boga bym prosił, żeby się to nie udało, dla przykładu wiecznego przyszłym pokoleniom.“ Wypadki listopadowe zastały Zamoyskiego na stanowisku zastępcy dyrektora wydziału przemysłu i kunsztów Komisji spraw wewnętrznych. Oddawna śniło mi się, pisze Zamoyski, o ważności dla kraju zaszczerpienia instytucyj gminnych, które samodzielne życie budzą w każdej żyłce, że tak powiem, narodu, zdało mi się zrazu, że dla obrony kraju takie gminy, municypalności byłyby pomocne. Nowość wszelako takich stosunków zdawała mi się być zagrażająca nieporządkiem, bo niedobrze jészcze pojmują u nas zasady, więc przestałem na wypracowaniu projektu municypalności dla stolicy. Jedna rada mu nicypalna przyszła do skutku i bardzo pożyteczną okazała się do końca.

Dnia 4 marca, o godzinie 10 wieczorem, posłał po Zamoyskiego książę Adam i powiedział mu, że ma nazajutrz jechać do Wiednia dla traktowania z księciem Metternichem. Żeby mnie kula była trafila, pisze Zamoyski, nie byłbym bardziej się zastanowił, jak na ten rozkaz, bo się nawet wymawiać nie pozwolił.

Ale jakże bez paszportu? Musisz dojechać. Nie śniło mi się nigdy o dyplomacyi. To się nauczysz. Z czemże pojedę? Będziesz miał instrukcyę. Dnia 5 marca wyjechał Zamoyski i zjechał do Wiednia przez Węgry d. 30 marca. W Wiedniu oświadczył na wstępie Konstancy Czartoryski Zamoyskiemu, że napróżno przybył i że go ks. Metternich nie przyjmie, a skoro się dowie o jego przyjeździe, albo mu każe natychmiast wyjechać, albo go do Gratz zamknąć. Dnia 14 kwietnia, czytając w gazetach, że wskutek uśmierzenia powstania we Włoszech, ks. Metternich dostał order Ś-go Szczepana z brylantami, przyszło Zamoyskiemu na myśl, że może jest w dobrym humorze i napisał do niego list. Prócz tego, na wszelki wypadek, postanowił się zająć wypracowaniem krótkiego memoriału, dla wręczenia takowego ks. Metternichowi, jeżeli go ujrzeć zdoła, lub do przesłania go, jeżeli audyencya nie będzie możliwa. Memoriał Zamoyskiego był wiernym obrazem instrukcyj, jakie otrzymał w Warszawie od hr. Gustawa Małachowskiego, z biura ministeryum spraw zagranicznych.

Ks. Metternich zgodził się na audyencyę. Zamoyski pisze o niej następane słowa: „Widziałem pierwszy raz w życiu człowieka tyle próżnego. Miałem okulary, bawił mnie ruch jego twarzy, choć trudno sobie wystawić twarz ziemniejszą, jakby woskową, wyrachowanie na zrobienie wrażenia, ani śladu serca, mowa ciężka z niemiecka, wymowa wolna, sam siebie słuchał. Patrzyłem jak na uczącą komedyę. Czasami oziębłość jego do wściekłości mnie burzyła, ale się szczypał żeby mu nie przerwać, owszem, potakiwałem dumnie. Wnet poznałem, że dwa tylko uczucia do tego człowieka trafiają: próżność i bojaźń. Wytrawiony, doświadczony, dobrze opowiadał, różnych dotykał szczegółów, trafnie często oceniał. Nie dzieliłem we wszystkim jego zdania, ale z prawdziwą przyjemnością słuchałem tego człowieka, który od ćwierć wieku do głównych spraw europejskiej polityki należał, sam w nich poniekąd główną odegrywał rolę.“ Ks. Metternich na tej pierwszej audyencyi powiedział Zamoyskiemu kilka ciekawych rzeczy. Po dałem list pański, rzekł Metternich, do wiadomości cesarza, który mi rzekł: „Winienes przyjąć człowieka, który ten list do ciebie napisał.“ Jesteś pan Zamoyskim, mogę do pana mieć zaufanie i rad będę objaśnić cię co do zasad gabinetu J. C. Mości. Przedewszystkiem winienes pan wiedzieć, że Bóg umieścił mnie w taki sposób, iż wiem wszystko i widzę wszystko. Sądzę o wszystkim bez uprzedzenia, bez namiętności. Nie myślę się zatem. Nie piszę historyi, nie piszę romansu, lecz tworzę go. Nie mam przeto żadnej trudności w oryentowaniu się we wszystkich

najzawikłańszych nawet wypadkach.“ W końcu ks. Metternich upewnił Zamoyskiego, że lubi Polskę, lecz spokojną—rewolucyjnej nie znosi; przedstawia cesarza, a cesarz tak myśli, jak on. Wróćcie do przeszłości, oczekujecie nowej odbudowy państw europejskich. Uczyniliście dosyć, spuśćcie się na opatrność. Wierze mi, zróbcie tę ofiarę dla spokoju Europy. Nie mogę podać dłoni Europy.

Gdy Zamoyski wystąpił z cytata Tacyta: „bellum justum quibus necessarium,“ Metternich namawiał Zamoyskiego do przyjęcia poglądu, iż nie pozostaje nic prócz poddania się. Złóżcie broń, mówił ks. Metternich, Polacy nie potrzebowali nowej wojny, by mówiono, że są dobrzy żołnierzami, zarówno jak Włosi, w nowych rozruchach, by mówiono o nich, że są tchórzami. Zdajcie się na cesarza Mikołaja. Nie tworzy on romansów, jak cesarz Aleksander. Ma on zalety rzetelne. Mówiłeś mi pan o pośrednictwie. Jest ono niemożliwem. Należałoby, aby się obie strony medycacji domagały. W końcu rzekł Metternich: „a propos, żądałeś pan wskazania sobie jakiegoś pseudonimu. Otóż każ się anonować, jako baron Andrassy. Dnia 16 kwietnia przesłał Zamoyski Metternichowi swój memoriał, a 21 kwietnia został znowu przez niego przyjęty. Metternich zapewniał Zamoyskiego, że przedstawił jego memoriał cesarzowi. Cesarz przyrzekł udzielić odpowiedź na piśmie. Nie może być ona pod formą ekspedycyi, lecz będzie w formie listu ułożona. Przechodząc od dyskusji nad memoriałem, Metternich zauważył, że studenci polscy to nicponie. Nauki wszędzie są bardzo źle uorganizowane. Wszystko to przychodzi z Niemiec. Reszta czasu przeszła na próżnej gadaninie o fałszywym położeniu Dybicza i tym podobnych ogólnikach.

Dnia 21 kwietnia napisał Zamoyski drugi memoriał do Metternicha, w którym czytamy ów zdumiewający swem niedoświadczeniem dyplomatycznym ustęp. Monarchowie dzisiejsi, pisze Zamoyski, odczuwają niesprawiedliwość wyrządzoną przez ich przodków. J. C. Mość cesarz Franciszek odczułby, twierdząc to bez obawy, prawdziwą radość, gdyby miał sposobność naprawienia jej, zwracając nam Galicyę, bezużyteczną zresztą dla jego monarchii. Przypomniał również Zamoyski w tym memoriale, że Austria jest nam winna wdzięczność za krew przez nas w jej obronie przelaną, pod murami Wiednia. Na trzeciej audyencji przyjął Metternich Zamoyskiego już stojący i na wstępie oświadczył mu, iż nie widział się z cesarzem i nie może mu co do odpowiedzi na piśmie nic pewnego powiedzieć. Następnie Metternich dosyć uporeczywie unikał dawania audyencji Zamoyskiemu.

Dopiero 6 maja przyjął Metternich Zamoyskiego, oświadczając mu, że okoliczności się zmieniły i cesarz Franciszek jedynie pragnie końca tej nieszczęsnej sprawy. Dnia 7 maja wystosował Zamoyski nowy memoriał do Metternicha, zaopatrzony dodatkiem. Zdaje się, że Zamoyski miał jeszcze jedną audyencję u Metternicha i jeszcze jeden złożył mu memoriał, ale to wszystko żadnego nie osiągnęło rezultatu.

Tymczasem d. 8 maja otrzymał Zamoyski od księcia Adama bilecik, wzywający go z powrotem do Warszawy. W Wiedniu zupełną utracił był nadzieję otrzymania od ks. Metternicha pomocy. Czekał tylko, jedno zawsze powtarzając, aby sumienie jego poruszyć. Niestety głaz. Zamoyski pisze: „Ks. Metternich czy się mnie bał, bo w gorączce może za żywo mówiłem i pisałem, czy też raczej chciał się mnie pozbyć, nie kompromitując się odpisem, dość, że ani przyjął, ani odpisał, co mnie i gniewało i męczyło. W końcu nie przysłał nawet paszportu Zamoyskiemu, tylko prosty bilet, co również nie mogło mu humoru poprawić. Do Warszawy zjechał Zamoyski d. 28 maja. Ks. Adamowi zdał zaraz sprawę z wiedeńskiej misji, potem pojechał na Pragę, aby się zameldować naczelnemu wodzowi. Gdy mu się Skrzynecki żalił na rozterki w kraju, Zamoyski go zapytał wprost: dlaczego przyjął bitwę pod Ostrołęką? Na to mu Skrzynecki odpowiedział: „Głupstwom zrobił, za które za Napoleona, powinien byłbym dostać kulą w łeb, ale odpowie za to przed potomnością Prądyński.“

W końcu maja przedstawił się Zamoyskiemu kraj w niezbyt pocieszającym położeniu. Jego zdaniem sejm rozprawił, gdy raczej lepiejby zrobił, gdyby się zalimitował. Cholera grasowała, wojsko rozbite organizowano na gwałt, smutna terażniejszość, smutniejsza jeszcze przyszłość. Dla pokrzepienia ducha, miasto dało śniadanie dla wojska w ogrodzie Saskim, kazano być w mundurach z ładownicą. Dla ciekawości, pisze Zamoyski, ubrałem się i ja, załem zdjęty, i na tę fetę poszedłem. Idąc środkową aleją, spotkałem generała Krukowieckiego po cywilnemu. Ach, jak się masz? dawno ciebie nie widziałem. Nie byłem w Warszawie. Nie chcąc na zapytania odpowiedzieć, gdzie, po co i t. p., bo moja bytność w Wiedniu była sekretem, zapytałem go, dlaczego dziś przyszedł po cywilnemu? Nie wiesz, niczem nie jestem, nie chcę mnie. Jakto? Tak, nie chcę mnie. Domyślałem się, że jak zwykle musiał intrygować, rzekłem, ejże generale, nie chcę generała w Warszawie, to być może, ale niech generał zażąda komendy na linii bojowej, to pewno dadzą. Och nie, ja tu niepotrzebny. Wiesz, gdy byłem komendantem Warszawy, czy był porządek?

Ani wątpię. Otóż wtenczas moja żona pisała do mnie, że powinienem się ogłosić naczelnym wodzem, ale to nie dla mnie. Regentem będę, bądź zdrów. Nasunął furażerkę na oczy i poszedł dalej. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie mową swoją zadziwił, bo znałem dumę człowieka, ale do smutku, którym byłem przejęty, dodał uczucie rozdzierające, że zginiemy nie przez siłę nieprzyjaciela, ale przez kłótnie domowe.

Te i tym podobne wieści, pisze dalej Zamoyski, kazały wnioskować, że Krukowiecki coś knuje. Generał Umiński z nim trzymał. Prądzyński z nienawiści ku Skrzyneckiemu łączył się z nimi. Wincenty Niemojowski, podobno wice-prezes rządu, poczciwy ale głuchy i od południa zawsze pijany, był ich narzędziem. Bonawentura Niemojowski, brat jego, szalony i głupi, gotów był grać rolę Robespiera. Biedny ks. Adam, światły, poświęcony dla kraju, jedyny do rady w pokoju, nie miał energii do rewolucyi a wierzył w nią. Zbyt szlachetny nie wierzył, żeby byli szelmy i byłby padł ofiarą, gdyby nie Lelewel był go przestrzegł 15 sierpnia i wtedy konno umknął do Bolimowa. W pamiętniku Zamoyskiego znajdujemy jeszcze sporo sangwinicznych sądów na różne wybitne osobistości. I tak, Skrzyneckiego uważa raz za wodza zbyt ograniczonego, by potrafił prowadzić, a za zbyt zarozumiatego, by chciał władzy uledz. To jednakże nie przeszkadzało, iż jest zdania, że zrzucać go nie należało, bo bał się go nieprzyjaciel i zresztą nie było zastępcy. Krukowiecki intrygant. To też Prądzyński, generał znakomitych talentów do rady wojennej, nie śmiał brać na siebie odpowiedzialności, psuł tylko zaufanie wojska do wodza. Chłopicki bez edukacyi wyższej, bez patryotyzmu, bez ambicyi, żołnierz napoleoński, piękny w ogniu, znakomity wódz, o tem tylko myślał, aby się raz i drugi z nieprzyjacielem zetrzeć i z sławą wojskową zginąć. W końcu pamiętnika Zamoyski jeszcze raz wraca do Skrzyneckiego, utrzymując, że o ile ten nie był Napoleonem, ale miał zalety, był pobożny, szlachetny, poświęcony, miał znowu swoje przywary, przy małym okręgu wyobrażeń, między innymi łatwo był obraźliwy.

Pamiętnik Zamoyskiego, obejmujący pełne sprawozdanie misyi do ks. Metternicha w Wiedniu, jest niewątpliwie cennym dokumentem historycznym. Należy się też wdzięczność wydawcy za jego wynalezienie i staranne wydanie. Pamiętnik Zamoyskiego wypełnia przedewszystkiem lukę, jaka dotychczas świeciła w historii 1831 roku. Wydawca Pamiętnika słusznie zauważył, że Barzykowski, zarówno jak i inni historycy czy pamiętnikarze tej doby, podawali niedostateczne wieści o misyi Za-

moyskiego do Wiednia, albowiem nie znali sprawozdania urzędowego, jakie Zamoyski księciu Adamowi swego czasu złożył. Wydrukowany pamiętnik uzupełnia niedostatki, podając pełny obraz działalności Zamoyskiego oraz wszystkie jego listy i memoryały do Metternicha. Z notatek Zamoyskiego dowiadujemy się, że w zawodzie dyplomatycznym był zupełnym nowicuszem i nie posiadał ani odpowiedniego wykształcenia, ani doświadczenia. Przyjął stanowisko na wyraźny rozkaz księcia Adama i przynajmniej udało mu się dotrzeć do Metternicha, o co się inni daremnie kusili. Z tem wszystkiem zarówno listy, jak i memoryały Zamoyskiego, nie robią należytego wrażenia i czuć w nich uczuciowy popis improwizowanego dyplomaty, który kreśli swoje młodociane ćwiczenia, zdolne jedynie wzbudzić uśmiech ironii na ustach tak wytrawnego gracza, jakim był Metternich. Na Zamoyskim zrobił Metternich wrażenie męża stanu, w którym nie było iskry serca. Niewątpliwie sąd jego tym razem był najzupełniej trafny, ale to mu nie przeszkadzało w swych listach i memoryałach odwoływać się do Metternichowskiego serca i traktować sceptycznego kanclerza austriackiego sentymentalnym wykładem krzywd polskich z ostatniego stulecia. Jakżeż wytrawnego dyplomata musiały bawić memoryały Zamoyskiego, gdy w nich doczytał się tak naiwnych zapewnień, jak te np. że cesarz Franciszek szczęśliwym będzie, gdy trafi mu się sposobność zwrócenia nam Galicyi, która wreszcie nie jest Austrii potrzebną, lub gdy przypomina Metternichowi obowiązek wdzięczności, jaką ma Austria za krew naszą przelaną przez nas onego czasu pod Wiedniem. Spostrzegłszy tedy przed sobą nowicusza, uposażonego jedynie w duży zasób dumy, Metternich nie omieszkął go należycie pouczyć o swem nieomylnem, opatrnościowem stanowisku. Takiego wybryku pretensjonalności nie pozwoliliby sobie Metternich przed zawodowym dyplomata, wiedząc, że się narazi na śmieszność. Przed Zamoyskim odważył się jednak na puste frazesy, zdradzające wygórowaną jego próżność.

Andrzej Zamoyski żywił to przekonanie, że misję jego do Wiednia można było uważać za udaną, gdyż przynajmniej dotarł do Metternicha, czego nie dokonał ani Kniaziewicz w Paryżu, ani Wielopolski w Londynie. Działyński, ten względny dyplomatyczny skutek przypisuje temu, że Zamoyski był szorstkim i to miało imponować Metternichowi. Z podobnym poglądem na rzeczy trudno się zgodzić. Zamoyski zjawił się w Wiedniu po Dębem Wielkiem, a zatem w chwili, kiedy sprawy polskie zaciekały niezmiernie świat dyplomatyczny europejski, a niewątpliwie i wie-

deński. Czy Metternich informowany zwykle bardzo dobrze przez tajną policję austriacką, nie wiedział nic o przyjeździe agenta polskiego i kim jest ten agent, to pozostanie wielkiem pytaniem, ale przypuśćmy, że nic nie wiedział, to świadczy jedynie, że kanclerz austriacki uważał udzielenie tajnej i prywatnej audyencji za niekompromitującą wobec rządu rosyjskiego. Dowiedziawszy się zaś od Zamoyskiego kim jest, a mianowicie, że jest siostrzeńcem ks. Adama i pochodzi z rodu sobie znanego a poddanego do r. 1809 Austrii, Metternich robił drobne towarzyskie ustępstwa Zamoyskiemu nie z powodu jego szorstkości, lecz dlatego, że widział w nim błękitną krew, dla której miał zawsze pewną słabość.

Prócz zdania sprawy ze swej misji do Wiednia, spotykamy także w pamiętniku Zamoyskiego sądy o wypadkach i ludziach wybitnych z doby Listopadowej. Sądy te sprawiają wprost przynębiające wrażenie swą sangwinicznością, zacierającą wszelki ślad poczucia sprawiedliwości. Wśród poważniejszych pamiętnikarzy z 1831 r. znajdowali się tacy, którzy ruch 1830—31 r. uważali za politycznie chybiony i za narzucony krajowi przez małą garstkę studentów i podchorążych. Leon Dembowski i Fryderyk hr. Skarbek nie tylko wyrazili, ale i motywowali podobny pogląd, wyrażając przy tem co najwyżej żal i współbolewanie, że na kraj spadło, skutkiem tego wybuchu, przyniatające nieszczęście. Zamoyskiego jednak zaślepił gniew, pociski jadowite ciska na wszystkich, wszystkich też uważa za winnych, zapominając o tem, że przedewszystkiem i on sam był między winnymi, i to był tem winniejszym, że pozował na dyplomata, a nie spełniał najelementarniejszego obowiązku — jako żołnierz na pobojowisku. Według niego Chłopicki był bez patryotyzmu, Prądzyński bez charakteru, Krukowiecki był łotrem, Umiński intrygantem, Skrzynecki ograniczonym, pijanicą Wincenty Niemojowski, Robespierrem Bonawentura Niemojowski i t. d. i t. d. Ale i Zamoyski poczuwa się do monarszego prawa ulaskawiania, chociaż to ulaskawienie nie zawsze bywa szczęśliwem. Tak np. swemu wujowi „najlepsze mu do rady w pokoju,“ wyrzuca wprawdzie, że wierzył w powstanie, ale wylicza dziesiątki jego przymiotów i tylko w końcu przytacza, że ów idealny książę Adam, zamiast w sierpniu zapobiedz rozruchom lub uśmierzyć je w Warszawie, umknął, nie po rycersku, do Bolimowa, pozostawiając wolne pole Krukowieckiemu. Drugim nieosobliwie ulaskawionym przez Zamoyskiego jest Skrzynecki. Raz zwie go prawie idiotą, a następnie domaga się utrzymania go przy dowództwie, bo niema na jego miejsce kandydata lepszego, a on sam taki pobożny, pełen poświęcenia

i t. d. Że się Zamoyski w czternaście lat po wypadkach, t. j. w 1845 roku, nie zdołał dowiedzieć o tem, że na miejsce Chłopińskiego, kwalifikował się do naczelnego dowództwa Dwernicki a nie Skrzynecki, następnie, że pod Iganiami złożył Prądzyński świetny egzamin na naczelnego wodza—to rzeczywiście może każdego wprawić w zdumienie. Ale nie dość na tem, Zamoyski ciska potępienie na mężów, przypisując im przywary na mocy fałszywych pogłosek, bez żadnego dowodu. Czyniąc z Wincentego Niemojowskiego opoja, a szaleńca-Robespiera z Bonawentury Niemojowskiego, Zamoyski dopuścił się co najmniej lekkomyślności, dowodząc, że 14 lat było zamało, aby go wyleczyć z namiętności stronnicy, która kazała mu widzieć przymioty i cnoty w gronie tylko rodziny i przyjaciół własnych, a przedewszystkiem w sobie. Sądy też historyzoficzne, jak to już przedtem zauważyłem, sprawiają w pamiętniku Zamoyskiego przygnębiające wrażenie. Dla pamięci autora byłoby daleko lepiej pozostawić cały ów pamiętnik w ukryciu lub co najwyżej wydrukować tylko to, co się odnosi do misji jego wiedeńskiej. Z pamiętnika bowiem Zamoyskiego nabieramy przekonania, że autor, najzacniejszy obywatel wśród swego społeczeństwa, nie posiadał temperamentu, ani wykształcenia politycznego. Marzycielstwo, wrażliwość nerwowa i namiętność stronnicyza mąciły mu spokój w życiu politycznym, a przedewszystkiem pozbawiały go nietylko wyrozumiałości, ale i poczucia sprawiedliwości oraz dążenia do prawdy.

A. R.

DR. ROMAN KOMIEROWSKI. *Koła polskie w Berlinie 1875—1900*. Poznań 1905.

Autor powyższej pracy, znany zaszczytnie bojownik parlamentarny pruski, dał nam dalszy ciąg parlamentaryzmu prusko-niemieckiego, nawiązując ów dalszy ciąg do początku skreślonego przez dr. Henryka Szumana w r. 1902 (*Rys historyczny początków i zawiązku parlamentaryzmu polskiego w Prusiech*). W swym zarysie dr. Szuman skreślił zawiązanie się i działalność Koła Sejmowego od r. 1848 do r. 1859 a pracę swoją podjął na prośby kolegów, do których przyłączył się i Komierowski, aby w pamięci szerszej społeczności odświeżyć te nasze polityczne sprawy i usiłowania, które już prawie zupełnie zaczęły się zacierać. We wstępie do swej pracy dr. Szuman zachęca młodszych kolegów do pi-

sania dalszego ciągu Historji parlamentaryzmu polskiego w Berlinie i to zachęcenie było bodźcem dla d-ra Komierowskiego, bodźcem, któremu zawdzięczamy pracę, zawierającą ćwierćwiecze parlamentaryzmu polskiego. Autor starał się przedewszystkiem zebrać i streścić w swej pracy odnośny materiał. Zaznaczając, iż posłowie polscy w Berlinie tworzą dwa koła, t. j. koło składające się z członków izby pruskiej i izby panów, oraz koło składające się z członków Parlamentu, autor przypomina, że w r. 1859 Koło sejmowe polskie uchwaliło odpowiedni statut, który został następnie przyjęty przez koło sejmowe parlamentu związku północno-niemieckiego, a następnie rzeszy niemieckiej. Głównym rysem charakterystycznym statutów obydwóch kół jest zawarta w nich zasada solidarności. Zasada ta wyrobiła jednolitość politycznych naszych usiłowań, odróżniła nas od innych stronnictw i była kardynalną podstawą naszej jednolitości narodowej w wystąpieniach narodowych.

Zanim autor przystąpił do właściwego przedmiotu pracy, przypomniał jeszcze niektóre ważniejsze czyny kół polskich parlamentarnych z przed 1875 roku. Zwłaszcza położył autor szczególny nacisk na ten fakt, że zarówno w Związku północno-niemieckim, jak i w Rzeszy niemieckiej, posłowie polscy zastrzegali prawa Polakom przysługujące i na podstawie tego protestu wchodzili do parlamentu, nie dzieląc się w tym zbiorowym proteście na dwie części. W r. 1867 mimo protestu posłów polskich zapadła uchwała przyłączająca W. Księstwo Poznańskie i Prusy Zachodnie do Związku północnego. Kantak odczytał w imieniu Koła polskiego oświadczenie, że gdy ostateczny środek zapobieżenia aktowi przemocy wyczerpany został, posłowie polscy składają mandaty. Ta sama prawie scena powtórzyła się w pierwszym parlamencie Rzeszy, gdzie się odbył ciekawy pojedynek parlamentarny między Bismarkiem a Niegolewskim i Krzyżanowskim. Weszliśmy, powiada autor, w poczucie krzywdy i niemocy zapobieżenia takowej, zmuszeni koniecznością w ten nowy okres działania politycznego, które stanowią obrady w parlamencie Rzeszy niemieckiej.

Sprawy w których występowali nasi posłowie można podzielić na te, które obejmują: 1) religję i szkołę, 2) narodowość, 3) ekonomiczno-społeczne potrzeby w przynależności słowiańskiej. Najcięższe walki staczali polscy posłowie w sprawach kościoła i praw narodowych. W obronie wiary, Polacy poparli przez stronnictwo katolickie, tak w sejmie jak i w parlamencie, odnieśli o tyle pewne korzyści, że większą część prawodawstwa majowego zwycięzko usunęli. Za to usiłowania podjęte ku wywalczeniu większej swo-

body dla polskiego języka i w ogóle dla szkoły, dla praw polskiej narodowości, spełzły niestety na niczem. Z wyjątkiem krótkiej ery Capriviego, w której się udało uzyskać posłom polskim kilka małych ulg i względniejsze obchodzenie oraz powstrzymanie skłonności do ustaw wyjątkowych przeciw Polakom, dotychczas panuje system praw wyjątkowych, które w r. 1886 Bismarek zainaugurował i co trwa dotąd z całą siłą i zapalczywością. W końcu przedmowy autor zaznacza, że nie objął w swym podręczniku prac posłów polskich w samych Kołach, jakoteż i usiłowań ich, które pozostały po za obrębem wystąpień publicznych. W końcu autor zapewnia, że starał się zająć w pracy stanowisko czysto przedmiotowe.

Rys historyczny parlamentaryzmu polskiego w Berlinie rozpoczyna autor od walki kulturalnej, która się srożyła aż do 1886 roku. Kończy zaś swoją pracę wraz z rokiem 1899, z początkiem którego zabrzniały podniosłe słowa Mottego głoszące, że przesładowanie narodu do życia zdolnego i żyjącej narodowości, mającej znaczną kulturę, jest największą niesprawiedliwością, wołającą o pomstę do nieba. W końcu swego studyum autor zamieścił kilka ogólnych uwag, dotyczących owej ery parlamentarnej i na niektóre z nich pozwala sobie zwrócić uwagę czytelnika. Jeżeli całe 25 lecie czynności naszej reprezentacji w Berlinie sobie uprzytomnimy, powiada autor, to ogólne wrażenie jest smutne, bo chociaż były chwile, gdzie czynność i wymowa polskich posłów znajdowała pewien odcień zadowolenia, to w góle 25 lecie, tak jak cała historia polskich kół parlamentarnych, była jednym pasmem zawodów w obec takich czy owakich konjunktur politycznych. Pod tym względem rezultat polskich usiłowań, czy to w czasie protestu Niegolewskiego, czy też w czasie ery Capriviego był zawsze jeden i ten sam. Ten sam rezultat był i mów polskich. Czy przebiegał ostrzejszy, czy łagodniejszy ton w nich, odpowiedzi na nich były zawsze z małą różnicą te same, bo powoływano się w nich wyłącznie na rację stanu i ta za wszelkie inne służyła motywy.

Wmawialiśmy w siebie, pisze dalej autor, że krytyką ówczesnych usiłowań kół w Berlinie, stworzymy podstawę szerszego i pożyteczniejszego działania i że pozytywną pracą, otrząsnąwszy się z rzekomej naleciałości protestowej epoki i szeregując się do prac parlamentarnych z resztą posłów Rzeszy niemieckiej, stworzymy albo utworzymy drogę dla korzystniejszego położenia politycznego. Krytyką wywołaliśmy niewątpliwie większe usiłowania reprezentacji polskiej w Berlinie, ale też zarazem i poczucie niemocy, które znowu nas niecierpliwiło i zgorzkniałe utyskiwania

wywoływało. Tak obracając się w błędnem kole utyskiwań i nieproduktywnej krytyki, niejedne cenne siły albo odstraszyliśmy od pracy w Berlinie, albo też w waśń osobistą popadliśmy, nie dopuszczaliśmy ich do Berlina. Krytyka, jaka się u nas wytworzyła, była wprost szkodliwą, bo nieporozumieniem i niechęcią powiększała uczucie niemocy politycznej. Autor wątpi, czy kiedykolwiek, gdziekolwiek i jakiegokolwiek stronnictwo parlamentarne było przez własną swoją prasę tak często zaczepiane i krytykowane, jak Koło polskie. W czasach, w których Koła walczyły na podstawie protestu, w kraju żądano pracy rzeczowej. Lecz skoro Koło parlamentarne przeszło do pozytywnej pracy i rzeczowy, nie tylko opozycyjny zaczęło brać udział—w kraju nie było zgody w zapatrywaniach na te prace, ani pod względem ogólnej taktyki, ani pod względem poszczególnych prac, tak na polu socyalnem, jako też na polu ekonomiczno-politycznem.

Z postępującą niemocą naszą, mówi dalej autor, obniżał się i poziom znaczenia naszej reprezentacji w Berlinie. Jeżeli parlamentarizm w całej Europie stracił na znaczeniu, powadze i uroku, tem więcej to musiało nastąpić w Poznańskiem, gdzie ten parlamentarizm przyjął za dewizę: „siła idzie przed prawem.“ Pomiędzy tego wszystkiego, co tak niefortunnie na reprezentantów polskich w Berlinie oddziaływać musiało, utrzymali się oni jako placówka z tym hartem, którego od nich społeczeństwo wymagało i tak samo swego sztandaru bronili solidarnie we wszystkich parlamentarnych walkach, jak tego tradycya Koła wymagała. Nie było wypadku, aby nieprzyjaciel był w możności rozbić ten mały hufiec lub go osłabić. Pod tym względem miało też Koło po za sobą nie tylko poklask całego społeczeństwa polskiego, ale i uznanie najnieżyczliwszych wrogów. Autor uważa za swój obowiązek wskazać na chlubne usiłowania takich posłów, jakimi byli z pierwszej epoki: Gustaw Potworowski, ks. Janiszewski, August Cieszkowski, a z następnej epoki: Bentkowski, Niegolewski, Kantak, Karol Libelt, Ignacy Łyskowski, Wierzbiński, Edmund Radziwiłł, Roman Taczanowski, dr. Taczanowski, a z ostatniej epoki: Magdziński, Motty, Głębocki.

Z całego tego szeregu dzielnych posłów wyróżnił się Bentkowski, jako autor statutów Koła sejmowego. Wł. Niegolewski zaznaczył się siłą uczucia nawskroś polskiego, która mu nawet u nieprzyjaciół wyrobiła uznanie jego gorącego patriotyzmu, Kaz. Kantak, jeden z najlepszych mówców polemicznych sejmowych, i Wł. Wierzbiński, mówca ostrego tonu. Do szeregu polskich powag należał od r. 1893 do sejmku wybrany ks. Wawrzyniak, o któ-

rym minister Miquel z zazdrosnem uznaniem się wyraził, twierdząc, że podobnego męża w owym czasie społeczeństwo niemieckie nie posiadało, któryby takie jak on, jako patron spółek zarobkowych, oddał tyle usług swemu społeczeństwu. Następnie, że w Kole polskiem koleżeństwo było ściśle i karność w służbie była przestrzegana, zawdzięczano to przedewszystkiem usiłowaniom dwóch kwestorów, t. j. posłów Konstantego Szczanieckiego i Emila Czarlińskiego. Dział językowy i religii był tym działem, w którym polscy posłowie najczęściej i najgoręcej przemawiali i gdzie też reprezentacya polska ma wielkie zasługi. Mniej wybitnymi punktami działalności polskich posłów, pozostała dziedzina ekonomiczna i socjalnopolityczna. Ta powściągliwość pochodziła z położenia rzeczy samej. Te sprawy nie były nigdy walką narodowościową objęte i nie potrzebowały nigdy takiej obrony, jak np. sprawy językowe i religijne, a następnie były to sprawy rozmaicie wśród Polaków pojmowane, które wymagały pracy przygotowawczej samego społeczeństwa. W obec antagonizmu w kraju panującego, trzeba się przedewszystkiem starać o porozumienie, aby posłom polskim ułatwić ich prace i wystąpienia. Niewątpliwie są to kwestye trudne, które powinny być wcześniej przez prasę poznańską podjęte. W przeciwnym razie wytworzą się nowe przeciwieństwa, pod nowemi hasłami, a wszakżeż dosyć już dawnych waśni.

Rozpatrzywszy się w owem dwudziesto-pięcio-leciu czynności sejmowych polskiej reprezentacyi w Berlinie, autor przychodzi do tego słusznego przekonania, że polscy posłowie robili co mogli, a jeżeli smutnych wypadków nie powstrzymali, to jednakże odmówić im nie można, że postępowali podług najlepszego i gorącego narodowego poczucia. Żaden sumienny badacz dziejów tego ostatniego 25-lecia XIX wieku, nie będzie mógł pominąć mów, oświadczeń, protestów i dyskusyj polskiej reprezentacyi w Berlinie i bogatego materiału w nich zawartego. Autor w pracy swej rzucił, jak to oświadcza, szkic skromny, albo raczej chronologiczny rejestr wystąpień polskich posłów. Pomiął on jednak cały dział prac komisyjnych, w których przeznaczano zwykle miejsce dla jednego tylko członka polskiego. Rozpadały się wielokrotnie większe lub mniejsze stronnictwa, znikwały lub przemieniały się inne pod parciem przewagi powstających nowych prądów, lub działaczy politycznych, jedynie koła polskie umiały swój byt niezależnie utrzymać z tym wybitnym charakterem odrębności narodowej pod każdym względem.

Wobec przewagi germańskiego świata, pragnącej tę odrębność narodową zniweczyć, jest ona niewątpliwie dodatnią stroną

i zasługą polskich posłów. Tego uznania polscy posłowie nie wywalczyli sobie wobec stronnictw niemieckich dzięki liczebnej niemocy i nie wywalczą sobie prawdopodobnie dopóty, dopóki biurokracyzm państwowy pozostanie jedyną siłą miarodajną w wymiarze sprawiedliwości. Niedobór ten polityczny polskiej akcji w Berlinie, możemy jedynie o tyle powetować, o ile jednością i wszechstronną pracą w kraju poziom oświaty, poczucia i mienia narodowego podniesiemy i tamę przeciwko grożącemu zalewowi wzmoćniemy.

Historia sejmików prowincjonalnych w W. Ks. Poznańskim i historia parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, mają dla całego naszego społeczeństwa niezmiernie doniosłe znaczenie. Historia bowiem tych organów państwowych poucza nas o tem, czy społeczeństwo dla obrony najważniejszych praw swoich potrafiło wynaleźć odpowiednie siły i wogóle, czy je w danej chwili miało w swem łonie. Działalność reprezentacji prowincjonalnej, czy państwowej w Poznaniu, czy w Berlinie, objaśni najlepiej historyka o tem, jakim było społeczeństwo polskie i jak swe obowiązki względem narodowości własnej spełniło. Prócz tego przedstawienie historyczne owej działalności wpłynie dodatnio nie tylko na W. Ks. Poznańskie, ale i na całe społeczeństwo polskie. Wspomnienie walki w imię obowiązku i bez względu na przewagę przeciwnika, wspomnienie niezachwianego męstwa i nierozzerwalnej mimo nieustannych klęsk jedności, musi wśród społeczeństwa polskiego wytworzyć otuchę, podnieść ducha i ożywić słabnące szeregi. Historia sejmów prowincjonalnych W. Ks. Poznańskiego wraz z historią parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, winna być o ile możności najszczegółowiej i najgruntowniej napisaną, aby się stała katechizmem politycznym dla przyszłych posłów w Poznaniu i Berlinie, aby im wskazywała tradycyjną drogę, która wprawdzie nie prowadzi do zwycięstwa, ale zdobywa „wiernym tradycyi bojownikom cześć narodową i spokój obywatelskiego sumienia.

Praca p. Komierowskiego, kreśląca ćwierćwiecze ostatnie w XIX wieku parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, nie jest jedyną w literaturze naszej politycznej. Szuman, jak to i autor zaznaczył, odtworzył dzieje parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, od początków istnienia aż do r. 1859. Istnieje więc poważna luka w historii parlamentaryzmu, ale w każdym razie praca posła Komierowskiego ową lukę znniejsza i daje nam historyczne studyum, pełne niezwykłego interesu, napisane ze spokojem i wyrozumiałością, a przedewszystkiem z głębokim zrozumu-

mieniem stanowiska, jakie wszelka reprezentacja polska w Prusach zająć powinna. Autor rozumie doskonale i zaznacza też najwyraźniej, że w zgodzie wewnętrznej, w spoistem, solidarnem występowaniu, jest jedyny ratunek dla wszelkich kół parlamentarnych polskich, a że rozkład frakcyjny i waśń wewnętrzna grożą kołom parlamentarnym nieodzowną zagładą. Całe też rozumowanie autora, cały jego pogląd na przeszłość parlamentaryzmu polskiego stoi na wysokości zadania i będzie mieć należyty wpływ nie tylko na poznańską dzielnicę. Szkoda jedynie, że autor nadał swemu dziełu informacyjny, jak się sam wyraża, charakter i że nie uwzględnił szczegółowiej zarówno prac Polaków w komisjach, jak i mów parlamentarnych w Berlinie. Ponieważ Polaków w komisjach było nie wielu, a więc tembardziej należało uwzględnić ich działalność, boć ona nie wpłynęłaby zbyt na rozszerzenie książki. Co się zaś tycze mów parlamentarnych, to przytaczanie ich w całości wpłynęłoby niewątpliwie na zbytne rozszerzenie dzieła. Ale też tego nie potrzeba było wcale czynić. Kolmer w pracy swej, mogącej służyć za wzór innym, a noszącej tytuł „Parlament und Verfassung in Oesterreich,“ zawarł 21 lat parlamentaryzmu austriackiego (1848—1869) w sposób tak dokładny i wyczerpujący, że może służyć za przykład wszystkim pracom w powyższym kierunku. A jednakże Kolmer nie drukował całych mów i nie rozszerzał swej pracy zbyt. Znajdujemy w niej treść ważniejszą wszelkich przemówień, czy to w komisjach, czy to w izbie, i nie opuszczono w niej nic, coby mogło dotknąć którykolwiek kraj lub którąkolwiek bądź narodowość. Sądzę też, że autor nie byłby nadmiernie rozszerzył swej pracy, gdyby był w streszczeniu podał mowy polskich parlamentarzystów w Berlinie. Tymczasem autor trzymał się odmiennego systemu. Niektóre z mów podał w streszczeniu, ale co do większości z nich trzymał się ogólnikowego zaznaczenia, że ta i ta mowa była świetną, mówca odparł w niej wszelkie zarzuty i t. d. i t. d. Dla historyka, tego rodzaju uogólnienia nie będą wystarczającymi: będzie się on musiał zapoznać z całym tekstem mów. Autor byłby mu ułatwił zadanie, które z biegiem lat stanie się coraz bardziej utrudzającym. W każdym razie praca posła Komierowskiego jest niezmiernie pouczającą i interesującą. Daje nam ona poznać wyjątkową doniosłość i wyjątkową trudność, na jaką bywa narażoną reprezentacja polska w Berlinie.

A. R.

TIMOSZCZUK. *Polska konstytucja 3 maja i zachowanie się względem niej Rosji.* (Ruskaja starina, 1904, zeszyt za kwiecień, maj, czerwiec i lipiec).

Rosyjski historyk rozpoczyna swe studyum od skonstatowania faktu, że przewrót państwowy, jaki się w Polsce pod nazwą konstytucyi 3 maja dokonał, przyjęty został przez cały kraj radośnie. Cieszyła się z konstytucyi nie tylko szlachta, ale i mieszczanie, a w dodatku przychodziły z zagranicy wiadomości, że wybitni uczeni, mężowie stanu i monarchowie odzywali się o konstytucyi z żywym uznaniem. Jeden tylko Bułhakow zachował się wobec przewrotu z d. 3 maja milcząco, a rządowi swemu przesłał następujące uwagi: We wszystkich innych państwach reforma powyższa mogłaby osiągnąć zadanie, ale nie w Polsce, gdzie nie ma wytrwałości, ani siły. Na prowincyi wogóle chwałą konstytucyę, ale to dlatego, że nikt nie śmie wypowiedzieć swego zdania. Jest jednak wielu niezadowolonych z konstytucyi, którzy dotychczas nie śmieli wypowiedzieć przeciw niej ani jednego słowa. Sami główni sprawcy przewrotu rachowali na pomoc Prus, na intrygi Saksonii, a teraz sami nie wiedzą, co czynić dalej i jakim sposobem nadać trwałość swemu dziełu. Już obecnie dręczy ich strach przed zawarciem pokoju z Turcyą. Wprawdzie podrażniona przebywaniem obcych wojsk w kraju, szlachta przysięgła ochoczo na konstytucyę i poszła do wojska, ale jak zobaczy, że obietnice zwycięstw były urojone, a płacone z ich majątków podatki nie wystarczają na utrzymanie wojska, zmienią szybko swe przekonania i poczną inaczej myśleć. To jest pewnem, że Polacy niezadługo wyrzekną się dziedzicznego tronu i despotycznej władzy królewskiej.

Domniemania rosyjskiego posta nie były bez podstawy. Przeciwnicy konstytucyi obliczali nawet, że na 150 członków Sejmu, zasiadających w d. 3 maja, było nieprzychylnych reformie aż 70. Następnego dnia wszakże jeden tylko senator Czetwertyński z 27 posłami złożył oświadczenie, że konstytucya 3 maja drogą przemocy przyszła do skutku. W kilka dni później zjawiono się kilku posłów u króla z oświadczeniem, że d. 4 maja zrobili dla tego manifestacyę nieprzychylną konstytucyi, że sejmiki poleciły im niezgodzenie się na dziedziczność tronu, a więc chcieli decyzję w tej ważnej kwestyi pozostawić wyborcom. Byli także posłowie, jak Hulewicz i Złotnicki, którzy konstytucyę 3 maja uważali za mogiłę polskiej wolności. Dnia 9 maja oświadczył się przeciw

konstytucji Skórkowski, poseł sandomierski, a i wystąpienie drugiego posła sandomierskiego, Mężeńskiego, nie było dla konstytucji przychylnem.—Jednem słowem od samego początku utworzyła się grupa opozycyjna, która się zbierała w mieszkaniu Borzęckiego i przemyślała o urządzeniu kontr-rewolucyi. Później opozycja przeniosła się do p. Walewskiej i zawiązała stosunek z Bułhakowem, zapewniając go, że jest w możności zmienić obecne położenie rzeczy i przywrócić dawny, gwarantowany przez mocarstwa porządek Rzeczypospolitej.

Bułhakow miał się jednak na ostrożności i przede wszystkim otoczył twórców konstytucyi szpiegami. Kamerdyner Ignacego Potockiego był u niego na żołdzie. Wreszcie w wypłacaniu pensyi swoim stronnikom był bardzo przezornym i dawał instrukcye Branickiemu i jego żonie, jak mają służyć pożytecznie sprawie Rosyi. Bułhakow otaczał swe działania tajemnicą i przyjmował przeciwników konstytucyi z osobna. Branicki wszakże uważał ostrożność posła za zbytęzną i nosił się z zuchwałym planem porwania króla w Łazienkach, rozegnania Sejmu i zniesienia konstytucyi 3 maja. Gdy jednak wiadomość o tym zamiarze doszła do króla i ten wezwał Branickiego do tłumaczenia się, zuchwalec uciekł się do kłamstwa i wyparł się wszystkiego, prosząc o pozwolenie wyjazdu do Rosyi. Z całego obszaru Rzeczypospolitej przychodziły stosunkowo pomyślne wiadomości o wrażeniu, jakie uczyniła konstytucya na społeczeństwie szlacheckiem. Jedyne tylko południowe prowincye stanowiły poważną troskę dla Stanisława Augusta, albowiem szlachta okazywała się źle usposobioną dla mieszczan i wśród chłopstwa obawiać się należało rozruchów. Rząd polski starał się ukryć wszystkie swoje strapienia, ale w Petersburgu wiedziano o najmniejszych jego kłopotach i zastanawiano się w Radzie państwa, jak je w danym razie jaknajlepiej wyzyskać.

Na czele opozycyi stanął dość wcześnie Szczęsny Potocki, w którego Tulezyńskim pałacu znajdowali gościnne przyjęcie Potiemkin i Suworow. W chwili uchwalenia konstytucyi 3 maja, Szczęsny znajdował się w Paryżu i z zagranicy pisał do króla, poddając konstytucyę surowej krytyce. W końcu zaś prosił króla, aby poprawił swój błąd i powrócił Rzeczypospolitej dawne wolności, w przeciwnym bowiem razie on, Szczęsny, opuści Polskę i poszuka sobie innej ojczyzny. W równie stanowczy sposób napisał Szczęsny listy do Małachowskiego i Ignacego Potockiego i koło niego skupiła się cała opozycja przeciw konstytucyi 3 maja po za granicami Rz-tej. Jednocześnie cesarzowa Katarzyna

zwróciła uwagę na Szczęsnego Potockiego i na Rzewuskiego, jako na główne osobistości, które pomogą Rosyi do usunięcia konstytucyi 3 maja i przywrócenia Rzeczypospolitej dawnej zagwarantowanej wolności. Potiemkin nosił się z myślą daleko radykalniejszego rozwiązania polskiej sprawy. Dopraszał się on u cesarzowej godności atamana kozackiego. Jako taki miał on zamiar wstąpić w ślady Chmielnickiego, wzniecić bunt na Ukrainie i wsparty odpowiednim oddziałem wojsk rosyjskich, zadać Rzeczypospolitej cios śmiertelny. Katarzyna uważała plan Potiemkinowski za zbyt awanturniczy. Do przekonania cesarzowej przemawiała polityka ostrożna i na pewnej rachubie oparta. Przedewszystkiem wszelkie stanowcze decyzje odłożyła cesarzowa do czasu, kiedy pokój z Turcyą rozwiąże jej ręce. Następnie, znając lekkomyślność Polaków, a przedewszystkiem Stanisława Augusta, nie traciła nadziei, że prędzej czy później Polacy sami podadzą jej najlepszą sposobność do osiągnięcia zamierzonego celu. Naprzód więc upatrzyła sobie dwie osobistości, które w danym wypadku mogły być najwięcej pożyteczne, t. j. Szczęsnego Potockiego, który prawie od pieluch był wiernym i oddanym Rosyi oraz Rzewuskiego, który z wroga stał się sprzymierzeńcem Rosyi w tem przekonaniu, że Rzeczpospolita bez pomocy Rosyi ostać się nie może.

W chwili bardzo dogodnej dla Rosyi odezwał się z Wiednia listownie Szczęsny do Potiemkina, który naówczas przebywał w Jassach. Potocki przybył do Wiednia, aby Leopolda podburzyć przeciwko konstytucyi 3 maja, ale napotkawszy grunt zupełnie nieodpowiedni, postanowił udać się po pomoc do Petersburga. Potiemkin przesłał natychmiast list Szczęsnego cesarzowej, a ta wydała tajny reskrypt na ręce Potiemkina, w którym znajdowały się szczegółowe instrukcye, jak należy wyzyskać na dobie będące zgłoszenie się Potockiego. Cesarzowa zgadzała się na zawiązanie konfederacyi, na czele której stanąłby Potocki z Rzewuskim. Konfederacyę powyższą obiecywała poprzeć swemi wojskami, ale stanowczo pragnęła wystąpić dopiero po zawarciu pokoju z Turcyą i zastrzegała sobie najwyraźniej, że inicjatywa do jej interwencyi w sprawach polskich wychodzi od Polaków, którzy ją ubłagali, aby ratowała ich dawne wolności. W dodatku cesarzowa zastrzegała sobie, aby Potocki z Rzewuskim przybyli do Jass, w celu osobistego porozumienia się i ułożenia wspólnej kampanii z Potiemkinem. Obaj polscy magnaci przybyli do Jass, prawie w tym samym dniu, kiedy Potiemkin pod Jassami zmarł na rękach hetmanowej Branickiej. Strwożeni tym nagłym i nieoczekiwanym

wypadkiem, zniknęli oni z Jass, ale Bezborodko przysłany na miejsce Potiemkina dla zawarcia pokoju z Turcyą i dla wzięcia sprawy polskiej w ręce, wezwał ich do powrotu. Bezborodce zdawało się, że pewna skrytość byłaby pożyteczna negocyacyom i w tym celu proponował polskim magnatom, aby obrali siedzibę w wiosce Czerdak, odległej o milę od Jass, w której lubił odpoczywać i polować Potiemkin. Potocki i Rzewuski odpowiedzieli na to Bezborodce, iż nie uważają za stosowne otaczać działalność swoją jakąkolwiek tajemnicą. Urządzili się też świetnie w Jassach, a Rzewuski imponował mieszkańcom, przejeżdżając się po ulicach pojazdem i cugami Potiemkina, w czem udział przyjmował Potocki uważał za niestosowne.—Wkrótce do Jass przybył Braniccki, niby do żony i w celu uregulowania spadku po Potiemkinie. W tem też gronie, do którego należała i żona Branicckiego, odbywały się narady z Bezborodką, w których ułożono cały plan konfederacyi. Do Jass przybywali także gońce w imieniu króla i Rzeczypospolitej, aby upomnieć upornych spiskowców i skłonić do powrotu do ojczyzny. Stanisław August przeczuwał, że wszelkie jego posłannictwa do Szczęsnego na nic się nie zdadzą, ale mimo to wysłał do Jass Stanisława Potockiego, z listem niezmiernie ujmującym do Szczęsnego, aby powrócił do kraju i obowiązków publicznych. Pomimo wzruszenia, jakie chwilowo ogarnęło Potockim, wytrwał w uporze i wszelkie zabiegi królewskie okazały się daremne.

Otoczenie cesarzowej w Petersburgu miało jednak co do wierności magnatów polskich pewne obawy i wątpliwości. Bezborodko musiał kilkakrotnie wykazywać płonność tych podejrzeń i skłonił Katarzynę, iż mimo zajęć, na które się uskarżała, postanowiła przyjąć uroczyste w Petersburgu Potockiego i Rzewuskiego i nadać sprawie interwencyi w Polsce poważną postać. Potocki i Rzewuski, po przybyciu do Petersburga, otrzymali audyencyę u cesarzowej w przytomności jednego tylko Zubowa. Doręczyli oni Katarzynie prośbę uniżoną o udzielenie im łaskawej opieki i powrót im dawnej wolności, zniszczonej przez konstytucyę 3-go maja. Cesarzowa przyrzekła im swą łaskę i, za poradą Bezborodki, zaraz po zawarciu pokoju z Turcyą, armia powracająca z kampanii tureckiej, pod dowództwem Kachowskiego i Krecztnikowa, miała wkroczyć w dzierżawy Rzeczypospolitej i dać konfederacyi Targowickiej należyte poparcie. Do wprowadzenia w rzeczywistość powyższego planu dopomogły wypadki w r. 1792. Przedewszystkiem pokój z Turcyą został zawarty, zostawiając cesarzowej Katarzynie wolne ręce. Następnie zmarł Leopold au-

stryacki, którego sympatye dla konstytucyi 3 maja były wiadome, a w końcu Prusy nie myślały bronić Rzeczypospolitej wobec Rosyi i przemyślały jedynie, jak najobficiej obłowić się przy oczekiwanym i wiszącym w powietrzu nowym podziale Rzeczypospolitej.

Stanisław August przyszedł wówczas do przekonania, że został najzupełniej wyprowadzony w pole przez dwór pruski. Widział on, że na wypadek wojny z Rosyą, nie może liczyć na najmniejszą pomoc od swego sprzymierzeńca, a śmierć cesarza Leopolda pozbawiała go poparcia moralnego i ze strony Austrii. Wtedy też, gdy Bułhakow wręczył Chreptowiczowi notę swojej monarchini, domagającą się powrotu do gwarantowanej przez mocarstwa konstytucyi Rzeczypospolitej, tenże na pożegnalnej biesiadzie zapytał Bułhakowa, czyby się niedało zawiazać negocyacyi z dworem rosyjskim. Dwór pruski wprowadził nas w matnię i zdradził nas najzupełniej, oświadczył Chreptowicz; chociaż dla tego samego, ażeby się odpłacić należycie wiarołomnemu sprzymierzeńcowi, król gotówby był nawiązać stosunki z Rosyą i szukać porozumienia się z cesarzową. W tym właśnie celu Stanisław August polecił księciu Józefowi unikać, o ile możności, wojennego starcia, aby odwlec stanowcze zerwanie. Bułhakow przyjął życzliwie wszelkie oświadczenia Chreptowicza, zaznaczając wszelakoż, iż tylko na podstawie doręczonej noty, która domaga się usunięcia konstytucyi 3 maja, może przystąpić do negocyacyi. Zresztą wszelkie oświadczenia Stanisława Augusta, gotów jest bezwzględnie przesłać cesarzowej do uwzględnienia. Czas do negocyacyj dyplomatycznych minął już bezpowrotnie. W chwili, gdy Chreptowicz żegnał Bułhakowa biesiadą, wojska rosyjskie wkrczały w dzierżawy Rzeczypospolitej i tylko miecz mógł rozstrzygnąć dyplomatyczny spór między obu państwami.

Dziejopis rosyjski nie wyczerpał literatury polskiej, odnoszącej się do powyższej epoki, chociaż znał i spożytkował ważniejsze prace, jak np. Kalinki i Smoleńskiego. Również literatura niemiecka, francuska i angielska pozostały dlań pod tym względem obceni. Jedynie w dziedzinie źródeł rosyjskich autor objawił pewną skrętność w zgromadzeniu ich, ale i w tym kierunku zadowolnił się dokumentami drukowanymi w „Ruskoj Starinie“ lub w „Ruskom Archiwie,“ a nie czynił poszukiwań samoistnych, źródłowych. Studium autora nie jest więc wyczerpującem i pod względem głównego kierunku badania, t. j. nie daje nam wykończonego obrazu zachowania się Rosyi względem konstytucyi 3 maja, ale za to pod względem przedmiotowo-

ści badania, poczucia sprawiedliwości i dążenia do odtworzenia prawdy—praca p. Timoszczuka zadowolni badacza i czytelnika polskiego. Niema w jego studyum żadnej zjadliwej tendencji i popisywania się z obłudną historyozofią. Jest więc w pracy dobra wiara, nadająca studyum p. Timoszczuka niewątpliwą wartość, którą polscy badacze uwzględnią i oceniają.

A. R.

GENERAL KWADRI. *Świta cesarza Aleksandra I w polskiej armii.* 1905. (Po rosyjsku).

Autor rozpoczął opowieść od utworzenia armii polskiej w roku 1815, przytem nie omieszkął cofnąć się wstecz i skreślić w sympatycznych rysach zasługi bojowe armii Księstwa Warszawskiego. Począwszy od r. 1815 autor przedstawia szczegółowo troskliwe zajęcie się Aleksandra I wojskiem polskiem, a przedewszystkiem usilne starania naczelnego wodza W. Księcia Konstantego, aby wojska polskie wyrobieniem i służbistością przewyższyły nie tylko wojska rosyjskie, ale i wszelkie wojska europejskiego kontynentu. Autor w pracy swojej posiłkował się obficie źródłami oraz ilustracyami polskimi, ale przyznać trzeba, że nie zaniedbał i rosyjskich. Wszystkie pamiętniki rosyjskie zostały należycie wyzyskane i na podstawie źródeł polsko-rosyjskich odtworzony został udatny portret Aleksandra I i W. Ks. Konstantego. Pierwszy z nich odtwarza nam sympatyczną postać monarchy-wskrzesiciela i drugi nie jest pozbawiony pięknych barw, ale ostatecznie autor podzielił zdanie Szildera, utrzymującego, że jedna chwila zapaleczywości u W. Ks. Konstantego kazała zapominać o wszystkich przymiotach, jakie posiadał, jako wódz naczelnny wojska polskiego.

Zanim się autor zajął właściwem zadaniem swej pracy, to jest zanim skreślił historię świty polskiej armii cesarza Aleksandra I, wymienił nazwiska tych wszystkich Polaków, którzy na początku wieku 19 otrzymali wyższe stopnie w świecie rosyjskiej Aleksandra I. Spotykamy w tym rzędzie na pierwszym miejscu Adama Ożarowskiego, który w r. 1807 został mianowany generał-adjutantem. Następnie w r. 1807 hr. Stanisław Potocki został generał-adjutantem, a godności fligel-adjutantów otrzymali Włodek w r. 1808, Stanisław Branicki w r. 1809, Konstanty Lubomir-

ski w r. 1812 i w końcu hr. Jarosław Potocki. Wszyscy ci oficerowie byli w epoce wojen napoleońskich w bardzo fałszywym położeniu pozostając w rosyjskiej służbie. W r. 1812, zwłaszcza gdy na rosyjskich wodzów i oficerów padało podejrzenie niełojalności, Polacy tembardziej nie mogli się uwolnić od tego rodzaju następstw narodowego rozdrażnienia. W r. 1812 miał miejsce wypadek, który rzucił najniesprawiedliwsze podejrzenia na fligeladjutanta ks. Lubomirskiego. W Smoleńsku, po odbytej radzie wojennej, pułkownik Toll zatrzymał się pod oknami mieszkania Lubomirskiego i opowiadał towarzyszom swoim o ruchach armii, które przedsięwziąć w najbliższej przyszłości należało. Lubomirski, usłyszawszy opowiadanie Tolla, uprzedził listownie matkę, mieszkającą w Jadach, iż zagraża jej w tej wiosce niebezpieczeństwo. List dostał się do rąk Murata, który stał kwaterą w wiosce księżnej Lubomirskiej i tym sposobem powstały podejrzenia bardzo przykre dla jej syna. Główna komenda rosyjska rozumiała jednak dobrze, że na charakterze Polaków świty rosyjskiej polegać można i że jedynie ze szczególnych, ówczesnych okoliczności wynikają wszelkie podejrzenia. Postanowiono też ułatwić im służbę wysyłając Włodka do Moskwy, Lubomirskiego do Petersburga a Branickiego i Potockiego do Gżatska. Fałszywe położenie Polaków w świcie rosyjskiej zostających, skończyło się z chwilą utworzenia Królestwa Polskiego. Prawie wszyscy ci oficerowie nosili w dalszym ciągu z chlubą mundur rosyjski i żadnemu z nich czynu niehonorowego zarzucić nie było można.

Do świty polskiej armii należał przedewszystkiem W. Ks. Konstanty, a jakkolwiek niema jego nominacji na generaładjutanta, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że występował w mundurze świty wojsk polskich i kilkakrotnie się wyrażał, że noszenie polskiego munduru generaładjutanta uważał i uważa za szczególną cześć. W r. 1815 mianowany został w świcie polskiej generaładjutantem książę Antoni Sułkowski. W r. 1817 otrzymał też samą godność ks. Konstanty Czartoryski, w r. 1818 Wincenty Krasiński. Godność fligeladjutanta polskiej świty otrzymał Fredro w r. 1817, Józef hr. Żaluski w r. 1815 i Józef Szymanowski w r. 1818. Autor podał biografie dość ściśle wszystkich oficerów polskiej świty cesarza Aleksandra I, a w dodatku zaopatrzył je podobiznami. Polski czytelnik doznaje bardzo przyjemnego wrażenia, czytając pracę generała Kwadri. Spotyka się w niej bowiem z wyrozumiałością, sprawiedliwym sądem i z tą wyjątkową przychylnością, jakiej nawet w tym stopniu u generała Szildera nie można było zauważyć. Wysokie przymioty, jakie generał

Kwadri w swej pracy okazał, sprawiły to niewątpliwie, że czytelnik polski z niecierpliwością oczekiwać będzie drugiego tomu, w którym spotkamy się z świtą polską cesarza Mikołaja I.

A. R.

J. G. *Materyały do dziejów Akademii Połockiej i szkół od niej zależnych*—Kraków, 1905, 8-o, str. 288.

Monografia p. J. G. stanowi IX tom cennego wydawnictwa „Materyały i opracowania, dotyczące wyższych zakładów naukowych w Polsce“ — wydawnictwa, które się waluie przyczyniło do poznania naszych ognisk oświaty i warsztatów pracy naukowej. Może żaden uniwersytet polski nie jest tak mało znany, jak istniejąca od 1812 do 1820 r. akademia jezuicka w Połocku, która w dziejach naszej umysłowości zajmuje odrębne, charakterystyczne stanowisko. P. J. G. nie pisał historyi, w ścisłem tego słowa znaczeniu, tej instytucyi, podał jeno przyczynki i źródła, które przeplata opowiadaniem o biegu życia tego zakładu. Autor wielce zacieśnił wybór materyału i pominął niesłusznie rzeczy, któreby dawały poznać ducha i fizyognomię uczelni połockiej, a strona ta stanowi niewątpliwie ciekawą kartę z przeszłości oświaty polskiej. Akademia połocka była zakładem niemal średniowiecznym: na katedrach kwitła scholastyka, profesorowie głosili zasadę, że wszystkie nauki są służebnicami teologii; organ akademicki „Miesięcznik Połocki“ szerzył konserwatyzm, ślepe trzymanie się tradycyjnych powag i niewolnicze naśladowanie przekazanych wzorów, a wszelkie zdobycze myśli wieku XVIII-go potępiał w czambuł. Postępowy odłam społeczeństwa ówczesnego zwalczał takie tendencje, zwłaszcza wsteczniectwo akademii, które niekiedy przechodziło wszelkie granice. Ta walka przekonaniowa, której ślady znamienne pozostały z jednej strony na szpaltach „Miesięcznika Połockiego,“ z drugiej w „Dzienniku Wileńskim,“ „Pamiętniku Warszawskim“ i „Wiadomościach Brukowych“ w historyi umysłowości naszej jest pierwszym poważnym objawem ściierania się dwóch prądów: reakcyi i postępu.

Najnowszy dziejopis tej twierdzy obskurantyzmu, jaką była w opinii najświetlejszych mężów ówczesnych, akademia w Połocku, zwana ironicznie smorgońską, nie tylko, że nie podaje z tych wielce ciekawych artykułów i broszur polemicznych, ale

całkiem zanilcza o zmagających się kierunkach myślowych; przytoczenie zaś tych charakterystycznych poglądów było stokroć ważniejsze, niżeli przedrukowywanie setek nazwisk celujących uczniów.

Jeśli autor pomija zupełnie tę stronę umysłowego życia opisywanej akademii, to nie zatrzymuje się także zgoła na stanie nauk w tym zakładzie. Chmielowski w swej pracy (Ateneum 1883), która autorowi nie jest znana, rozpatruje jedynie artykuły uwydatniające *przekonania* mistrzów połockich, a dotąd wcale nie zbadano, jak i czego tam uczono, co stanowi kwestyę pierwszorzędnej doniosłości. Wprawdzie autor podał in extenso kilka prospektów wykładów, atoli nie wystarczają one do wyrobienia dokładnego pojęcia o poziomie wiedzy. Materiał taki zawierają rozprawy naukowe, zagajenia kursów, zamieszczone w „Miesięczniku Połockim,” tudzież dzieła, wydane osobno, aliści autor nie wyszczególnia je nawet ściśle bibliograficznie, a choćby krótkie scharakteryzowanie paru prac przekonałoby daleko więcej o ich wartości, niż panegiryczne określenia: np., autor wielce chwali uczoność i różne przymioty Angioliniego (str. 216), ale o głównym produkcie jego talentu: „Institutiones philosophiae“ (Połock 1819), nie mówi nic a nic.

Wogóle autor nie wyprowadza na widownię ludzi, lecz same ich nazwiska, nie kusi się wcale o charakterystykę wybitniejszych osobistości; wylicza zaś mnóstwo imion i dodaje zawsze stereotypowe pochlebne wzmianki, nie rozróżniając zupełnie ziarna od plewy. Przypomina to dawny sposób pisania żywotów jezuitów, gdy każdy był clarissimus i celeberrimus, atoli obecnie takie gołosłowne określenia nie mają znaczenia. Bezstronniejsza, głębsza i więcej wyczerpująca ocena profesorów połockich, była koniecznym postulatem dla specjalnej pracy o tym instytucie naukowym. Gdyby autor należycie poznał niektóre ich rozprawy i rozejrzał się w ówczesnych czasopismach, znalazłby dane do charakterystyki i prawdziwej oceny; biorę na chybił trafił: „jezuici połoccy szczylicili się swoim leksykografem Antonim Korsakiem, dodatni sąd o nim krystalizuje historyk piśmiennictwa tego zakonu ¹⁾, za nim powtarza to samo ze zwykłą powierzchownością, Sobieszczański ²⁾, a tymczasem słynny filolog, profesor uniwersytetu wileń-

¹⁾ *Brown*, Biblioteka pisarzyw assystencyi polskiej Towarzystwa Jezusowego — Poznań, 1862, str. 230.

²⁾ *Encyklopedia powszechna*, T. XV, 1864, str. 530.

skiego, Ludwik Sobolewski, w rozbiórze zachwalonego słownika, dowodzi, że to marna kompilacya z Knapiusza, i że wiadomości lingwistyczne Korsaka były bardzo niedostateczne¹⁾. Nie znaczy to wcale, aby wśród profesorów uniwersytetu w Połocku nie było ludzi wykształconych i zdolnych, ale właśnie trzeba było ich wyeliminować, gdyż giną oni w lesie monottonnych i szablonowych ogólników autora i nikt nie zda sobie jasno sprawy, iż pomiędzy mnóstwem tych miernot byli utalentowani i nauczali z pożytkiem: wymowny Rajmund Brzozowski, znawca i miłośnik literatury polskiej, Piotr Hawryłowicz, biegły filolog i dobry nauczyciel, Wincenty Buczyński, cięty polemista, głowa tęga i rozumna, przytem myśliciel niepowszedni.

Nie znajdujemy w tem dziele zogniskowania w jedno donioślejszych stron działalności akademii, podsumowania jej wad i zasług, jednym słowem ogólnego poglądu na znaczenie i wartość tej instytucyi; autor bardzo optymistycznie i pochlebnie wyraża się o akademii połockiej (str. 67), atoli sąd swój nie osnuł na żadnych przesłankach, ani na faktach, gdyż zbyt milczeniem najgłośniejsze kwestye, nie pogłębił rzeczy i nie odróżnił stron ważnych od błahych. Ponieważ połocka akademia jest znaną badaczom i to dość specjalnym, przeto po przeczytaniu tej książki czytelnik może nabrać zupełnie opaczego pojęcia o tem ognisku oświaty.

Dość długo w piśmiennictwie naszym krążyły ujemne zdania o wartości uniwersytetu w Połocku: mówiono o zacofaniu, o niskim stanie umiejętności, o braku rzetelnej nauki w pracach i wykładach profesorów etc. Były głosy i inne, starające się przedstawić, iż jezuici połoccy dobrze się zasłużyli oświacie, szerząc naukę prawdziwie chrześcijańską i tylko krótkość czasu stanęła na zawadzie rozkwitowi wiedzy. Ci, co formułowali swoje zarzuty przeciw szkole połockiej, lub jej bronili, opancerzali się szeregiem dowodów i argumentów. Autorowi zgoła nie są znane ani opinie współczesnych, ani sądy potomnych, przytacza jedynie pochlebne zdanie Strutyńskiego (Berlicza Sasa str. 132), a o innych głucho zupełnie. Rozbieżność zdań co do tego zakładu ma głębsze znaczenie: późniejsze ścieranie się prądów umysłowych posiada punkty styeczne z antagonizmem uniwersytetu wileńskiego i akademii połockiej. Gdy nie stało obydwóch wyższych szkół na Litwie, obozy, których wyrazicielkami były wyżej wymienione

¹⁾ Dziennik wileński, 1819, T. I, 607 i następ.

wszechnice, skoncentrowały się z jednej strony w „Rubonie,” redagowanym przez Bujnickiego, z drugiej w „Athenaeum” Kraszewskiego. Szermierzem tych zasad, które ongi propagował „Miesięcznik Połocki,” stał się później w innej dzielnicy naszego kraju „Przegląd” poznański. Z biegunowo odrębnych stanowisk zapatrywania się wypływa sprzeczność poglądów, a właśnie ich beznamiętna analiza była niezbędną przy ocenie tej akademii, a nadto rozjaśniłaby niejedną kwestyę w kierunkach naszej umysłowości.

Kto jest nieprzychylny dla jezuitów połockich, zasługuje od autora na naganę, a jednym z takich był Jan Śniadecki; to, co autor przytacza z listów, drukowanych u Balińskiego, a co się mu tak nie podoba, jest jeszcze bardzo spokojne, w porównaniu z popufnemi zwierzeniami Śniadeckiego. Jak jezuita musieli mu dopieć do żywego, skoro w kilkanaście lat po znanych jego zatargach, nie może ukryć swego oburzenia i wypowiada swoje mniemanie bez ogródki: „Wielkie zrobił dla kraju dobrodziejstwo Senat krakowski, że nie dopuścił jezuita do katedry w uniwersytecie. Wszyscy tu błogostawiają cesarza Aleksandra I za wypędzenie z kraju tego szkodliwego towarzystwu, moralności, a nawet samej religii zgromadzenia. Byli pod moim zarządem lat cztery, przypatrzyłem się ich sprawom i postępkom, a chcąc podnieść zgubioną przez nich na Białej Rusi instrukcyę szkolną, podawałem im radę prawdziwie przyjacielską i na ich korzyść, której nietylko nie przyjęli, ale przez podstępny, kabały i kłamstwa, wyrobili się na akademię od uniwersytetu niezawisłą; a bez nauki, bez talentu utrzymywali się przez kilka lat samą obłudą i oszustwem, aż do swego upadku, który im przepowiedziałem“ ¹⁾.

Niepoehlebne też zdania czytamy u historyków ze szkoły wileńskiej: u Jochera, Styczyńskiego, Balińskiego, Rogalskiego, Kirkora, którzy podkreślają nieudolność uczonych połockich, prawią o zacieśnieniu i zaśniedziałości pojęć, niekiedy nawet ośmieszają ten zakład, a w ostatecznej konkluzji mówią zgodnie, że ta akademia nie miała żadnej wartości. Jakże odmiennie brzmią głosy innych, przeważnie uczniów tej szkoły, którzy imiona profesorów nazywają świętami, zachowują dla nich wdzięczność i uznanie za światło udzielane sobie i wogóle z najwyższą przyjemnością wspo-

¹⁾ List do prof. Franciszka Szopowicza dnia 20 lipca 1827 r. z Wilna. Kodeks Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego № 3139.

minają czasy akademickie.¹⁾ Sprzeczność ta jest dość zrozumiała: dla tych, co krytykowali szkołę w Połocku, miarą wartości był uniwersytet wileński, który kwitnął w całej świetności i musiał swą sławą tak olśniewać, że w jego promieniach zgasłaby nie jedna instytucja, a nie tylko akademie połocka, która znakomitemi siłami pochlubić się wcale nie mogła. Późniejsi pisarze, którzy potracali o tę sprawę, tak samo rozmaicie twierdzą, jedni (Załęski, Helleniusz, Wołyniak) przypisują akademii duże zasługi, drudzy wygłaszają opinie ujemne, choć nie tak namiętne, ale podobne do twierdzeń wileńczyków, jak Feliks Zieliński i Piotr Chmielowski.

Za dalekoby nas zaprowadziło roztrząsanie tych poglądów; krótko mówiąc, ani jedna ani druga strona nie mają całkowitej słuszności: akademie połocka nie była bynajmniej zakładem, któryby zaznaczył wydatnie swoje istnienie w dziejach naszej nauki, brakło w niej ludzi, prawdziwie oddanych wiedzy, która na katedrach, z wyjątkiem paru, była w mizernym stanie; niemniej przeto choć słabo, ale szerzyła oświatę, posiadała kilku ludzi zdatnych, którzy umieli dobrze wykładać i potrafili wzbudzić poszanowanie i przywiązanie wśród młodzieży; następnie akademie, występując jako rzeczniczka pewnych poglądów, wywoływała protesty i polemiki, a spory te przyczyniły się do podniesienia wielu kwestyj literackich, społecznych i pedagogicznych. Napaść na akademie za obstawanie przy konserwatywnych pojęciach nie ma racji, ponieważ one miały wielu stronników wśród społeczeństwa na Białej Rusi, a ścieranie się oddmiennych światopoglądów wpływa niezmiernie dodatnio na ruch umysłowy. Teraz uwierzyć trudno, iż wtedy w dalekim Połocku wychodziło czasopismo polskie, poruszające najrozmaitsze zagadnienia myśli ludzkiej—a to jedno już stanowi zasługę tej akademii.

Najkardynalniejszą wadą omawianej monografii jest małe wyzyskanie literatury przedmiotu; autor pomija milczeniem wiele rozpraw, a z niektórych, choć je cytuje, nie korzysta należycie. Z tego wypływają liczne usterki, które w krótkim sprawozdaniu

¹⁾ Ob. *Jurkowski Aleks.* Pamiętnik naukowo-literacki, 1850, VI, str. 160; *Barszczeński Jan*, Rocznik literacki, 1844, str. 144—147; *Połocki Leon*, Urywek ze wspomnień—Poznań, 1876, str. 59; oraz liczne głosy przytacza *Rettel* w *Roczniku Tow. hist.-liter. w Paryżu*, 1873—78, II, str. 260. Na uboczu od tego chóru uznania stoi ujemny sąd wychowawca, *Sergiusza Majewskiego*—ob. *Rus-skaja Starina*, 1873, VIII, str. 130.

trudno wyszczególniać. Drugą wadą jest stronność autora, która najdobitniej uwydatnia się w rozdziale o sporach jezuitów z uniwersytetem wileńskim (str. 35—42): tendencyjne przedstawienie całej sprawy, niesłuszne pomawianie Jana Śniadeckiego o jakąś napaść, wymagałoby zbijania od początku do końca tych twierdzeń. Przytem genezę erekcyi akademii w Połocku przedstawił autor niewyczerpująco, nie zapoznał się bowiem z najważniejszą suppliką generała Brzozowskiego, podaną 16 października 1811 r., którą pomieścił w aneksach Tołstoj do drugiego tomu swej książki. Pobieźnie przedstawia autor kwestyę rozdawnictwa stopni uczonych w akademii, przecząc oczywistym faktom: mamy liczne przykłady karygodnej pobłażliwości czy opieszałości profesorów połockich, którzy np. promowali na doktora prawa ograniczonego nieuka, Pawła Kukolnika, który potem wcisnął się na katedrę wileńską i zajął tak niefortunnie miejsce Lelewela.

Wiedzieliśmy trochę o akademii na Białej Rusi, na podstawie tomów Miesięcznika Połockiego, oraz tego, co nam dawały nie-liczne rozprawy i przyczynki.¹⁾ Brakowało w nich wielu wiadomości, ponieważ autorowie traktowali niemal wyłącznie zewnętrzną stronę: inauguracyjny akt, fundusze, organizacyę i t. d.; nie-liczni tylko sięgali głębiej i badali to, co stanowi najważniejszą stronę każdej wyższej instytucyi nauczającej: ducha, fizyognomię umysłową i stan wiedzy. P. J. G. poszedł pierwszą utartą drogą i zebrał to, co było więcej znane; pragnął dać źródła i historyczny obraz tego zakładu, ale te dwa cele chybiły: materiały ze-

¹⁾ Ponieważ autor nie podaje literatury, z której korzystał, przytaczamy w porządku chronologicznym autorów, którzy pisali o tej akademii: 1) *Wincenty Buczyński*, Rozbiór wiadomości, pomieszczonych w recenzji poematu Pułtawa—Połock, 1818. 2) *Adam Jocher*, Obraz bibliograficzny, T. I, Wilno, 1840. 3) *Franciszek Radziszewski*, O b. połockiej akademii (Rubon, 1847, T. VIII). 4) *Brown*, Biblioteka pisarzy T. J. Poznań, 1862. 5) *Michał Baliński*, Pamiętniki o Janie Śniadeckim, T. I, Wilno, 1865. 6) *Ks. Stanisław Załęski*, Hist. zostawienia jezuitów na Białej Rusi, Lwów, 1875. 7) *Helleniusz*, Kolegium połockie (Wspomnienia lat minionych, 1875, 1). 8) *Dymitr Tołstoj*, Rmskij katolicizm w Rossii, 1876, T. II. 9) *Antoni Moszyński*, Kolegium jezuićkie w Połocku (Upominek wileński, 1880). 10) *Chmielowski*, Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (Ateneum, 1883 i osobno 1898) oraz artykuł jego w Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej, T. I, 1890. 11) *Sapunow*, Zamiętka o akademii w Połockie, Witebsk, 1890. 12) *Pogodin*, wileńskij uczebnyj okrug Ptb., 1902 i tłóm. po polsku o akad. połockiej, Ognisko, 1903, № 10. 13) *Ludwik Janowski*, Uniwersytet w Połocku (Kurjer litewski, 1905, № 73—74).

brał jednostronnie, a obraz wyszedł zamglony. Księga ta byłaby niezmiernie cenna, gdyby autor ograniczył się na skrupulatnem zebraniu źródeł, a pomiął opowiadanie, które sporo miejsca zajma, a jest nadzwyczaj powierzchowne. Ale i w takiej formie jak jest, może być ten zbiór wiadomości pożytecznym, gdyż zawiera sporo przedruków rzeczy wielce rzadkich, których trzeba często szukać z wielkim mozołem. Szerszego ogółu nie zapozna omawiana książka z losem wyższej szkoły na Białorusi, ponieważ zbyt sucho pisana, a przytem liczne źródła in crudo nie mogą stanowić strawnej lektury.

Jeżeli pierwsza część nie odpowiada wymaganiom naukowym, to druga, zawierająca wiadomości o niższych i średnich szkołach, podlegających zwierzchnictwu akademii połockiej, opracowana jest bardzo sumiennie; wprawdzie i tu autor nie pogłębia badań, atoli i znaczenie tych zakładów było nie wielkie, a faktami, po większej części nieznanymi, z dziejów tych szkół, zebranymi bardzo pracowicie, przysłużył się autor wszystkim pracownikom na polu przeszłości szkolnictwa polskiego.

LUDWIK JANOWSKI.

Kronika miesięczna.

Wybory.—„Maryawici“ i ich działalność.—Przygotowania do strejku rolnego.—Trzy jubileusze: Orzeszkowej, Promyka i d-ra Biegańskiego.—Wspomnienie pozgonne: ś. p. Piotr Górski.

Po wielu latach oplakanych warunków naszego życia zbiorowego, po wielu latach ciężkiego borykania się z przeciwnościami losu, ciężkiej walki, w której jedynym orężem narodu był milczący protest—stajemy obecnie na progu nowej ery.

Zgodnie z wolą Monarchy i na podstawie wydanych już zarządzeń w czasie możliwie najbliższym zebrać się ma w Petersburgu Duma Państwowa, w której wezmą udział i nasi przedstawiciele, aby po raz pierwszy głośno i na mocy prawa przemówić w obronie spraw i najżywoźniejszych interesów polskich.

Duma ta daleka jest wprawdzie od ideału reprezentacji ludowej, a warunki, w których odbywać się mają wybory do niej wielce różnią się od warunków, jakie w okresie przedwyborczym panują w innych państwach europejskich, ale błędem politycznym nie do darowania byłoby odrzucenie *a limine* całej Dumy i udziału w niej dla tego, że konstytucya rosyjska nie jest konstytucją rzeczywistą, a stan wojenny tamuje swobodę agitacji politycznej, przedwyborczej.

Zapewne — jest to niepożądane i smutne, ale czyż dla tego mamy wyrzekać się dobrowolnie prawa do jawnego zaniesienia przed oblicze Izby petersburskiej skargi uzasadnionej na samowolę władz administracyjnych, na te nadużycia, które w ciągu długich lat paraliżowały nasz rozwój społeczny i ekonomiczny i doprowadziły nas do tego, że mając wszelkie dane do zdobycia prawdziwej cywilizacji i kultury, stoimy dziś na szarym końcu

wśród narodów europejskich i ustępujemy nawet pod niektórymi względami nikłym państewkom półwyspu Bałkańskiego, Serbii i Bułgarii?

Nie. Ta skarga musi być zamiesiona. Ten głos musi się odezwać, musi zabrzmieć z trybuny parlamentarnej.

I zrozumiały to wszystkie uświadomione politycznie warstwy narodu. Zrozumiały wszystkie stronnictwa, dla których sprawa narodowa jest osią, dokoła której gromadzą się dopiero inne sprawy.

Inaczej postąpiły sobie partie skrajne. Te odrzucają Dumę jaknajkategoryczniej i występują przeciw niej jak najostrzej.

Wytworzyło to położenie dla kraju niepożądane. Zamiast zgodnych usiłowań do wybrania reprezentacji najodpowiedniejszej, w której znaleźliby się rzecznicy wszystkich spraw, wszystkich warstw — podzieleni jesteśmy w chwili obecnej na dwa wrogie obozy, z których jeden pragnie przeprowadzić wybory, drugi — wszelkimi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami pragnieniom tym przeszkadza i akcyę przedwyborczą paraliżuje.

Zwłaszcza w Warszawie walka ta w ostatnich swoich momentach przybrała charakter wprost oburzający.

Na dwa zebrania przedwyborcze, jedno, urządzone przez „Spójnię“ w Resursie Obywatelskiej, drugie przez stronnictwo Demokratyczno-narodowe na Pradze, wtargnęli przedstawiciele Socyalnej Demokracji i przy pomocy rewolwerów usiłowali rozpedzić zgromadzonych, przeszkodzić ich obradom, sterroryzować ich i zniechęcić do akcyi wyborczej wogóle.

Inna rzecz, że im się to nie udało.

Fakt jednak pozostaje faktem i ponuro zarysowuje się na tle chwili, w której bądź co bądź rozbrzmiewają hasła wolności obywatelskiej.

Socjaliści w pojmowaniu tych hasel zeszli jednak całkowicie na manowce. Ich taktyka, oparta na nienawiści, wydaje, jak to już zaznaczyliśmy poprzednim razem, gorzkie owoce i wprowadza do sfanatyzowanych doktryną socyalistyczną głów—istny zamęt pojęć. Wskutek tego wolność identyfikuje się tam z samowolą, w imię wolności dokonywane są gwałty i pospolite zbrodnie.

Działanie takie wyrządza całemu społeczeństwu i całemu narodowi szkodę niepowetowaną. Cofa nas ono z drogi prawdziwego rozwoju i pcha ku wojnie domowej, która byłaby największą z klęsk, jakie w ciągu ostatnich czasów spadły na nas.

Przeciwdziałać temu jest obowiązkiem wszystkich, a zwłaszcza tych przywódców ruchu socyalistycznego u nas, których „newroza“

rewolucyjna nie pozbawiła zdrowego rozsądku i którzy mają dość rozumu politycznego na to, aby widzieć, że wzrost anarchii w kraju może wytworzyć falę, która nie tylko zatopi i pochłonie kulturę kraju, ale pogrzebie także to, co stronnictwa socjalistyczne uważają za swoją zdobycz trwałą i co daje im rację bytu w społeczeństwie.

Ale wracamy do wyborów.

Zdrowa myśl polityczna, licząca się z potrzebami i korzyściami narodu, ma to do siebie, że zwykle zwycięża, nie uciekając się do żadnych środków nadzwyczajnych, nie agitując na swoją korzyść, nie werbując sobie zwolenników podstępem. Zwycięża swoją mocą własną, swoją ważkością, swoją prawdą, która w niej tkwi.

Należy też przypuszczać, że wybory pomimo wszystko odbędą się i że jeżeli tylko Duma dojdzie do skutku, to i posłowie nasi do Petersburga pojedą.

Wobec tego nie będzie przedwczesne pytanie, z czym mianowicie mają oni pojechać, co ma być dla nich busolą w postępowaniu, na czym swoją działalność poselską mają opierać, skąd mają czerpać siłę do walki, jaka ich niewątpliwie na arenie parlamentarnej czeka.

Zwięzła, krótka, treściwa odpowiedź na to mieści się w najczelniejszym punkcie wszystkich programów, z jakimi w ostatnich czasach wystąpiły działające w kraju stronnictwa i partye narodowe.

Punkt ten—to hasło *autonomii Królestwa Polskiego*, autonomii *z Sejmem w Warszawie*, jako władzą wykonawczą kraju we wszystkich jego sprawach wewnętrznych i *z władzami wykonawczemi*, wychodzącemi z łona naszego społeczeństwa, a przed tym Sejmem odpowiedzialnemi.

Wywalczenie zasady ustroju autonomicznego Królestwa musi być pierwszym i głównym celem przedstawicielstwa polskiego w Dumie, która, nawet przy najlepszej swojej organizacyi nigdy nie będzie mogła posiadać kompetencyi dostatecznej do decydowania w sprawach wewnętrznych naszego kraju.

Duma petersburska może i powinna przyznać nam tylko autonomię, nie więcej, podstawy zaś tej autonomii winien już określić Sejm pierwszy, zwołany w Warszawie, na zasadzie sformułowanego w ostatnich czasach i przyjętego zgodnie przez wszystkie stronnictwa poczwórnego prawa wyborczego, powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego.

Oczywiście, nie można się łudzić co do tego, że posłowie nasi pojedą dziś do Petersburga, a jutro zatelegrafują nam o uzyskanej autonomii. Przeciwnie — czekać ich będzie długa i uporczywa walka z nieprzyjaciółmi Polski, których w Rosyi jest jeszcze poddostatkiem i którzy z pewnością znajdują się także w Dumie Państwowej.

Z tego powodu, niezależnie od usiłowań osiągnięcia zasadniczej reformy autonomicznej, stałem dążeniem posłów polskich w Dumie, niezależnie od tego, do jakich stronnictw będą oni należeli i jakie zawiozą postulaty społeczne i ekonomiczne, powinno być: zaprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego, w jaknajszerszej mierze w administracyi i w sądownictwie, oraz spolszczenie ich składu osobistego; uregulowanie kwestyi szkolnej, która siłą faktów została rozstrzygnięta w ten sposób, że działanie szkoły rosyjskiej w naszym kraju jest już niemożliwe; zdobywanie, wreszcie, wszystkiego, co w uwzględnieniu odrębnych potrzeb i warunków Król. Polskiego prowadzić będzie do politycznego wyodrębnienia nas od reszty państwa.

Te trzy postulaty powinny być wysunięte przez wszystkich posłów i silnie przez nich bronione, gdyż tylko przy samoistnej organizacyi politycznej, przy całkowitej możności stanowienia o swych urządzeniach wewnętrznych, przyszłość może nas doprowadzić do pożądaných reform społeczno-ekonomicznych, zdążających do podniesienia dobrobytu i kultury kraju, a przede wszystkim do wszechstronnego podźwignięcia ludu, który jest zrębem naszej siły narodowej.

Reform tych, ich zakresu, rozległości i charakteru nie dotykamy, są to bowiem już rzeczy dalsze i zależne od wzajemnego porozumienia się stronnictw, z których jedne mają dalej idące programy, jak N. D., inne są oględniejsze, więcej ostrożne, jak „Spójnia“ i „Realisci.“

Pragnęlibyśmy natomiast zwrócić jeszcze uwagę na konieczność zasady solidarności przedstawicielstwa polskiego w Dumie.

Zasada ta musi być postawiona mocno i przestrzegana ściśle, przyczem posłowie polscy z Królestwa, Litwy i ziem ruskich powinni tworzyć Koło Polskie, występujące w Izbie, jako jedna całość, bez względu na dzielące ich opinie.

Bliższy w tym względzie regulamin uchwalić powinno Koło przy swoim zawiązaniu.

W sprawach czysto miejscowych, dotyczących z osobna Litwy, Rusi lub Królestwa, postanowienia frakcyj miejscowych Koła Polskiego powinnyby mieć moc obowiązującą dla całego Koła.

We wszystkich zaś sprawach, mających ogólnonarodowe znaczenie lub związanych z ogólną polityką polską — decyzja należeć winna do całego Koła.

Mając na widoku te zasady, powinniśmy dążyć do przeprowadzenia wyborów w kraju i powierzenia mandatów poselskich takim ludziom, którzy nie tylko odczuwają poważnie i rozumieją potrzeby kraju, nie tylko są zdolni do pracy w zakresie przygotowań ustawodawczych, ale odznaczają się głębokiem umiłowaniem ojezyny, osobistym hartem i odwagą, potrzebną do niezbędnej obrony sprawy naszej we wszelkich, choćby najbardziej nieprzyjaznych warunkach.

Ludzi takich mamy niewątpliwie pośród siebie, ale nie wszyscy oni stoją na widowni i narzucają się *à priori* opinii swoich współobywateli. Niejednego z nich trzeba dopiero odszukać i z zacisza domowego lub ze skromnego koła pracy społecznej na głębokiej prowincyi wyprowadzić na arenę szerszą. W tym właśnie celu potrzeba jest wielka zwoływania zebrań przedwyborczych, wzajemnego porozumiewania się i obmyślenia takich sposobów głosowania, które przy obecnej ordynacyi wyborczej nie prowadziłyby do szkodliwego rozstrzeliwania głosów przy wyborach ostatecznych.

Jakoż w Warszawie odbyło się już takich zebrań sporo, przyczem ujawniło się, że porozumienie wzajemne i solidarność w niektórych okręgach miasta są wprost nieodzowne, w braku ich bowiem z okręgów tych mogą wyjść, jako wyborcy, ludzie dla polskiej sprawy narodowej usposobieni wrogo lub obojętnie. Tak np. w okręgu XI (Mokotowskim) ilość prawyborców Rosyan jest stosunkowo tak znaczna, że mogą oni z łatwością zepsuć sprawę ludności polskiej, o ile ta nie będzie szła zwartym szeregiem do urny i nie porozumie się zawczasu co do wyboru kandydatów. Wszelkie rozstrzelenie głosów polskich, grozi tam poprostu niebezpieczeństwem.

Również i na prowincyi ruch przedwyborczy zaczął się w ostatnich czasach ożywiać, aczkolwiek warunki akcji wyborczej są tam bez porównania gorsze, niż w Warszawie.

Wypowiedzenie się opinii kraju jest tam niepomiernie trudne, dzięki kleszczom, jakie zacisnął nad wielu powiatami stan wojenny, silniej dający się odczuwać, wbrew wszelkim przypuszczeniom, na wsi, niż w miastach większych.

Pod osłoną stanu wojennego odbywają się nieustannie liczne areszty. Tysiące obywateli kraju zamknięto w więzieniach lub skazano na banicję i w ten sposób odebrano głos tym właśnie,

k którzy w danej chwili mogliby i powinni przemawiać, organizować i prowadzić lud do wyborów.

„W państwie konstytucyjnym — głosi w tym przedmiocie jedna z odezw wyborczych — gdzie obywatele mają zawsze możliwość odwołać się do prawa, moglibyśmy nie uznać wyborów, odbywających się w takich warunkach i do nich nie stanąć. Ale w państwie rosyjskiem, gdzie jednocześnie z nadaniem praw obywatelom, władze jakby dokładają wszelkich usiłowań, aby im korzystanie z tych praw utrudnić, *musimy dążyć do wybrania swego przedstawicielstwa*, pomimo wszelkich przeszkód, pomimo nadużyć, skierowanych do pozbawienia nas głosu.“

Uznając ten pogląd za całkowicie słuszny i jedynie obywatelski w tych ciężkich czasach ogólnego zamętu, podkreślamy raz jeszcze potrzebę wzięcia udziału w wyborach przez jaknajszersze warstwy narodu.

Wszyscy, którym sprawa narodowa przyświeca, jak latarnia, wskazująca drogę okrętom podczas mgły nocnej, wszyscy, którzy ponad interesy warstw poszczególnych stawiają dobro i przyszłość kraju — powinni, nie oglądając się na żadne przeszkody, nietylko sami brać udział w ruchu wyborczym, ale oddziaływać w tym kierunku na swoje bliższe i dalsze otoczenie, ale uświadamiać tych, którzy albo przez bierność i apatyę uchylają się od spełnienia swych obowiązków obywatelskich, albo nie zdają sobie dostatecznie sprawy z ich wagi i powagi, wskutek nieorientowania się w sytuacji politycznej.

Bo oto nadszedł czas, w którym wiele zależy od nas samych i jeżeli z chwili tej nie skorzystamy należycie lub skorzystamy nieumiejętnie — będzie to już naszą własną winą, nietylko wobec samych siebie, ale i wobec przyszłych pokoleń, które będą miały prawo sądzić nas i nasze postępowanie.

*

*

*

Na horyzoncie naszego życia ukazała się nowa luna pożarna. Zabrzmiał nowy dzwon alarmowy, a serca ludzi, miłujących ojczyznę, napełniły się nową troską poważną.

Oto stoimy wobec niezdrowego ruchu religijnego, wobec sekciarstwa, dotąd w łonie kościoła katolickiego w Polsce nieznanego.

Od dłuższego już czasu krążyły po kraju wieści o sekcje *Maryawitów*, która popularną nosiła nazwę sekty „Czarnego Mankieta,” gdyż zwolennicy jej, księża, odrzucili ze swego ubioru mankiety białe, płócienne, jako zbytek niepotrzebny.

Historia powstania tej sekty jest w krótkich słowach następująca:

Jeszcze przed laty kilkunastu O. Honorat, zakonnik-kapucyn z Nowego Miasta nad Pilicą zastanawiał się nad planem zreformowania duchowieństwa świeckiego w kierunku życia bardziej ascetycznego, bardziej oddalonego od uciech świata.

Pomiędzy penitentkami gorliwemi Ojca Honorata znajdowała się niejaka p. Kozłowska, z zawodu szwaczka. W jej posiadanie dostał się podobno częściowo opracowany plan reformy.

Wyjechawszy następnie do Płocka, Kozłowska przerobiła tam ów plan wspólnie z ks. Kowalskim i założyła z nim razem zgromadzenie ks. Maryawitów. Opracowane reguły zgromadzenia musiały się jednak bardzo różnić od planu Ojca Honorata, skoro ten zerwał wszelkie stosunki z inicjatorami.

Pierwszy zwrócił uwagę na działalność Maryawitów ówczesny biskup płocki, ś. p. ks. Szembek. Sekta nie uzyskała jego aprobaty. Księżom zakazał on zebrań, wskutek czego środek ciężkości zgromadzenia przeniósł się do Warszawy.

Ruch, obudzony i kierowany przez fanatycznych księży Maryawitów, powoli zaczął ogarniać trzy diecezje: warszawską, płocką i lubelską, w których też dziś głównie się szerzy.

Początkowo zgromadzenie ks. Maryawitów miało charakter czysto duchowy, zmierzający istotnie do podniesienia poziomu życia duchowieństwa z dodaniem pewnych praktyk mistycznych.

Później jednak, księża, pozostawieni bez żadnej kontroli i dozoru, poczęli szerzyć propagandę pomiędzy ludem, rozszerzając nazwę „Maryawitów” na wszystkich swoich zwolenników.

Dowiedziawszy się o tem biskupi wystąpili energicznie przeciw księżom „Czarnego Mankieta.”

Rezultatem tego było poddanie całej sprawy pod sąd Ojca Świętego w Rzymie.

W roku zeszłym na ręce biskupów polskich nadeszła z Rzymu odpowiedź, mocą której polecono im rozwiązać zgromadzenia ks. Maryawitów i zakazać im wszelkich stosunków, nawet korespondencyi z panią Kozłowską, którą list kancelaryi rzymskiej uznaje bądź za osobę złej wiary, bądź też za podlegającą halucynacyom chorą, która powinna być oddana pod opiekę lekarską.

Polecenie Rzymu zostało formalnie wykonane. Wezwano ks. Maryawitów, zwrócono im uwagę na różne niewłaściwości ich postępowania, ale — kroków energicznych nie przedsięwzięto. Niektórych księży za karę przeniesiono na inne parafie, co w rezultacie sprzyjało tylko krzewieniu zasad sekty pomiędzy ludem innych okolic.

Siew nie ustał, a plon stawał się coraz obfitszy.

Określić istotę nauki Maryawitów nie jest łatwo, gdyż dotychczas brak odpowiednich do tego materiałów, a sprawa znajduje się jeszcze przeważnie w rękach reporterów dziennikarskich, którzy z natury rzeczy uwydatniają przedewszystkiem to, co większą zawiera w sobie sensację.

Zdaje się jednak, że jest to zlepek dobrego ze złem, zlepek średniowieczyzny z zupełnie nowoczesnymi teoryjami Tołstoja, który głosił zasadę „niesprzeciwiania się złu.“

Bo oto podobno Maryawici twierdzą między innymi, że człowiek niema wolnej woli, że istnieją tylko stany łaski Bożej i bezgraniczne oddziaływanie Ducha Świętego. Tak więc — *nie potrzeba pracować*, bo łaska Boża może dać wszystko, nie trzeba uczyć się, nie trzeba chodzić do lekarza, bo na chorobę najlepszem lekarstwem jest modlitwa, bo z łaski Bożej każdego Duch Święty oświecić może. Tak samo *szkodliwa* jest wszelka działalność *społeczna i polityczna*, odrywa bowiem od modlitwy, a w niczem nie wpływa na bieg rzeczy, zależny wyłącznie od woli Boskiej, której wyraz uzyskuje się praktykami religijnymi.

W życiu rodzinnem Maryawici zalecają jakoby małżeństwa t. zw. *ewangeliczne*, oparte na platonicznym stosunku między mężem a żoną. Każdy wierny składa śluby dobrowolnego ubóstwa, czystości, wstrzemięźliwości.

Światopogląd ogólny ma być następujący:

Maryawici są naczyniem, wybranem przez Boga do walki z Antychrystem, naczyniem, powołanem do odrodzenia ludzkości, zagrzędłej w grzechu.

Antychryst — duch zła — objawia się między innymi w partiach i związkach politycznych i narodowych. Wziął sobie do pomocy Socjalną Demokrację, Polską Partję Socjalistyczną i Ligę Narodową czyli Demokrację Narodową. Uzewnętrzniła się to we wszystkich pismach i książkach, które są pisane i kierowane przez *Masonów* i nie powinny się dostawać do rąk wiernych. Między innymi zakazane są pisma ludowe: *Gazeta Świąteczna*, *Zoźra*, *Ziarno* i *Polak*. Nadto wierni nie powinni również należeć do spółek włościańskich, ani do stowarzyszeń spożywczych, ani

do żadnych zrzesseń, jako prowadzonych przez masonów. Kościół katolicki według tej nauki rozpada się obecnie. Duch szatana wstąpił nawet w biskupów. Jedyne Maryawici są powołani do jego odrodzenia i wrócenia mu dawnych tradycji. W tym celu Ojciec Święty, który znajduje się w niewoli u biskupów, pisze do nich listy i zagrzewa ich do walki z przełożonymi.

Wszystko to świadczy, iż sekta operuje pojęciami średnio-wiecznymi, obliczonemi na ciemną i bezkrytyczną masę.

Z drugiej jednak strony wszelkie relacje, jakie dotychczas zdawane były o Maryawitach, świadczą jednogłośnie, że postępowanie i życie księży, należących do tej sekty, stoją po nad wszelką krytykę. Ascetyczni, wstrzemięźliwi, wegetaryanie—mówi specjalna ankietą „Pracy Polskiej“ — nie potrzebują nic, albo prawie nic, na zaspokojenie swoich potrzeb. To też zyskują wpływ i zaufanie swoich parafian dwoma przyniotami: wielką pobożnością i bezinteresownością.

Ale bezinteresowność ta jest tylko osobista i wyraża się w tem, że księża Maryawici biorą za obrzędy duchowne tylko tyle „co łaska,“ a więc najczęściej nic. Potrzeby kultu zaspokajają natomiast w inny sposób. Każdy wierny, przyjęty do Zgromadzenia, podzielonego na dziesiątki, płaci dwa złote i prócz tego opłaca rubla miesięcznie, lub, jak w niektórych okolicach, tylko 50 groszy od duszy. Niezależnie od tego, wierni obowiązani są co tydzień zakupywać wotywy składkowe po 25 rb. Następnie prowadzony jest dość szeroko handel świętościami, na co Maryawici, jak sami twierdzą, mają *monopol*, gdyż im jedynie przysługuje prawo udzielania większych odpustów. Więc medaliki wartości kilkogroszowej, sprzedawane są po 20 groszy i po złotówce, paski tercyarskie, niciane, tej samej wartości, po 40 kop. gospodarzom, a po 40 groszy służbie i t. d. Przyjmowane są również ofiary w naturze, jak zboże, nabiał, etc.

W ten sposób powstają znaczne fundusze, używane częściowo na upiększenie i utrzymywanie kościołów, częściowo zaś na inne potrzeby kultu, o których mogą wiedzieć oczywiście tylko wtajemniczeni.

Podstawę tego kultu stanowi w każdym razie wyjątkowa cześć, oddawana Matce Boskiej, jako tej, przez którą ma przyjść zbawienie świata. Widowym symbolem tej czci jest wizerunek Najświętszej Maryi Panny nieustającej pomocy, pochodzenia greckiego, z napisem greckim i greckim krzyżem, który w pewnych okolicach kraju ruguje z chaty włościańskiej obraz Królowej Polski, Matki Boskiej Częstochowskiej (?!).

Należący do sekty wierni komunikują się małemi lub większemi papierkami z wizerunkiem Matki Boskiej nieustającej pomocy, przyczem mogą komunikować się codzień kilkakrotnie, a im czynią to częściej i im większe są papierki — tem większa spływa na nich łaska (?!).

Jak widać z tego, propagowana jest też usilnie cześć Najświętszego Sakramentu, ale na podstawach zgoła innych niż w kościele katolickim.

Maryawici nie uznają mianowicie Sakramentu pokuty. Wynika to z doktryny, że przyjęcie Komunii świętej wprowadza grzesznika od razu w stan łaski. Pierwszemi stopniami do tego stanu są: modlitwa, kontemplacya i kilkogodzinne nieraz klęczenie przed Najświętszym Sakramentem.

Na tych podstawach zorganizowana sekta rozwinęła ożywiłą działalność w kraju i wkrótce pozyskała sobie licznych zwolenników pomiędzy ciemnym a fanatycznym ludem

Działalność ta zwróciła na siebie uwagę nie tylko władz duchownych, ale i władz policyjnych. Te ostatnie zażądały od Maryawitów wyjaśnień co do celu i charakteru „zgrupowań.“

Wówczas Maryawici udali się do władz rządowych z przedstawieniem, że ich nauka nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla rządu, bo uznaje, że „wszelka władza dana jest od Boga,“ cała zaś ich działalność zmierza jedynie do rozwoju pobożności. Władze zgodziły się z tem oświadczeniem, dały Maryawitom pewną swobodę ruchów, możność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez pasportów (z czego, mówiąc nawiasem, duchowieństwo świeckie dotąd nie korzystało nigdy), możność urządzania zebrań, wieców, odprawiania misyj wśród ludu i t. d.

I dzięki temu Maryawici mogli rozwinąć jeszcze szerszą działalność, która, jak to już wiadomo z licznych doniesień, doprowadziła w ostatnich czasach do smutnych bardzo rezultatów.

Władze duchowne musiały przedsięwziąć środki ostrzejsze, rozkazy ich napotkały jednak opór, a w niektórych okolicach odbywały się nawet z tego powodu bójki w kościołach.

W ten sposób stanęliśmy wobec sprawy istotnie poważnej i istotnie groźnej, tem groźniejszej że czasy *newrozy rewolucyjnej* sprzyjają niewątpliwie i będą jeszcze sprzyjały szerzeniu się wszelkich fałszywych nauk, prowadzących ludność kraju do masowych obłądów, tak znanych w średniowieczu, a tak w następstwach swoich nieobliczalnych.

Maryawityzm — w tej postaci, w jakiej znamy go dotychczas, jest niewątpliwie jedną z odmian psychozy religijnej, ale dla tego

właśnie, że tak jest, nietylko władza duchowna, ale społeczeństwo całe powinno bacznie zwrócić uwagę na tę sektę i nie dopuścić do dalszego jej rozwoju.

Jednym ze środków walki z tego rodzaju „chorobami zbiorowymi“ jest przede wszystkim prawdziwe światło i prawdziwa nauka. Akcja w tym kierunku możliwa jest wszakże dopiero po zaprowadzeniu w kraju nowego ładu i porządku. Lud, o ile będzie miał możliwość wzięcia szerokiego udziału w samorządzie, od razu odciągnięty zostanie od ruchu sekciarskiego, a siłą rzeczy przeczuci się na pole pracy realnej.

Następnie temu ludowi trzeba dać światło w postaci dobrej szkoły, na której czele stałby nauczyciel, umiejący oddziaływać na otoczenie, dalej biblioteki popularnej, zasobnej w dziełka nauczające, wreszcie — zorganizowanych wykładów ludowych z dziedziny rozmaitych nauk, wykładów, któreby miewali wędrowni prelegenci.

To dopiero wytworzyć może stopniowo we wsi polskiej atmosferę, w której nie będzie miejsca na sekciarstwo, ale dziś — czemże się ma zajmować wieśniak? czem karmić ma swoją duszę? Chwyta on na oślep ten pokarm, który mu podają, nie zdając sobie sprawy z tego, że wyrządza tem bolesną krzywdę samemu sobie i swojej ojczyźnie.

*

*

*

W uzupełnieniu tego, co pisaliśmy już poprzednio o ruchach agrarnych i o spodziewanym na wiosnę wybuchu strejku rolnego, pozwalamy sobie przytoczyć na tem miejscu głos „Gazety Ludowej“, organu Polskiej Partji Socjalistycznej, usilnie kolportowanego wśród ludności wiejskiej.

W jednym z ostatnich numerów tego pisma znajduje się mianowicie artykuł, „fachowy“ p. t. „Jak się przygotować do strejku rolnego?“

Autor artykułu radzi, ażeby służba dworska zbierała się jak najczęściej na narady i zgromadzenia, celem postanowienia, czego żądać, jakie postawić wymagania co do pracy, ordynacyi, długości dnia roboczego, mieszkań i t. d.

„Trzeba robić — nawołuje dalej „Gazeta“ — większe zebrania, złożone z fernali i robotników kilku i kilkunastu folwarków sąsiednich i na tych zebraniach radzić o sprawie walki strejkowej.

Trzeba z każdego folwarku w gminie wybrać po dwóch delegatów, czyli pełnomocników, którzy będą się z całej gminy schodzili na narady i będą stanowili *Gminny Komitet Strejkowy*. Przed strejkem i podczas strejku jeździć będą wszędzie po wsiach nasi towarzysze z Polskiej Partii Socjalistycznej dla porady w strejku i dla doglądania całej „roboty.“ Na dowód, kim są, będą oni mieli dokument z pieczęcią, wydany przez Partię. Tych wysłańców należy słuchać, gdyż są to robotnicy, włościanie i inteligenci, znający się na sprawie. Zawczasu też należy porozumiewać się z włościanami wsi sąsiednich co do tego, żeby podczas strejku trzymali stronę robotników i nie puszczali do roboty takich, którzyby zechcieli strejk złamać.“

Strejk ma objąć również robotników „na dniówkę“, którzy mają także omówić, sformułować i przedstawić żądania swoje.

Jest to już aż nadto wyraźna zapowiedź poważnego ruchu, który zbliża się do nas szybkimi krokami. I nie należy tej zapowiedzi lekceważyć, zwłaszcza, że w stosunku służby folwarcznej do dworu niejedno istotnie domaga się uregulowania i poprawy. Byłoby więc rzeczą pożądaną, aby ze swej strony ziemianie zorganizowali również zawczasu jakąś akcyę zbiorową i odbyli szereg wspólnych narad w przedmiocie strejku. Żądania, które niewątpliwie będą wygórowane i przesadne, powinny spotkać się z silnym i jednolitym odporem, wszystko zaś, co ma za sobą słuszność, musi być jednak uwzględnione, gdyż w ten sposób tylko uda się zażegnać tę nową klęskę, jaka na kraj spaść może w wypadku, gdyby układy ze strejkującymi przeciągnęły się dłużej.

A czasu na przygotowanie się jest już nie wiele, bo wiosna za pasem.

*

*

*

Eliza Orzeszkowa kończy w roku bieżącym 40 lat pracy na polu literackim, pracy aż nadto dobrze znanej całemu społeczeństwu, ażeby ją na tem miejscu przypominać i oceniać należało.

Przedstawicielka „powieści społecznej“ w całym znaczeniu tego wyrazu, odegrała Orzeszkowa rolę wybitną w rozwoju duchowym pokoleń ostatnich, a wpływy jej sięgały bardzo głęboko, budząc z uśpienia niejedną duszę. Zwłaszcza kobieta polska zawdzięcza Orzeszkowej wiele. Pod jej wpływem dobroczynnym cały t. zw. ruch emancypacyjny przybrał u nas charakter poważny

i z manowców, na które wkraczał pierwotnie, wszedł na drogę jedynie dla siebie odpowiednią, wypisując na swoim sztandarze duchowe i umysłowe podniesienie kobiety.

Obdarzona sama umysłem żywym, przenikliwym, wolnym od złudzeń w ocenie życia i jego zjawisk, wykształcona rozlegle, a nadto posiadająca serce miękkie, czułe, szlachetne, pochylające się w zadumie nad każdym cierpieniem ludzkim i po chrześcijańsku widzące w każdym człowieku napotkanym brata lub siostrę, potrafiła Orzeszkowa w powieściach swoich dosadnie napiętnować wszystko, co jest płytkie, poziome, głupie i fałszywe, a uwydatnić i podnieść do wyżyn ideału to, co czyste, dobre, pełne miłości i altruizmu.

Walcząc w początkach twórczości swojej z trudnościami techniki pisarskiej, powoli, stopniowo dochodziła do zupełnej doskonałości artystycznej, której przykład wybitny znaleźli czytelnicy w drukowanej w *Bibliot. Warszawskiej* oryginalnej a pięknej powieści „Ad astra.“

Jako kobieta, jako artystka i jako działaczka społeczna zajmuje też Orzeszkowa dzisiaj pierwsze i naczelne stanowisko wśród kobiet polskich.

Nie dziw też, iż hasło należytego uczenia czterdziestoletniej wytrwałej a pożytecznej pracy znakomitej powieściopisarki, wywołało przedewszystkiem szeroki oddźwięk w naszym świecie kobiecym. Powstało też odrazu mnóstwo projektów takiego uczenia. W jednych kołach poruszono myśl założenia w Warszawie wyższych kursów dla kobiet im. Orzeszkowej, w innych — stworzenia seminarium nauczycielskiego, w jeszcze innych — domu wychowawczego dla sierot i t. d.

*

*

*

Drugi jubileusz święcić będzie w tym roku redaktor „Gazety Świątecznej“ p. Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), jeden z najbardziej zasłużonych u nas bojowników oświaty ludowej.

Konrad Prószyński urodził się w r. 1851 w Mińsku gubernialnym. Lata wczesnej młodości spędził na Syberii, gdzie ojciec jego mieszkał przez czas dłuższy. W 19-ym roku życia powrócił Prószyński do kraju, a złożywwszy, po dwóch latach usilnej pracy nad sobą, egzamin dojrzałości, wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1876 ukończył studia ze stopniem

naukowym kandydata. Zawód prawniczy nie pociągał go jednak ku sobie. Wabiła go natomiast leżąca wówczas jeszcze odłogiem praca nad oświatą ludu.

I do tej pracy Prószyński, jak się później okazało, był powołany. Na tym zagonie miał stać i na tem polu miał sobie zjednać uznanie całego społeczeństwa.

Jako pisarz ludowy potrafił on zdobyć ogromną popularność wśród włościan polskich. Jego skromna „Gazeta Święteczna,” prowadzona w warunkach niezwykle trudnych, bo pod cenzurą daleko surowszą niż ta, jakiej podlegały wszelkie inne wydawnictwa, umiała zgrupować dokoła siebie bardzo znaczną ilość czytelników, umiała ich zachęcać do pracy, do światła, do wyrabiania w sobie uczuć obywatelskich. Jego książki popularne trafiały łatwo pod strzechę i zanosły tam niejednen promień wiedzy. Wreszcie jego *Elementarz* uznany został za *najlepszy* przez Zjazd pedagogiczny w Londynie i rozszedł się w kraju naszym w 850.000 egzemplarzy.

Ta działalność, prowadzona wytrwale i w ciężkich bardzo dla narodu chwilach, każe nam pochylić czoła przed jubilatem i życzyć mu długich jeszcze lat owocnej pracy. Praca ta będzie teraz tem miłsza, bo oto na łanie, obsiewanym ukradkiem niemal i w nocy, wśród poświstu mroźnej wichury północnej, niejednen wyrósł kłos, a bliski jest dzień, kiedy cała niwa zazieleni się i zaszumi „zbożem rozmaitem.” Lud polski—budzi się, przeciera oczy i staje do pracy, jako uświadomiony obywatel. Widząc to Przymyk musi odczuwać radość—bo jeżeli tak jest, to przyczyniła się do tego w niemałym stopniu jego praca. Trud całego jego życia wydaje teraz owoce.

Zapewne—dużo jeszcze do zrobienia pozostało, dużo jeszcze pracy potrzeba i czasu na to, ażeby włościanina polskiego podnieść do tego poziomu, na jakim pragnęlibyśmy go widzieć, ale — powtarzamy, iż to wszystko będzie już dziś o wiele łatwiejsze. Najtrudniejszą i najcięższą robotę wykonali: Prószyński i jemu podobni działacze ideowi. I za to lud polski, a z nim cały naród będzie im zawsze wdzięczny.

*

*

*

O trzecim wreszcie jubileuszu przypomniało nam łódzkie *Czasopismo lekarskie*, wydając specjalny zeszyt, poświęcony dr. Władysławowi Biegańskiemu z okazji 25-ioletcia jego pracy naukowej.

Dr. Władysław Biegański jest w tej chwili najwybitniejszym przedstawicielem nauki lekarskiej w Polsce, ponieważ jednak pracuje w ciszy i na uboczu, więc ogół szerszy mało wie o nim, a zresztą, zainteresowanie się nauką w społeczeństwie naszym nie jest jeszcze rzeczą częstą...

Dr. Biegański urodził się w r. 1857 w miasteczku Grabowie w W. ks. Poznańskim. Do gimnazyum uczęszczał w Piotrkowie, a ukończywszy je w r. 1875, wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w r. 1880 otrzymał dyplom.

Tytuły doktorskie uzyskał następnie od dwóch uniwersytetów — w Berlinie i w Pradze Czeskiej.

Osiadłszy w Częstochowie, poświęcił się obok ciężkiej pracy na chleb poważnym studjom naukowym, uprawianym w warunkach najtrudniejszych chyba, jakie dla uczonego lekarza istnieć mogą, bo bez odpowiednio urządzonego szpitala, bez laboratoryów, bez tego całego „warsztatu“ naukowego, jaki dają urządzenia uniwersytetu.

Ale Biegański potrafił przezwyciężyć i pokonać wszystko — i w ciągu lat kilkunastu stworzył w skromnym szpitalu częstochowskim pracownię naukową.

„Moje samouctwo — pisze sam o sobie znakomity autor „Logiki medycyny“ — to epopeja bolesna. Żeby zabarwić dobrze po raz pierwszy laseczniki gruźlicze, straciłem na nieudane próby całe dwa dni, a pierwsze plasmodye malaryczne zobaczyłem dopiero po dwóch próżnych poszukiwaniach. Pamiętam, że płakałem ze zmartwienia i złości, robiąc kilka godzin z rzędu skrawki na małym, ręcznym mikrotomie — skrawki za każdym razem wypadały za grube! To samo było z pierwszymi próbami liczenia krwinek, z barwieniem preparatów krwi i t. d. Na to, co dziś pierwszy lepszy student zrobi w ciągu godziny przy odpowiednim kierownictwie, ja potrzebowałem dni i tygodni...“

A przecież pomimo to wszystko oprócz wspomnianej już, a pierwszorzędnej wartości naukowej, pracy p. t. „Logika medycyny“ Biegański opracował w Częstochowie takie dzieła, jak: „Dyagnostyka różniczkowa“, „Choroby zakaźne“, „Zasady logiki ogólnej“, „Studia logiczne“ i t. d.—dzieła, które wszystkie w polskim dorobku współczesnym naukowym zajmują miejsce wybitne i które zdobyły Biegańskiemu rozgłos daleko poza granicami kraju.

*

*

*

Reprezentacja polska w Wiedniu poniosła dotkliwą stratę przez śmierć zmarłego niedawno ś. p. Piotra Górskiego, jednego z wybitniejszych przewodców stronnictwa krakowskiego.

Ś. p. Piotr Górski należał do wybitniejszych znawców ustawodawstwa gminnego i instytucyj samorządnych.

Będąc posłem do Rady państwa i do Sejmu krajowego we Lwowie, pracował on na obu tych stanowiskach umiejętnie i starannie.

Obdarzony umysłem bystrym i posiadający dużą wiedzę, cieszył się powszechnym szacunkiem. Zdanie jego było cenione i liczono się z niem nawet w obozach przeciwnych.

Zmarły był synowcem znanego u nas powszechnie prezesa Tow. Kredytowego Ziemskiego, p. Ludwika Górskiego ze Sterdyni.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 12 lutego r. b. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Prof. Józef Kallenbach przedstawił pracę p. t. Nieznane artykuły A. Mickiewicza w „Tribune des peuples;“ prof. J. Rozwadowski rzecz: O cygańszczyźnie podatrzańskiej; p. W. Klinger rozprawę p. t.: Ambrozya i Styks, a woda życia i martwa,—studyum mitologiczno-porównawcze. Dnia 19 lutego r. b. odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego, na którym zasłużony prof. Fr. Piekosiński mówił o „Rozsiedle- niu szlachty na podgórzu karpackiem w połowie XVI w.“ (powiaty: szczyrzycki, czechowski i sądecki); prof. Michał Roztworowski przedstawił pracę p. t.: Pra- wo-administracyjna strona budżetów Królestwa Polskiego (1816—1830).

— TOWARZYSTWO NAUKOWE W TORUNIU. Z pośród nielicznych naszych Towarzystw naukowych, szczególnie żywą działalność rozwija od lat kilku „Towarzystwo naukowe w Toruniu,“ którego prezesem jest znany historyk ks. Stanisław Kujot. Towarzystwo to liczące około 400 członków, wydaje dwie publikacje, t. j. Roczniki Towarzystwa i Fontes. W XII Roczniku, który nie- dawno prasę opuścił, znajdujemy dalszy ciąg podstawowej, pełnej niezmierniej erudycyi pracy ks. St. Kujota p. t.: Kto założył parafie dzisiejszej diecezji chełmińskiej. Monografia ta rzuca nowe światło na kulturalną pracę Polaków w ziemi chełmińskiej, rozwiązuje mnóstwo spornych kwestyj, bada głęboko organizację parafialną tej części kraju, zastanawia się nie tylko nad sprawami należącemi do historii kościelnej, ale nad rzeczami z dziedziny historii spo- łecznej i politycznej. Na tak szerokich ramach nie mamy opartej pracy, odno- szącej się do stosunków w Wielko lub Małopolsce. Przez tę znakomitą pra- cy, mamy tu jeszcze: *Ks. Kaz. Chmieleckiego*: Przyczynki do archeologii Prus

Zachodnich, *K. Kościńskiego*: Parafia Barzyszkowska w powiecie człuchowskim w Prusach Zachodnich, *Ks. St. Kujota*: Jelenie rogi w kościoła dyecezyi chełmińskiej, *Dr. K. Nitscha*: Kilka uwag o wpływie zmian głosowych na typy odmian,—na przykładach zaczerpniętych z gwar zachodnio pruskieh. — W IX t. *Fontium*, daje ks. Bruno Czajpla dalszy ciąg wizytacyi biskupa chełmińskiego, Andrzeja Olszowskiego w dyecezyi chełmińskiej (1667 — 1672), w której znajdujemy obszerny i bogaty materiał historyczny, jak i gospodarczy.

— Za granicą oddawna zwrócono uwagę na historię miast i na potrzebę publikacyi licznych źródeł miejskich. U nas ubóstwo pod tym względem jest wielkie, nieco zrobili Niemcy dla Ks. Poznańskiego,—co do reszty, to bardzo mało wydano. Jedynie Kraków może się szczycić pokaźną ilością wydanych źródeł. Tak Akademia umiejętności, jak i Archiwum miejskie w Krakowie, a zwłaszcza Rada miejska Krakowska, poczuła się do obywatelskiego obowiązku czuwania nad zabytkami przeszłości, i ich udostępniania uczonym. Rada m. Lwowa i dzielny archiwaryusz miasta, Dr. Aleksander Czołowski, nie zostają jednak w tyle, i z archiwum miejskiego lwowskiego, chociaż mniej bogatego niż krakowskie, wydają źródła do dziejów Lwowa, nie mniej ciekawe i ważne. Właśnie *Dr. A. Czołowski* opublikował t. III Pomników dziejowych Lwowa,¹ które zawierają: Księgę przychodów i rozchodów miasta 1414—1426. Publikacya ta, ze wszech miar staranna, jest pierwszorzędnem źródłem do poznania dziejów m. Lwowa, a zwłaszcza gospodarki finansowej i stosunków lokalnych.

— Akademia Umiejętności w Krakowie wypuściła w świat t. I nowej publikacyi p. t.: Biblioteka przekładów z literatury starożytnej. Chodzi tu niewątpliwie Akademii nie tylko o dostarczenie doskonałych polskich przekładów, ale o danie sposobności naszym helenistom i latynistom do wniknięcia jaknajgłębiej w zabytki starożytnej literatury. W t. I dał p. M. K. Bogucki przekłady niektórych pism Voltaire'a starożytności Lukiana. Samo tłómaczenie poprzedza wstęp historyczny ś. p. J. Szujskiego o Lukianie, przesłiczny i trafny, — głęboki przytem, jak wszystkie prace wielkiego historyka.

Literatura nasza, tak uboga w dobre tłómaczenia z pomników klasycznej literatury, wzbogaciła się obecnie jeszcze drugą pracą, w tymże co poprzednia kierunku. Ukazał się przekład Józefa Flawiusza: „Dziejów wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom,“ którego z języka greckiego na polski dokonał Andrzej Niemojewski. Autor poprzedził swe tłómaczenie, o którym sąd wydadzą filologowie, obszernym wstępem historyczno-bibliograficznym. Z poza tła historycznego od tysiąca lat zamierzehłych dziejów, którymi zajmuje się przedmowa, wylaniają się aluzyc do czasów terażniejszych: tłómacz przekładając dzieło Flawiusza, miał na oku i myśli stosunki wiele bliższe, daje, jak sam mówi „psychologię rodaków. Czy poznają oni siebie w zwierciadle? Jeżeli spojrzą tylko uważnie, może odnajdą nie jeden rys wieczysty, nie jedną

linię trwałą, nie jedną cechą godną zatarcia, niejedną zasługującą na wskrzeszenie.“ Tak więc, praca ta ma prócz naukowej, także swe tło polityczno-społeczne. Czy jednak na tem wartość naukowa pracy nie ucierpiała?

— Rok jubileuszowy rejsowski zaznacza się znaczną liczbą wydań na polu literatury polskiej XVI w. Po wspaniałym przedruku „Zwierciadła“ Reja, przyszła kolej na „Figliki“, które w podobiznie wydał p. Wiktor Wittyg. Dzieło to, opatrzone licznymi uwagami i przypisaniami, wypadło znakomicie pod względem typograficznym.—Kilka wreszcie egzemplarzy odbitych na oryginalnym papierze XVI w., daje nam ładną podobiznę oryginału, tak rzadkiego, a dla dziejów naszej literatury i naszej kultury XVI w. tak ważnego dzieła. Równocześnie prawie prof. Stanisław Ptaszycki wydał również w Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności: „Modlitewnik dla kobiet z w. XVI. Ułamek z rękopisu senatora Konstantego Małkowskiego.“ I w tym zabytku znajdzie historyk literatury i filolog, skarby niewyczerpane dla swych badań, historyk kultury nie jeden też szczegół ciekawy wyłowi. Pod względem zewnętrznego wyglądu, to dość wspomnieć, iż oba powyższe dzieła wyszły z tłoczni Uniwersytetu Krakowskiego. Są one do najdrobniejszych szczegółów typograficznych obmyślane tak artystycznie i wykonane tak świetnie, że uchylają się wprost z pod krytyki. Bo drukarnie krakowskie, a w pierwszym rzędzie Uniwersytecka i Anczyca, nie mają sobie równych w Polsce, a za granicą nie wiele jest w ogóle tłoczni, którychby konkurencyi dwa te zakłady obawiać się mogły.

Wiek Reja zainteresował i warszawskich uczonych. Cały szereg publikacyj świeżo wydanych ma na celu rozszerzenie wśród naszych stosunków dość skąpych jeszcze wiadomości o XVI w. Pod redakcyą p. *Ignacego Chrzanowskiego* ukazała się księga jubileuszowa p. t.: „Z wieku Mikołaja Reja.“ Kilkunastu naszych uczonych przyczyniło się do wydania szeregu prac źródłowych i materyałów historycznych. *P. Br. Chlebowski* daje tu wykwinną i głęboko obmyślaną charakterystykę Mikołaja Reja, jako pisarza; *p. H. Merczyng* mówi o Rejach, jako o członkach polskiego kościoła ewangelickiego; *prof. J. Kallenbach* daje szereg ciekawych uwag i spostrzeżeń o mało zbadanej „Postylli“ Rejowej; *prof. H. Łopaciński* zajmuje się zawilą kwestyą daty urodzin Reja, którą oznacza na dzień 4 lutego. *P. H. Galle* rozpatruje stosunek „Żywota człowieka poczciwego“ do dzieła Cyncerona „Cato maior.“ W dziale materyałów podają: *prof. T. Wierzbowski*, *I. Chrzanowski*, *L. Meyet* wiązkę przyczynków do znajomości Mikołaja z Nagłowic. Nie samym jednak Rejem zajmuje się księga jubileuszowa,—daje ona ciekawy i obfity plon w postaci prac: *Wł. Smoleńskiego*: Z dziejów miasteczka (Dąbrowie, w województwie łęczyckiem); *Z. Glogiera*: Opisy majątkowe (inwentarze) na Litwie w XVI wieku; *A. Kraushara*: Pierwsza książka prawnicza polska z w. XVI; areyciekawe studjum *Aleksandra Jabłonowskiego*: Jan Zamoyski na Podlasiu. Bardzo bogato zatem przedstawia się księga jubileuszowa rejsowska, pozostanie ona trwałym pomnikiem badań naszych uczonych nad XVI wiekiem.

P. Ignacy Chrzanowski, redaktor księgi rejowskiej, ogłosił właśnie wielkie i cenne dzieło o Marcynie Bielskim. Przy pracy A. Brücknera o Reju, dzieło p. Chrzanowskiego nabiera tem większego znaczenia, że uwypukla nam wiele szczegółów z dziejów rozbudzenia naszej literatury w XVI w., rozjaśnia nam nowe horyzonty, rozszerza nasze pole widzenia wykazując, że dla dokładnego poznania epoki, potrzebna jest znajomość nie tylko gwiazd pierwszej, ale i średniej wielkości. Taką postacią, która sławą nie dorosła Rejowi ani Kochanowskiemu, był Marcin Wolski, czyli Bielski, który będąc starszym wiekiem od naszych najznakomitszych XVI wieku, jak Rej, Górnicki lub Kochanowski, przedstawia tem ciekawsze pole do badania, jako człowiek starszego pokroju i autoramentu. P. I. Chrzanowski bynajmniej nie stara się otoczyć aureolą niezwykłych zasług Bielskiego, traktuje go trzeźwo, sprawiedliwie, przyznając mu wielkie zasługi około stworzenia języka literackiego, odmawiając mu jednak większego talentu i oryginalności. Choć sąd autora wypadł raczej ujemnie o Bielskim, niż dodatnio, nie zaniedbuje on rozpatrzyć szczegółowo całej działalności pisarskiej Bielskiego. Stosunek i zależność Marcina od jego źródeł wyświetlona dokładnie, wpływy historyczne w całej rozciągłości ujawnione. Autor zużytkowuje całą swą ogromną erudytyę na objaśnienie działalności Bielskiego, a że przytem jest wykwiutnym stylistą i włada piórem, jak mało kto, więc poważne to dzieło, dorobek wielkiej pracy i wielkiej nauki, czytać może z pożytkiem i wielkiem zajęciem każdy, kogo zajmują dzieje ojczyste. P. I. Chrzanowski potrafił połączyć w swej pracy ducha naukowego z formą świetną, — ideał do którego tak mało z pośród naszych uczonych dojść mogło.

— Trudności wielkie następują badaczowi każdemu poszukiwania w naszych bibliotekach, zwłaszcza o ile chodzi o zbiory rękopiśmienne. Zaledwie kilka bibliotek posiada katalogi rękopisów odpowiednio opracowane i wydane. Akademia Umiejętności w Krakowie opublikowała właśnie „Katalog” swych rękopisów, zestawiony przez bibliotekarza Akademii, prof. J. Czubka. Obejmuje on cały zbiór rękopisów Akademii, liczący 1588 numerów i zawiera krótką treść każdego rękopisu z osobna. Pod tym względem zbliża się „Katalog” do Katalogu Biblioteki ks. Czartoryskich, wydanego przez dra J. Korzemiowskiego, — stoi zaś daleko w tyle za nadzwyczaj dokładnym i szczegółowym Katalogiem rękopisów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Mimo to odda nowy Katalog niespożyte zasługi nauce. Przedewszystkiem otwierają się uczonym nowe dotychczas mało znane zbiory, w których przy pomocy Katalogu p. Czubka orientować się łatwo. Powtóre może za wzorem i inicjatywą Akademii i inne mniejsze biblioteki polskie zechcą wydać krótkie, choćby sumaryczne, katalogi swych zbiorów, — w pracy tej żmudnej i trudnej będzie im nagrodą wdzięczność ogółu pracowników, którzy dziś witają z radością nowy Katalog rękopisów Akademii.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Rocznik IV, zeszyt IV pod redakcją Tadeusza Pinięgo. Zeszyt ten jest poświęcony pamięci M. Reja. Zawiera: *Stanisława Dobrzyckiego*: Rej; *Bronisława Chlebońskiego*: Najdawniejsze kanonyale protestanckie z połowy XVI w.; *Józefa M. Ujejskiego*: Pojęcia Reja, dotyczące Polaka i Polski; *Fr. Krecka*: W sprawie oryginalności „Warwasa” Rejowego; *tenże*: O tak zwanym „Hejnale” Rejowym; *St. Dobrzyckiego*: „Psalterz” Kochanowskiego w stosunku do innych jego dzieł. W dziale materiałów daje p. *K. Miaskowski*: Sześć listów A. F. Modrzewskiego, i: Dwa nieznane listy Jana Zamoyskiego do Pawła Manucjusza. W bogatym dziale sprawozdawczym mamy także recenzję dzieła A. Brücknera, o Reju, napisaną przez *St. Dobrzyckiego*, oraz oceny niektórych artykułów Księgi Rejowskiej.

— KRYTYKA. Rocznik VIII. 1906. Zeszyt I. Styczeń. (f) Bóg się rodzi. *J. Jedlicz*: Warszawskie kreggle. Słota jesienna. Poezye. *Ignacy Radliński*: Wolna myśl. Ostatni kongres jej wyznawców. *Wacław Sieroszewski*: Przepowiednia Wernyhory, *Dr. Wł. Gumplowicz*: Socjalizm a kwestya polska. *O. Orwein*: Konstrukcja teatru Wyspiańskiego. *St. Przybyszewski*: Śluby. *I. Moszczeńska*: Podwójna moralność. Panowie stworzenia. *M. Romer*: Stosunki etnograficzno-kulturalne na Litwie. *I. Laforgue*: Skarga. Sonet na wachlarzu. Głowa zmarłego. Przekład F. Mirandoli.—Przegląd pracy polskiej i obcej. *O. Ł.*: Sprawa ukraińska. *Piotr Górkowski*: Zmartwychwstanie Łotwy. *F. Jasiński* i *L. G.*: O IX wystawę „Sztuki” w Krakowie. *J. Sten*: Teatr krakowski. *A. S.*: Teatr zagraniczny. *K. Bujwidowa*: Młodzież o polskiej szkole w Galicyi.

— LUD. Tom XI, zesz. IV. *Dr. Zygm. Gargas*: W sprawie badań nad sprawnością ekonomiczną szczepów ludowych. *G. Smólski*: Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Rechy i Windelicyi (nowa teoria lechicka). *J. Świętek*: Lichy 3 i 9 w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i zwyczajach ludowych. *S. Udziela*: O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych. *M. Udziela*: Przyczynki do medycyny ludowej. *B. J. K. z Gniezna*: Materyały historyczne, Łatawiec. *S. Udziela*: Z łąk. *A. Kallas*: Garść zapisków z Bolestrazyc. *U. S.*: Budownictwo. *J. Różańska*: Uroczystość św. Jana Nepomucena. — Przebieg obrad zjazdu Tow. ludoznawczego we Lwowie. — Wystawa etnograficzna. — Przegląd czasopism.

— PRZEGLĄD POLSKI. 1905. Grudzień. *Prof. St. Smolka*: Przed 75 laty I. Król królów. *Dr. Tad. Sinko*: Rej i Dante. *Prof. K. Morawski*: Elektra, tłumaczenie tragedyi Sofoklesa. *Adam Krzyżanowski*: Umiejętność zrzeszania się. — Sprawy krajowe. Reforma wyborcza w Sejmie, mowa posła St. Tarnowskiego wypowiedziana w Sejmie dnia 24 listopada 1905.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

GOUYAU JERZY: O katolicyzmie socyalnym. Z 3-go wydania francuskiego spolszczyła M. Cz. Warszawa 1906. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 130.

KOBYŁECKI STAN. KS. T. J.: Postulaty psychologii doświadczalnej. Kraków 1906. Nakład Przeglądu Powszechnego. 8-o, str. 73.

MINI M. (Namysłowski Fr. ks.): Magdalenicza mapa polska, wskazująca miejscowości istniejących oraz ubytych tytułów, kościołów, kaplic i altaryj pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny na całym obszarze dawnego państwa polskiego. Według wskazówek autora rysował I. Kempa. 1:1,500,000. Kraków. Spółka wydawnicza polska.

NAUDET KS.: Z myśli społecznej I. Główne zasady socyologii katolickiej. Warszawa 1906. Księgarnia nakł. Szczepkowskiego. 8-o, str. 88.

PIETROW O. G.: Ewangelia, jako podstawa życia. Zasadnicze początki cywilizacyi. Chrześcijańskie wyrobienie woli. Moralne wyrodnienie. Wielkość ewangelii. Królestwo Boże. Z 17-go wydania rosyjskiego, przełożyła i wydała Antonina Ochocka. Lwów 1906. 8 o, str. 74.

STRUVE HEINRICH: Die polnische philosophie der letzten zehn Jahre (1894—1904) von... Berlin 1905. 8-ka, str. 80. Separatabdruck aus dem Archiv für Geschichte der Philosophie. Bd. XVIII. Warszawa, E. Wende i Sp. Verlag von Georg Reimer.

SULLY JAKÓB: Psychologia wychowawcza, przekład z angielskiego Anieli Szyeówny. Warszawa 1905. Nakład księg. naukowej. 8-o, str. 500.

HISTORIA I ETNOGRAFIA.

BALZER O.: Historia ustroju Polski. Przegląd wykładów uniwersyteckich. Odbitka ze sprawozdania wydz. hist. filozof. Akad. Umiejęt. Kraków 1905. 8-o, str. 34.

BALZER O.: O Morskie Oko, wywód praw polskich przed sądem polubownym. Lwów 1906. 8-o, str. 254.

BARTOSZ: Powstanie listopadowe 1830/31 r. Wydanie tyg. „Ojczyzna“ nr. 22 — 23. Lwów 1904. Nakład Związku wydawniczego: Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 32.

BOGUSZ A.: Wieś Moderówka, szkic historycz. Kraków 1905. 8-o, str. 152.

GAWROŃSKI FR. RAWITA: Bohdan Chmielnicki. Lwów 1906. Nakładem księgarni Altenberga. 8-o, str. 360.

KSIĘGI SĄDOWE Brzesko-Kujawskie. Tom VII. 1418 — 1424, opracował i wydał I. K. Kochanowski. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XXI + 631.

KROTOWSKI-SZKARADEK KAZ. DR.: Z dziejów reformacji w Wielkopolsce. Odbitka z XXXI rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Kraków, 1905. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 16.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Przyczynki do etnografii Kaszub. Parafia bożyszowska w powiecie człuchowskim w Prusach zachodnich, wedle zapisków ks. Jana Gotfryda Borka, podał.... Odbitka z Roczn. Tow. nauk. toruńskiego. Toruń, 1905. Leitgeber i Sp. 8-o, str. 387 — 432.

POWSTANIE narodu polskiego 1830 — 31 r. w świetle krytyki mocarstw europejskich. Z rękopisów przełożył na język polski * *. Kraków, 1906. Nakł. wydaw. pism politycznych. 8-o, str. 144 i 3 nl.

PUŁASKI KAZIMIERZ: Szkice i poszukiwania historyczne. Serya III. Kraków, 1906. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 388.

RADZIWIŁŁ KAROL STANISŁAW „Panie Kochanku“ (1751 — 1790). Listy księcia ... z różnych archiwów, wydał Ernest Łumiński. Warszawa, 1906. Nakład Jana Fiszera, Księgarnia Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 143. (Okładkę rysował Jan Bukowski).

REMBOWSKI ALEKSANDER: Pisma. Tom III. Studya historyczno-polityczne, krytyki naukowe. Z częściowej zapomogi kasy imienia J. Mianowskiego. Warszawa, 1906. Nakł. autora, J. Fiszer. 8-o, str. 830.

SOREL ALBERT: Kwestya wschodnia w wieku XVIII-m, rozbiór Polski i traktaty w Kajnardzi. Z 2 wydania franc. przetł. Marya Gomolińska. Tom I i II. Bezpłatny dodatek do „Tyg. ilustr.“ 21. Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 157 + 150.

ZAMOYSKI ANDRZEJ HR.: „Moje przeprawy,“ pamiętnik... o czasach powstania listopadowego (1830—1831), z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem, oraz przekładem fragmentów francuskich oryginału Aleksander Kraushar. T. I i II. Kraków, 1906. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 247 + 160.

HISTORIA LITERATURY.

BRÜCKNER ALEKSANDER: O literaturze rosyjskiej i naszym do niej stosunku dziś i lat temu trzysta, szkice literackie. Wiedza i życie ser. III, tom IX. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 94.

CHRZANOWSKI IGNACY: Marcin Bielski, studjum literackie przez... Warszawa, 1906. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-ka duża, str. 280.

FELDMAN WILHELM: Henryk Ibsen, wykłady wygłoszone na kursach wacyjnych w Zakopanem w lecie 1905 roku. Warszawa, 1906. Nakł. księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 217.

GRABOWSKI THADÉE M.: Une page de l'histoire de la littérature calviniste en Pologne 1550—1650. Première partie, Extr. de „Bull. de l'Acad. des Sciences.“ Cracovie, impr. de l'univ. 1905. 8-o, str. 71 — 77.

JANKOWSKI CZESŁAW: Na marginesie literatury, szkice i wrażenia. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. XII, 483 i 2 nl.

JEDNODNIÓWKA ku uczczeniu 400 rocznicy urodzin Mikołaja Reja z Nagłowic 1505 — 1905, wydana na rzecz koła imienia T. Kościuszki T. S. L. we Lwowie. Lwów, 1905. 4-o, str. 15 i ogł.

KALLENBACH JÓZEF: Mikołaj Rey, szkic jubileuszowy. Odb. z „Przeglądu polskiego.“ Kraków, 1906. G. Gebethner. i Sp. 8-o, str. 16.

KARAŚ FRANCISZEK DR.: O związkach zawodowych. Katowice, 1903. Nakł. i druk. „Górnoślązaka.“ 16-o, str. 112.

TOKARZ WENZEL: Die letzten Jahre Hugo Kollątaj's (1794—1812). Extr. du „Bull. de l'Acad. des Sciences.“ Cracovie impr. de l'univ., 1905. 8-o.

WOJCIECHOWSKI KONSTANTY: Dwie notatki do dziejów romansu polskiego z początków XIX wieku. Odbitka z „Pamiętnika literackiego.“ Lwów, 1905. Nakł. Tow. lit. imienia A. Mickiewicza. 8-o, str. 16.

— Związły podręcznik historii literatury polskiej. Wyd. 2-gie poprawione. Lwów, 1906. Nakł. St. Köhlera. 8-o, str. 204.

P E D A G O G I A.

DOM I SZKOŁA, odezwa kołomyjskiego Koła Tow. nauczycieli szkół wyższych, do wszystkich Kół w kraju. Kołomyja, 1905. Nakł. Koła. 8-o, str. 12.

SPRAWOZDANIE XIII c. k. państwowej Szkoły przemysłowej we Lwowie za rok szkolny 1904/5. Lwów, 1905. Nakł Szkoły przemysłowej. 4-o, str. 53.

— wyższej szkoły handlowej w Krakowie, ogłoszone z końcem roku szkolnego 1905. Kraków, 1905. Nakł. szkoły handlowej. 8-o, str. 63.

WANDA W.: O wychowaniu dzieci. Wyd. tyg. „Ojczyzna“ nr. 14. Lwów, 1904. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

WERYHO MARYA: W sprawie ochron, Wskazówki dla osób zakładających ochrony wiejskie przez... Warszawa, 1906. Nakł. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 18.

NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

DASZYŃSKI IGNACY: Mowa za powszechnem, równem, bezpośredniem prawem wyborczem, wygłoszona w Izbie posłów dnia 5 grudnia 1905 roku. Kraków, 1905. Nakł. „Naprzodu.“ Folio, str. 3.

GÓRSKI PIOTR: Mowa wypowiedziana w generalnej debacie budżetowej w Sejmie dnia 24-go listopada 1905 roku. Kraków, 1905. Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 23.

H. R. Kooperacya kredytowa wiejska na Litwie, stan jej obecny i potrzeba reorganizacyi. Kraków, 1905. 8-o, str. 24.

MAETERLINCK MAURZYCY. Głosowanie powszechne, przekład St. Michalskiego. Warszawa, 1906. Nakł. księg. K. Idzikowskiego. 8-o str. 8.

PANEK PIOTR: Zasady gospodarki narodowej. Wyd. tygod. „Ojczyzna.“ Lwów, 1903. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

PRAWO PRZYRODZONE MOWY OJCZYSTEJ: Związek Tow. Samopomocy Społecznej. Warszawa, 1906. Księgarnia Naukowa. Wyd. Towarzystwa Pedagogicznego. 8-o, str. 32.

REFORMA wyboreza w Sejmie. Kraków, 1906. Nakładem i drukiem „Czasu.“ 8-o, str. 145.

STUDNICKI WŁADYSŁAW: Historia Ustroju Państwowego Rosyi. Lwów, 1906. Nakł. księg. Maniszewskiego i Kędzierskiego. 8-o, str. III i 217.

SULIGOWSKI ADOLF: Instytucye ziemskie w państwie rosyjskiem, przez... Kraków, 1905. Skł. gł. w księg. Spółki. 8-o, str. 24.

URZĄDZENIA Polityczne... Austrii i Galicyi. Wydawnictwo tygodnika „Ojczyzna“ nr. 8. Lwów, 1905. Nakł. Związku wydawniczego Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

M E D Y C Y N A. — N A U K I Ś C I Ś L E.

BIER LEONARD DR.: W sprawie oceny przyrządów formalinowych do odkażania mieszkań, oraz metodyki badania dezynfekcyjnej wartości chemicznych środków odkażających. Kraków, 1905. Odb. z „Przeł. lek.“ 8-o, str. 9.

KRZYSZKOWSKI J. DR.: Zestawienie wszystkich przypadków róży z ostatnich lat dziesięciu, leczonej w oddziałach skórnych, oraz uwagi ogólne i leczenie, na tem zestawieniu oparte. Kraków, 1905. Odbitka z „Przeł. lekarskiego.“ 8-o, str. 15 z tabl.

LIBAŃSKI EDMUND: Ze świata postępu techniki i przemysłu. Tomik IV. W krainie szkła i jedwabiu. Ilustr. szkice popularne. Lwów, 1906. Nakł. red. „Przemysłowca.“ 8-o, str. 38.

MIEŚOWICZ ERWIN DR.: Nowy przypadek choroby Basedow'a z zanikami mięśni i ze zmianami śluzowatemi na kończynach dolnych. Odbit. z „Gazety lekarskiej.“ Kraków, 1905. Nakł. i druk. W. L. Anczyca i Sp. 8-o, str. 13.

PRĘGOWSKI DR.: O pożytku z łaźni. Wydawnictwo tygodnika „Ojczyzna“ nr. 18. Lwów, 1904. Nakł. Związku wydawniczego Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

SPRAWOZDANIE z czynności izb lekarskich galic. Izba lekarska zachodniogalic. nr. XIł, za grudzień 1905 r. Kraków, 1906. 8-o str. 16.

— z międzynarodowego zjazdu przeciw gruźlicy w Paryżu (2-7 paźdz. 1905). Kraków, 1905. Odb. z „Przeł. lekarsk.“ 8-o, str. 19.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

BANDROWSKI ALEKSANDER: Stara baśń, opera w 4 aktach, według powieści J. I. Kraszewskiego, słowa ... muzyka Żeleńskiego. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 64.

BULHARYN TADEUSZ: Dymitr Samozwaniec, romans historyczny w 4 tomach. Tom I — IV. Gródek, 1906. Nakł. i druk. J. Czaińskiego, Gubrynow. i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 125, 121 + 144, 206.

CZECHOW ANTONI: Nowele, z rosyjskiego przełożył H. del C. Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 341.

DANTE ALIGHIERI: Boska komedia w przekładzie Edwarda Porębowicza. III. Raj. Warszawa—Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 16-o, str. 334.

GRABOWSKI: Ostatni z czwartaków. Powieść historyczna z czasów walk o niepodległość, tłómaczenie z niemieckiego. Katowice, 1903. Nakł. i druk. „Górnoślązaka“, Maniszewski i Kędziński we Lwowie. 8-o, str. 904.

HAJOTA: Śni mi się. Uśmiech losu. Psinka. Żyje. 30 września. Sen panny Joanny. Nowele. Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 263.

HERBACZEWSKI JÓZEF ALBIN: Potępienie, tragedia duszy. (Cztery miraża na pustyni klątwy i wygnania). Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. (Okładka rysunku St. Kamockiego). 8-o, str. 145.

KONOPNICKA MARYA: Pod prawem. Bibl. powieściowa, Księg. Narodowa we Lwowie pod red. J. Stena. Nakł. Księg. Narodowej. 8-o, str. 156.

MICKIEWICZ ADAM: Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie, historia szlachecka z 1811 i 1812 r., w 12 księgach wierszem. Wyd. „Macierzy Polskiej.“ Księż. 40. Lwów, 1905. Nakł. „Macierzy.“ 8-o, str. 324.

PIĘŚNI NARODOWE. I wyd. tyg. „Ojczyzna.“ Lwów, 1905. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędziński. 8-o, str. 16.

REY MIKOŁAJ z NAGŁOWIC: Figliki dla uczczenia czterechsetnej rocznicy urodzin autora wydał w podobiznie Wiktor Wittyg. Kraków, 1905. 8-o, kn. 52, str. 64 i 2 nl.

RODZIEWICZ MARYA: Joan. VIII. 1—12. Powieść przez ... Warszawa, 1906. Nakł. Geb. i Wolffa. 8-o, str. 319.

RYDEL LUCYAN: Pan Twardowski, poemat w XVIII pieśniach. Kraków, 1906. Nakład. D. E. Friedleina, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o duże, str. 130.

SIENKIEWICZ HENRYK: Sturmflut, histor. Roman. Nach d. Polnischen v. E. u. R. Ettlinger. B. I—III. Einsiedeln, Benziger et Comp. 1906, z ilustr. F. Schwormstädtta i P. Stachewicza. 8-o, str. 522 + 621 + 459.

PUBLICYSTYKA.

BURLEIGH BENUET: Państwo wschodu czyli wojna japońsko-rosyjska, 1904—1905 r. Przekład Emilii Węslawskiej. T. I—II. Warszawa, 1905. „Bibl. Dz. Wyb.“ № 409—410. 8-o, str. 171.

BAUDOIN DE COURTENAY J.: Kwestya polska w Rosyi w związku z innemi kwestyami kresowemi i „innoplemiennemi.“ Odb. ze „Świata Słowiańskiego.“ Kraków, 1905. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 18.

BRACKE W.: Precz z socyalistami. Wydanie nowe. Przez... Warszawa, 1906. Nakładem Towarzystwa Wydawnictw ludowych. Skład w księgarni Centnerszvera. 8-o, str. 24.

JAKIEJ POTRZEBA NAM SZKOŁY? Z prac Tow. Pedagogicznego. Warszawa, 1905. Wyd. Tow. Pedagogicznego. Związek Tow. Samopomocy Społecznej. Skł. gł. w Księg. Narodowej. 8-o, str. 48.

KOSKOWSKI BOLESŁAW: Jak wychować demokrację? Warszawa, 1906. Nakł. księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 39.

MOSZYŃSKI Jerzy: Na rozdrożu pomiędzy odruchem a sumieniem. Kraków, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 18.

MOYDIEU A. F.: Pod hasłem patryotyzmu, przedmowa do dzieła: „Le combat pour le droit“ w przekładzie polskim Stanisł. Grzeszczucha. Lwów, 1905. Nakł. autora. Księg. Polska. 8-o, str. 16.

PRAWO przyrodzone mowy ojczystej. Habeas Corpus. Warszawa, 1905. Związek Towarzystwa Samopomocy Społecznej. Wyd. Tow. Pedagogicznego. Skł. gł. w Księg. Naukowej. 8-o, str. 32.

PLECHANOW JERZY: Anarchizm a socyalizm, tłumaczyła dr. Salomea Perlmutter. Lwów, 1906. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Warszawa, księgarnia Centnerszvera. 8-o, str. 93.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1906.

F I L O Z O F I A.

	<i>Str.</i>
TRAGEDYA MYŚLICIELA (Fryderyk Nietzsche), — przez <i>Walerego Gostomskiego</i>	475

H I S T O R Y A.

Z ŻYCIA MINISTRA LUBECKIEGO, — przez <i>Stanisława Smolkę</i> . 5, 350 i 448	
--	--

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

WPŁYW STREJKÓW NA SOCYALIZM PAŃSTWOWY, — przez <i>J. Kirszrot-Prawnickiego</i>	76
SPRAWA ROBOTNICZA, — przez <i>Stefana Gorskiego</i>	209

L I T E R A T U R A.

NAD GŁĘBIAMI, powieść, — przez <i>d-ra T. Konczyńskiego</i>	43, 238 i 417
PAN BALCER W BRAZYLIJI, — przez <i>Maryę Konopnicką</i>	319

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

PATRYOTYZM SŁOWACKIEGO, — przez <i>Juliusza Kleinera</i>	90
UNARODOWIENIE TEATRÓW WARSZAWSKICH, — przez <i>Władysława Bogusławskiego</i>	121
NIEOBECNI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	141
SZTUKA A ILUZJA, — przez <i>Dr. Jakóba Segala</i>	272
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	290
ZE SZTUKI, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	503
RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>Henryka Reinholda</i>	520

NAUKI PRZYRODNICZE.

ZNACZENIE PRZYPADKU W WYNAŁAZKACH, — przez <i>Mieczysławę Biegańską</i>	328
WSPÓŁCZESNE ZNACZENIE OBSERWACYI ZACMIEN SŁOŃCA, — przez <i>M. Ernsta</i>	540

R O Z M A I T O Ś C I.

BŁĘDY JĘZYKOWE, — przez <i>Henryka Ułaszyna</i>	151
---	-----

K R Y T Y K A.

ALEKSANDER KRAUSHAR: Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1824—1828, — przez <i>A. R.</i>	164
Ks. ARCYBISKUP TEODOROWICZ: Z ostatnich doświadczeń. Uwagi po strejkach, — <i>A. R.</i>	170
J. K. KOCHANOWSKI: Szkice i drobiazgi historyczne. 1904, — przez <i>A. R.</i>	176
IGNACEGO DANIŁOWICZA, b. profesora w uniwersytetach: wileńskim, charkowskim i kijowskim, „Kodeks Napoleona w porównaniu z prawami polskimi i litewskimi,“ — przez <i>A. R.</i>	181
WŁADYSŁAW GRABSKI: Historia Towarzystwa rolniczego 1858 — 1861. (Warszawa, 1904), — przez <i>A. R.</i>	384
MOJŻESZ SCHOR: Żydzi w Przemysłu do końca XVIII w., — przez <i>A. R.</i>	562
Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego (Moje przeprawy) o czasach powstania Listopadowego (1830—1831), — przez <i>A. R.</i>	565
DR. ROMAN KOMIEROWSKI: Koła polskie w Berlinie 1875—1900, — przez <i>A. R.</i>	573
TIMOSZCZUK: Polska konstytucya 3 maja i zachowanie się względem niej Rosyi, — przez <i>A. R.</i>	580

	Str.
GENERAL KWADRI: Świta cesarza Aleksandra I w polskiej armii, — przez A. R.	585
J. G.: Materyały do dziejów Akademii Połockiej i szkół od niej zale- żnych, — przez <i>Ludwika Janowskiego</i>	587

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Lud wiejski na arenie politycznej. — Próba charakterystyki chwili obecnej. — Artykuł „pana“ Nałkowskiego w „Młodo- ści.“ — Walka bratobójcza.	184
---	-----

LUTY:

Otrzeźwienie socjalistów a ruina przemysłu. — Ruchy agrarne. — Potrzeba reform. — Kwestya litewska w prasie pol- skiej. — Podstawy statystyczne projektu odłączenia od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. Sie- dleckiej i Lubelskiej	393
--	-----

MARZEC:

Wybory. — „Maryawici“ i ich działalność. — Przygotowania do strej- ku rolnego. — Trzy jubileusze: Orzeszkowej, Promyka i d-ra Biegańskiego. — Wspomnienie pośmiertne: ś. p. Piotr Górski	594
---	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	197
LUTY	406
MARZEC	610

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE STYCZNIOWYM (№ 1): Uporządkowanie handlu zbo- żem, — przez <i>Józefa Jeziorańskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 2): Robotnicy rolni w Królestwie Polskiem, — przez <i>Jordana Kańskiego</i>	1
PRZY ZESZYCIE MARCOWYM (№ 3): Duchowieństwo rzymsko-kato- lickie, — przez <i>A. P.</i>	1